

2









DACHIJSZCZYNA



TEODOR TOMASZ JEŻ

# DACHIJSZCZYNA

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW SERBSKICH

TOM PIERWSZY.

KRAKÓW  
NAKŁADEM „TOWARZYSTWA SZKOŁY LUDOWEJ“  
1910.

**Printed in Poland**



Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie  
pod zarządem Józefa Filipowskiego.



## CZEŚĆ PIERWSZA.

---

### 1. Spaja.

Osobliwa, po ogłoszeniu traktatu sistowskiego (1791), nastała dla Serbii chwila. Po wojnie nastąpił spokój, nie upragniony i nie pożądany, który jednak zadowolnił ludność w stopniu najwyższym. Serbowie, pomagając wojskom cesarsko-niemieckim, bili się o zmianę panowania: — przejść pragnęli pod władanie niemieckie. Pragnieniu temu nie stało się zadość, mimo to zadowolenie zapanowało, a to z powodu zmiany zupełnej, jaka zaszła w rządach tureckich. Turcy złagodnieli do niepoznania, złagodnieli tak dalece, że łagodność ich w zdumienie wprawiała, była bowiem nienaturalną. Powrócili do posiadania prowincyi nie w charakterze zwycięzców, którychby tryumfy do wspaniałomyślności usposabiały; przeciwnie, pobici byli i upokorzeni, powinni więc byli poszukiwać na rai satysfakcyi w zemście, mając do takowej powód dostateczny w tej okoliczności, że cesarsko-niemieckie wojska zwycięstwa swoje,



w części znacznej, zawdzięczały spóldziałaniu mieszkańców. Nie mścili się jednak. Owszem, w obchodzeniu się ich z ludnością miejscową, zdawało się, jakby przebaczenia szukali za krzywdy dawniejsze, jakich się względem niej dopuszczali. »...Majątki jańczarom zabrano na skarb, a ich samych wygnano z kraju... W administracyi, w sądownictwie, w sposobie pobierania podatków zaprowadzone zostały zmiany na korzyść rajów, uregulowano stosunek rajów do spajów, ograniczając władzę i prerogatywy tych ostatnich. Amnestyonowano bez wyjątku wszystkich, co jako ochotnicy w niemieckich służyli szeregach, i amnestyi dotrzymano. Bezpieczeństwo osób i majątków weszło w życie. Kraj odetchnął, zakwitnął i wziął się do rolnictwa i handlu. Lud błogosławił sułtana, któremu przez wdzięczność dawał ten sam tytuł, pod jakim znał z pieśni Duszana i Lazara: mianował go »carem serbskim«; namiestnika zaś jego, hadži-Mustafę, przeważał »*srbska majka* (matka serbska)« — opowiada autor pewien. Osobliwa — powtarzamy — nastąpiła dla Serbii chwila!...

— No!... no!... — powiadał człowiek w czarnym zawoju, odziany wedle przepisów, które nakazywały chrześcijanom używać kolorów jaskrawych i sukna cienkiego, do człowieka, który miał na głowie zawój z szala białego w drobne paski z cienkiej wełnianej tkaniny, a na sobie spodnie szerokie, zielone, jedwabiem suto wyszywane, dołman tegoż koloru,

odzież spodnią jedwabną i zwierzchnią futrzaną i któremu z za pasa sterczały na brzuchu głównie bogato w inkrustacye ozdobionych pistoletów i rękojeść kindżała, wyrobiona gładko z kości słoniowej.

Człowiek w zawoju czarnym był-to młody, śniady brunet, z brodą ogoloną, szczupły, wzrostem niewielki, w wyrazie fizynomii posiadający ruchliwość, znamionującą inteligencyą. Człowiek w zawoju kaszmirowym był-to starzec, o którym jednak powiadać nie można było: wiekiem pochylony. O wieku późnym świadczyły tylko: długa, biała, do pasa sięgająca broda i gęste białe brwi, niby ostrzeszki, na oczy nasunięte. Twarz zaś jego w tej części, co z pod zarostu widzieć się dawała, i budowa ciała znamionowały zdrowie czerstwe, siłę męską i krzepkość.

Siedzieli jeden obok drugiego na *czerdaku*, z którego widok obejmował okolicę malowniczą. Dołem płynęła rzeka, połyskująca szklistą powierzchnią. Przed rzeką i za rzeką grunt w pagórki pogarbiony, dopierał do siniejących w dali gór i tworzył perspektywę wdzięków pełną. Na krajobraz składały się wszystkie pierwiastki, wysoko cenione przez znawców piękności natury; i góry i wody i lasy i urwiska i skały sterczące i w końcu, z boku nieco miasta; miasta tureckie, tonące w puszystej zieleni sadów, upstrzone barwnością domów, najeżone ostrzami minaretów, przetykane bukietami cypry-

sów, owiane ciszą tajemnic i obwiedzione murem białym.

Siedzieli jeden obok drugiego na dywanie, mając nogi na sposób wschodni pod siebie popodginane. Dywan przykryty był kobiercem nieco przepłowiałym. Poduszki obleczone w nawłóczki kolorowe. Na podłodze mata z rogoży tkana. Na kolanaach spoczywały u nich cybuchy długie z wiśni pachnącej, opierające się lulkami o podstawki krągłe, mosiężne, na macie położone, w celu zabezpieczenia tej ostatniej przeciwko węglom i odpadkom żarzących się włókien tytoniu, cienko krajanego i dym wonny wydającego. Górne końce cybuchów, w bursztyny piękne przyozdobione, brali oni kiedy-niekiedy do ust, dmuchali w nie i następnie naciągali dymu gębę pełną, którego nie wyrzucali przed siebie, sposobem fajkarzy europejskich, lecz pozwalali mu swobodnie z ust wydobywać się samemu i otaczać oblicza obłoczkami białawymi. Lubowali się dymem i zaprawdę mieli czem. Subtelny zapach onego sprawiał rozkosz, która opisać się nie da. Na rękach u jednego i drugiego zawieszane były różańce, wśród ziaren których spostrzegać się dawała malutka, hermetycznie zamknięta, bombiasta, z czarnego kryształu flaszeczka, zawierająca w sobie kropel kilka olejku różanego. Kropla jedna olejku tego taką ma wartość, co równający się jej objętością brylant.

— No!... — rzekł człowiek w czarnym turbanie,

nadając oczom wyraz taki, jakby się dziwił lub nie dowierzał. — Rzeczy dziwne i nadzwyczajne...

— Ani dziwne, ani nadzwyczajne... — odparł starzec. — Dziwnemi i nadzwyczajnemi wydawać się muszą tobie... Nie czytałeś Koranu...

*Effendim...* — odpowiedział człowiek w czarnym turbanie tonem, w którym brzmiało przyznawanie się do upośledzenia niejakiemu.

— Tak napisano... — zabrał głos starzec... — Nie twoja to, ani nieczyja wina, lecz wola Allaha... Jednym pozwala rodzić się w wierze prawdziwej, drugim w fałszywej, i to w tym celu, ażeby prawowierni bez usługi nie pozostali... I napisano jest, że niewierny pisma się uczyć, ani Koranu czytać nie będzie: nic przeto dziwnego, że dziwisz się temu, co dziwnem nie jest, i masz za nadzwyczajne to, w czem nadzwyczajności najmniejszej niema...

Odпочzął, pociągnął dymu z cybucha i towarzyszowi w oczy spojrzał. W oczach tego ostatniego nie widać było, ażeby go słowa powyższe przekonać miały. Starzec więc zaczął znów:

— Zauważyłeś zapewne, jak muzułmanin obchodzi się z koniem, zauważyłeś, jak traktuje on stworzenie wszelakie, co mu służy: dlaczegożby inaczej obchodzić się miał, czemużby inaczej traktował... człowieka?... Muzułmanie i chrześcijanie jesteście przecież *adamlar* (ludzie)...

— Prawda twoja, *effendim...* — odparł człowiek w czarnym turbanie. Muzułmanin łagodnie się ob-

chodzi z koniem i stworzeniem wszelakiem, co mu służy, psa nawet traktuje miłosiernie... Prawda, że chrześcijanie i muzułmanie ludźmi jesteśmy... Ale...

Tu się zaciął, jakby się nad tem, co powiedzieć zamierza, namyslał.

— Mów bez namysłu... — rzekł starzec. — Powiadaj otwarcie, co ci na sercu leży...

— Chciałem przypomnieć przeszłość...

— Kto temu winien?... Komuż to należało miarkować się: panu, czy słudze?... Posłuchajno ty mnie... Tyś w świecie bywał i dużo widział: widział ty gdzie, ażeby pan słudze ulegał?... Przeszłość przeto cała, wszystko to, co się za ojców i praojców naszych działo, o to jedno zawadza, że się raja upokorzyć należycie nie chciała...

— Ach!... — odezwał się chrześcijanin tonem protekcji.

— A hajducy?... — zapytał Turek. — Trzeba być sprawiedliwym... Gdyby muzułmanin w każdym do ziemi przed nim pochylającym się rai nie podejrzewał ochotnika, gotowego w lasy skoczyć, postać pokorną w junacką zmienić i ołowiem mu w oczy plunąć, toby on każdego do serca przycisnął.. Koran mu to nakazuje... Co się więc działo w przeszłości, działo się wedle prawa, którego ludzie nie wymyślili...

— Może... — rzekł po chwili namysłu — raja postępowała sobie według prawa swego... O tem nie



wiem, pisma waszego nie znam i ksiąg waszych nie czytałem...

— W księgach naszych napisano, że władza wszelka od Boga idzie... — wtrącił człowiek w czarnym zawoju.

Turek wpatrzył się mu w oczy wzrokiem w myślach czytającym i zapytał:

— Napisano?...

— Napisano... — odparł zapytany stanowczo.

— I niema, jaka mianowicie?...

— Wszelka... każda... jakakolwiek...

— Widzisz więc, księgi nawet wasze potwierdzają słowa moje... To napisano właśnie dla rai... To zatem, na co się ona skarży, sama na siebie ściągnęła... Narzeka niesłusznie... Działo się wedle prawa...

— I dlatego — podchwycił człowiek w czarnym turbanie — dziwi mnie, *effendim*, że się dziś dzieje inaczej....

— I dziś dzieje się, jak należy.. Gdy konia ujeżdżam, dobieram do niego sposobów różnych: raz go w żelazo biorę, drugi raz głaskam, aż mi pod ręką pójdzie... Rozumiesz?...

— *Ewet, effendim...*

Turek pociągnął dymu z cybucha, otoczył nim oblicze swoje; zadymiły się mu broda i wąsy, i w tem otoczeniu obłoczystem pozostał przez chwilę w milczeniu. Chwila ta przeciągnęła się czasu kawał spory. Zdaje się, że rozmawiający, znużywszy się

słów zamianą, uczynili zwrot w siebie i pograżyli się w myślach własnych. Nastąpił moment ciszy uroczystej. Tylko tytoń zaskwierczał niekiedy w lulce. Tylko od czasu do czasu załopotwały skrzydła przelatującej mimo czerdaku synogarlicy, uciekającej w ogród i odzywającej się z poza ciemnozielonych krzaków bukszpanu: chuchru... chuchru... jakby głos ludzki przedrzeźniać chciała. W końcu milczenie przerwał Turek:

— Ty mnie znasz?...

— Znam ciebie, Mehmed-beju...

— Wiesz, że pomiędzy spajami wielu jestem jeden z tych, co z rają umiałem radzić sobie?...

— Wiem... Wiem nawet o tem, o czem nie wiesz ty...

— E?... — odezwał się Turek tonem ironicznego zdziwienia. — O czemżeto, naprzykład?...

— O tem, że głowa twoja służyła mało razy dziesięć za cel dla puszki hajduckiej i cało wyszła dlatego tylko, że twoja.. I ty i synowie twoi jesteście u rai w poszanowaniu...

Turek brwiami ruszył i czoło zmarszczył, w końcu ręką machnął od niechcenia, jakby powiedzieć chciał, że wiadomość ta obchodzi go niewiele.

— Wiesz więc, że jestem u rai w poszanowaniu... Dlatego chciałbym, ażeby rają miała *chaber* (wiadomość) o tem, cośmy mówili... Ty pomiędzy twojami uchodzisz za człowieka...

Tu się palcem w czoło stuknął i stuknięciem tem frazesu dokończył.

— Bo to, com mówił, nie mówiłem z siebie... — ciągnął. — Czekałem umyślnie na powrót twój z Be-cza (Wiednia), chciałem się umyślnie rozmówić z tobą pierwszym. — Dodał w końcu: — Gdyby tu na miejscu mojem sam padyszach siedział, nie powiedziałby czego innego... Puść pomiędzy rają *chaber*: niech się od hajductwa odwraca, niech ze spajami trzyma, niech pokory przestrzega... Niech się szanuje!...

Przy wyrazie ostatnim, wymówionym z przyciskiem znaczącym, podniósł do góry palec, jakby za pomocą gestu tego chciał wyrazowi wymówionemu nadać znaczenie tem większe.

Zrozumienie rozmowy powyższej wymaga opisu stanu, w jakim znalazła się Serbia po wojnie, pokojem sistowskim zakończonej.

Mehmed-bej był spają (\*spahisem\*, jak niegdyś u nas pisano). Spajowie przypominają nieco panów feudalnych. Sułtan ziemię zdobytą rozdzielał pomiędzy wiernych, w rodzaju lenna, i ci obowiązani byli za to do służby wojennej kosztem własnym. Nadania te miały charakter dzierżawny, bądź wieczysty, bądź też dożywotni. Udziały nosiły nazwę *tımare*. Spaja nie trudnił się gospodarką sam osobiście, nie mieszkał nawet na pozostającym w posiadaniu jego uczątku. Gospodarką trudnił się raja i dawał mu dziesięcinę, tak z dobytku rolnego, jako też z trzody

i stadniny. Spaja nie posiadał władzy żadnej, ani rządził, ani sądził; nie miał nawet prawa nie dozwolić sielakowi przesiedlenia się z jednego *spaiłyku* do drugiego.

Rządy i sądy spoczywały w ręku władz przez sułtana *ad hoc* mianowanych, koncentrując się w rękach paszy, rezydującego w Białogrodzie (*Belgrad*, po serbsku *Biograd*) i wyrażając się w jednym głównym kierunku: w kierunku finansowym. Raja ponosił ciężar cały utrzymywania padyszacha, ogniskującego w osobie swojej ideę państwową, która w ten sposób pojęta, stawała się polipem, żyjącym kosztem narodów podbitych. Nie dając w zamian nic, brała wszystko, co jej do życia potrzebne było, wychodząc z tej zasady, w Koranie zapisanej, że raja, wzbraniający się płacić sułtanowi daniny, zasługuje na śmierć lub niewolę. Polip ów przedstawiał się pod postacią urzędów: administracyjnego, poborczego i sądowego. Pierwszy i drugi zlewały się w jedno; trzeci sprawowało duchowieństwo, zostające pod władzą główną Szeik-ul-Islama, który ze swego ramienia naznaczał sędziów po paszalikach (*mułła*), od tych zaś zależeli sędziowie obwodowi (*kady*). Przy każdym zasiadał mianowany przez paszę *musselim*, wykonawca wyroków sądowych. W praktyce ten ostatni sądził, wyroki ferował i takowe egzekwował tak, że faktycznie pasza, będący w osobie jednej administratorem, poborcą głównym

i naczelnikiem siły zbrojnej, posiadał władzę całkowitą.

Jako naczelnik siły zbrojnej, miał pasza pod sobą całą ludność muzułmańską, uorganizowaną wojskowo. Właściwie organizacya cała ottomańskiego państwa wojskową była, co tłumaczy sprężystość, jakiej ono w swoim czasie dowody złożyło. W organizacyi tej atoli wyodrębniały się dwie instytucye: wyżej wymienieni spaje, utrzymywani z dziesięciny — tych w państwie tureckiem, według świadectwa Etona (*Survey of the turkish empire*, 1798), liczyło się około 132.000 dusz, i jańczary, w liczbie 150.000, opłacani ze skarbu publicznego, a stanowiący wojsko stałe i zarazem korporacyą, zbliżającą się stroną religijną do zakonów wojennych, takich jak Krzyżacy, kawalerowie mieczowi etc., stroną polityczną do pretoryanów rzymskich.

Nie będę się rozpisywał o rzeczy powszechnie wiadomej: o znaczeniu, do jakiego jańczarowie doszli, i o wpływie, jaki wywierali. W Stambule trzymali oni w zależności od siebie sułtana, na prowincyi — paszów, z wyjątkiem tych, co, jak Ali-pasza w Janinie, lub jak Paswan-Ogłu w Widdyniu, zajęli względem sułtana stanowisko niezależne, oparte na sile orężnej, z miejscowych lub zaciężnych żywiołów wytworzonej — w Janinie z Albańczyków, w Widdyniu z Arnautów. Żaden z paszów białogrodzkich nie poszedł za tym przykładem. Nie pozostawało więc im, jak obchodzić się z jańczarami jak najła-



godniej i coraz to nowe pretensye ich usuwać za pomocą coraz to nowych ustępstw i prerogatyw na ich korzyść. W ten sposób jańczarom dostał się *diumriuk* — dochody z ceł od handlu tak przywozowego, jak wywozowego, zewnętrznego i wewnętrznego.

Zobaczmyż, do jakich następstw ustępstwa te doprowadziły?

Rai trzymały się trzy pijawki: władza rządowa, spaje i jańczary. Pierwszy płacił *poriez*<sup>1)</sup>, dawał daninę w naturze, dawał szarwarki, kwatery, podwody i *kuliuk*; drugim płacił dziesięcinę; trzecim opłacał się ze wszystkiego, co produkował i co konsumował, co zaś najgorsza, pozostawał pod ich ścisłą, dokuczliwą i nieustającą kontrolą, wykonywaną w sposób bezwzględny, brutalny i taki, co to nie przypuszczał, ażeby w stosunku rajów do jańczarów istniało coś, na coby ci ostatni pozwalali sobie nie mogli. Pozwalali sobie na wszystko, mieszały się do rządów i sądów, do poboru podatków, danin i dziesięcin, wchodzili w atrybucye i władzy rządowej i spajów. Z tego wynikało, że spaje, urzędnicy wysokiej porty i raje mieli w jańczarach wroga wspólnego, który dokuczał najbardziej rajom, mniej trochę spajom, a najmniej urzędnikom; niemniej przeto jednak wiązał ich przeciwko sobie w pewien rodzaj przymierza naturalnego i racyo-

---

<sup>1)</sup> *Poriez*, pógłównne; *kuliuk*, warta.

cyonalnego, posiadającego warunki, umożliwiające czynne w danej chwili przeciwko spólnemu nieprzyjacielowi wystąpienie.

Jańczary stanowili składową część organizmu państwowego ottomańskiego. Było to złe, że tak powiemy, przyrodzone. Wojna atoli turecko-niemiecka nawołała na Serbią inną jeszcze plagę, przypadkową. Niemcy formowali z mieszkańców oddziały ochotnicze, tak zwanych *frajkurów*, wielce im pomocnych. Turcy, w celu zneutralizowania takowych, formowali oddziały *kirdżalich*. Do tamtych szła młodź, poczuwająca w piersiach święty ogień miłości *otaczbin*, do tych zbieranina najohydniejsza, rabusie z Turcyi całej, muzułmanie różnej porody i chrześcijanie rozmaitych obrządków, nie mający na widoku żadnego celu politycznego, ani religijnego, jeno *placzkę* (rabunek).

Pomyślny dla wojsk niemieckich obrót wojny wymiół z kraju, wraz z armią turecką, jańczarów i kirdżalich. Niemcy zajinowali kraj. Kiedy zaś po podpisaniu pokoju przyszło do tego, że takowy napowrót Turkom oddawali, wręczali obwody, miasta i twierdze władzom cywilnym i posiedzicielom regularnym, jakimi byli administracyjni i sądowi urzędnicy i spaje. Jańczarów ani kirdżalich nie było przy tem. Zamierzali powrócić później. Ruszyli i znaleźli drzwi przed nosem zamknięte. Władze tureckie znalazły się względem nich energicznie. Naprzeciwko jadącemu ze Stambułu na wielkorządcę

do Białogrodu paszy, spaje i raje wysłały do Niszu deputacye, celem powitania go uroczyście na granicy. Wysłali deputacyą i jańczary. Aga Deli-Achmet, wódz ich naczelny, wielkiej używający popularności, wyjechał osobiście. Pasza Abu-Bekir kazał go ująć i ściąć. Przed wojną ten sam Deli-Achmet jawnie i publicznie wymordował piętnastu na raz spajów i uszło mu to bezkarnie.

Krok ten<sup>6</sup> Abu-Bekira paszy przyjętym został w Serbii z radością wielką. Ludność widziała w nim rękojmię sprawiedliwości i łagodności. Jańczarowie ani kirdźali wracać nie śmieli. Pierwsi korporacyjnym sposobem szukali opieki i pomocy u Paswan-Ogłu, paszy Widdynia; drudzy rozproszyli się kupkami po prowincyach przyległych, część pogarnęła się do paszali ku widdyńskiego za jańczarami, część wsiąknęła w Bośnię i w paszalik skadarski. W Serbii, w charakterze przedstawicielstwa ograniczonej spójni państwa ottomańskiego, pozostali urzędnicy i spaje.

Tak stały rzeczy w chwili, w której na teatrze powieściowego opowiadania naszego wyprowadziliśmy na scenę rozmawiających ze sobą dwóch ludzi: muzułmanina-spaję, Mehmed-beja, i chrześcijanina. Nie powiadamy jeszcze, kto to był chrześcijanin ów. Pokaże się to w ciągu opowiadania. Tu zaś pozostaje nam jeszcze rzecz słówko o Serbach, ażeby rozmowę zrozumieć dokładnie.

Serbowie z uniesieniem przyjęli zmianę w sy-

stemie rządzenia nimi zaszła. Porównanie z systemem dawniejszym całkowicie na korzyść ich wypadło. Lecz byłoż-to porównanie jedyne i ostatnie?

Tu sęk.

Było to porównanie, które się najpierwsze nastęczyło i w pierwszej chwili zadawałniało. Sam skład jednak społeczności, jaki się urobił w wojnie i przez wojnę, nie dopuszczał, ażeby zadowolenie trwać długo miało, to jest, ażeby się porównania inne z czasem nie nasunęły. Dużo Serbów służyło w szeregach wojskowych; niejeden odznaczył się, w niejednym obudziła się ambicya, zaspokojoną być nie mogąca w powrocie do stanu poddańczego; w ogóle obudziło się poczucie samoistności narodowej; obudziło się poczucie potrzeby ubezpieczenia samoistności swej rękojmiami na przyszłość. Nasuwały się więc same przez się porównania stanu obecnego do stanów ściśle nieokreślonych, nie zawierające w sobie atoli warunków zgody z obecnym. Ciągłość usiłowań wyzwolenia się z jarzma tureckiego, przedsiębranych na miejscu i poza granicami kraju, musiała nakoniec wyraz swój znaleźć. Wysługa o ojczyznę musiała o nagrodę się upomnieć. Serbowie nie na to krwią ofiarną w pokoleniu każdym hojnie szafowali, ażeby przyjąć i uznać zła-godniałe panowanie tureckie.

Przyjęli i uznali w pierwszej chwili. W przyję-

ciu ich jednak i uznaniu było coś, co budziło obawy o przyszłość.

Dlatego Mehmed-bej w rozmowie, którą przytoczyliśmy powyżej, taki nacisk na pokorę kładł, tak mocno nastawał na to, ażeby raja szanowała się.

— A hajducy!... — powiadał.

Hajductwo przed wojną miało znaczenie protestacyi przeciwko uciskowi, jaki podówczas panował. Ucisk ustał, więc i hajductwo ustać było powinno. Czy ustało?...

Jeżeli godzi się nazwą opinii publicznej mianować usposobienie umysłów, objawiające się zgodnie i samodzielnie w danym jakimś momencie i przy danych okolicznościach, bez spółudziału sztucznych owych sposobów, którymi prasa rozporządza, to opinia publiczna w Serbii, po wojnie turecko-niemieckiej, oświadczała się wyraźnie przeciwko hajductwu. I dawniej wprawdzie nie trzymała ona strony onego, jakby się zdawać mogło, wedle podań sądząc. Władze tureckie pociągały do odpowiedzialności surowej gminy, na terytoryum których hajducka sprawa miejsce miała. Sielacy przeto lękali się hajductwa i sprzyjali mu względnie, to znaczy o tyle, o ile takowe działało zdala od granic, określających obszar przez gminę ich zajmowany. Z daleka wyglądało ono inaczej, z blizka inaczej. Po wojnie atoli, ostatniej w wieku XVIII, przestali mu sprzyjać i z blizka i z daleka, upatrując w niem powód, któryby mógł popsuć ów *modus vivendi*, jaki



się urobił pomiędzy ludnością muzułmańską i ludnością chrześcijańską i zadawałnią tę ostatnią jak najzupełniej.

— A hajducy!... — rzekł starzec.

Człowiek w czarnym zawoju brwi podniósł, oczami łypnął, głową lekko skinął i w cybuch powoli dmuchać począł.

W chwili tej na czerdak, zrzuciwszy pantofle u wniścia, wszedł człowiek w sile wieku. Wyrażenie: »w sile wieku« stosowało się do niego literalnie, był bowiem zbudowany tak, że cała postawa jego siłę wyrażała. Plecy szerokie, piersi wydatne, kark gruby, mięśnie jakby z okrętowych, smołą napojonych powrozów uplecione, wzrok surowy, wąsy obwisłe, strój turecki. Przypatrzywszy się mu pilnie, postrzegać się dawało podobieństwo rysów pomiędzy nim a starcem. Wszedł, usiadł na dywanie i, posiedziawszy chwilę w milczeniu, pozdrowił starca muzułmanina i gościa jego chrześcijanina.

Starzec, oddawszy pozdrowieniem za pozdrowienie, oczy zamknął i brodę dłonią pogładził.

Wkrótce potem przybył drugi podobny siły wyobraźni. Usiadł, pomilczał przez chwilę i pozdrowienie obecnym złożył.

Po drugim przybył trzeci, po trzecim czwarty, po czwartym piąty. Wszyscy oni wyglądali, jakby — jak to powiadają — na jedno kopyto. Chłop w chłopu, a każdy z osobna niby dąb. W wyrazie ogólnym twa-

rzy ich zachodziło podobieństwo rodzinne uderzające, pomimo, że rysami różnili się jeden od drugiego. Różnili się jeszcze i wiekiem. Najstarszy wyglądał na lat czterdzieści pięć, najmłodszy o lat siedem, osiem młodziej. Różnica ta wszakże nie rzucała się w oczy od razu. Ażeby ją poznać, trzeba się było dobrze przypatrywać; na pierwszy zaś rzut oka wydawało się, jakby pięciu tych siłaczów były to jednolatki z gniazda jednego. Wzrostem jednacy prawie, budową ciała jednacy zupełnie, przedstawiali oni, w żywym niejako obrazie, narodową, serbską legendę o Jugowiczu i dziesięciu synach jego. Tylko, że Jugowiczów było dziesięciu, tych zaś pięciu — pięciu braci rodzonych, synów Mehmed-beja, z jednego ojca i z jednej matki. Stąd to pochodziło podobieństwo rodzinne pomiędzy nimi i pomiędzy nimi a starcem.

— Pietrze, hej! Pietrze!... — odezwał się ten ostatni po długim milczeniu — patrzajno na nich...

Rzutem brody ukazał się szereg siedzących synów.

Człowiek w czarnym turbanie okiem po nich powiódł.

— Widzisz ty ich?

— Widzę, *effendim*... — odrzekł zapytany głosem, w którym brzmiał akcent pokory.

— Przypatrz-no się im dobrze... Takich, jak oni, choćbyś zębem zachwyił, to nie z łatwościąbyś

ugryzł, a chociażbyś i ugryzł, to dużoby w Sawie wody upłynęło, nimbyś ich zjadł... He?...

— Prawda twoja, *effendim*...

— Wiedz-że, że padyszach ma takich, jak liści na drzewie, jak gwiazd na niebie, jak piasku w morzu...

I podnosząc głos stopniowo, jakby pod wpływem zapału, który mu powoli w piersi rósł, dodał z mocą:

— Oni i ja, jak nas widzisz, gotowiśmy za padyszacha krew do ostatniej wytoczyć kropli: niech tylko na skinie... Oni i ja, jak nas widzisz, jesteśmy padyszacha poddani wierni...

— A ja-ż nie? — zapytał człowiek w czarnym turbanie. — I ja, *effendim*, jestem padyszacha poddanym...

Starzec rękę podniósł, uśmiechnął się ironicznie nieco i palcem w powietrzu pokiwał.

— *Ne, effendim?*... — zapytał człowiek w czarnym turbanie, powtórnie nadając zapytaniu akcent uczucia obrażonego.

— No, no... Niech tak będzie... Ja jednak trzech par nie dałbym za poddaństwo twoje, Pietrze...

— *Nijczyń* (czemu)?...

-- Czemu?... Dlatego, żeś ty bywalec, ocierałeś się o ludzi, *pezewenków*, co się z pod panowania padyszachów wyłamali... Bywałeś w Beczu, bywałeś, Allah wie, nie gdzie jeszcze. Toż do ciebie

przyłgnąć musiało niejedno, za coby cię wypadalo na pal wsadzić...

Człowiek w czarnym turbanie spojrzal z podełba na starca i powiodł po synach jego wzrokiem takim, jakby sprawdzić chciał po ich minach, azali ostatnie Mehmed-beja słowa nie zawierają w sobie pogróżki, mogącej się w rzeczywistość zmienić. Nie wyczytał w nich jednak nic podobnego. Starzec prawil dalej:

— Ale to nic... Co tam masz w duszy, to niech przy tobie zostanie... Główna rzecz w tem, żeś nie Serb, żeś Bulgar... W Bulgaryi należałoby cię na pal wsadzić; w Serbii przydatnym być możesz pomiędzy stronami i sam na tem skorzystać niemało... *Trgowac*, ty *nowce* wypatrujesz i tobie potrzebnemi są spokój i zgoda... Gdyby nie to, nie gadałbym z tobą...

Bulgar westchnął i milczał.

— A co — zapytał starzec tonem wewnętrznego zadowolenia — czy nie powiedziałem ci tego, do czego się przed nikim nie przyznajesz?...

Człowiek w czarnym turbanie ramionami ścisnął.

— Nie przejrzałem cię na wskrós?...

— *Sen bilir, effendim...*

Starzec oczy zamknął, głową od czasu do czasu kiwał, na obliczu uśmiech mu igrał.

— O!... — odezwał się wkońcu głośno, ale tak, jakby sam do siebie mówił — niech raja nie panoszy się tem, że oręż nosiła, *czetami* chodziła

i *kaukę* przeciwko nam prowadziła... Szwaba nie taki skory, ażeby na zawołanie jej śpieszył, a bez Szwaby nie poradzi ona nic... Niech więc raczej siedzi cicho, jak trawa pod wiatrem, i w pokorę się uda...

— Toć ona to właśnie robi... — wtrącił Bulgar.

— Dziś... — podchwycił Turek. — Tak... Niechby to jednak było i dziś i jutro i zawsze, bo, na Ał-laha!...

Tu starzec brwi groźnie zmarszczył i zaciśniętą w kułak pięść pokazał.

— Sześć *atów* (ogierów), niby sześć sokołów, przy żłobie moim obrok je, i tylko siodła na nie włożyć, wsiąść i na majdan wyjechać... A na nas sześciu niech wychodzi rajów sześć razy po sto!... Powiedz-że, powiedz, Pietrze, coś odemnie słyszał i coś u mnie widział; niech będzie *mir* i weź to sobie na rozum, że tobie z tem będzie dobrze... *Nowcami dżep* nabijesz, a tobie tego tylko i potrzeba... W zamieszkach zaś i *nowców* nie dostaniesz i głowę z karku stracić możesz... Rozumiesz?...

Zapytanie ostatnie zadał, przykładając sobie palec do czoła i następnie grożąc nim, jakby przez to powiedzieć chciał: miej-że rozum!... Taka była konkluzya. Do konkluzyi tej zmierzała rozmowa cała, sprowadzona umyślnie przez starego Turka, który, pomimo że nie zajmował stanowiska urzędowego, posiadał jednak głos w naradach urzędowych i szacunek powszechny. Szanowali go i mu-

zułmanie i chrześcijanie dla powagi, jaka od starca tego biła, a oraz i dla rzetelności, jaka go odznaczała. I w Serbii w czasach owych, jak wszędzie i zawsze, istniały idealne jakieś »dawne czasy«, w których lepiej było tak pod względem bytu samego, jako też pod względem ludzi. Owóż Mehmed-bej był czasów owych przedstawicielem żywym — mężem, co nie lubił słów na wiatr rzucać, co posiadał dukatów — jak wieść niosła — zasieki pełne, co nie pędził żywota w rozkoszach haremowych, wzorem współwyznawców swoich, co nakoniec był jednym w sześciu osobach, przez co imponował ludziom nie tylko powagą, rozumem, bogactwem i rzetelnością, ale oraz i siłą fizyczną, potęgą ramienia, mającą znaczenie wielkie w krainie nawpół dzikiej, w oczach ludności, której za pokarm duchowy służyły podania, do rapsodów homerowskich podobne. Dodać jeszcze potrzeba i to, że Mehmed-bej był z rasy Słowianinem czystej krwi. Protoplasta jego jakiś, *włastelin* zapewne, dla zachowania stanowiska społecznego pod panowaniem obcem, *poturczył* się. To już nie raziło. Zresztą sam on *poturczęncem* nie był i odpowiadać nie mógł za słabość praojca swego, nad którą wieków cztery przeminęło (bitwa na Kosowem polu miała miejsce w roku 1389). Stanowisko jego wśród społeczeństwa, pod wpływem tureckich rządów sformowanego, ustaliło się i uprawniło, i nikomu ani przez myśl nie przechodziło brać Mehmed-bejowi za złe, że on, Serb z krwi i kości,



chwalił Boga nie w cerkwi, ale w *dżamii*, wyznawał proroka, szeptał strofy z Koranu, pościł w Ramazan, święcił Bajram i... obchodził uroczystości chrześcijańskie. To ostatnie czyniło go swojakiem w oczach rai. Urząd był obcy, jańczarowie byli obcy, spaje jednak za obcych się nie uważali. Odróżniali się tylko od tłumów przywilejami, będącymi nie czem innem, jeno potwierdzeniem, z modyfikacyami pewnemi, tych przywilejów, jakie posiadali za czasów niepodległości serbskiej.

---

## 2. W podróży.

---

Wraz ze słońcem wschodzącem, które wytaczając się powoli z poza gór, złociło pagórki, wynurzyło się z doliny, w głębi której płynie jeden z prawobrzeżnych przytoków Sawy, trzech jeźdźców. Dwaj z nich jechali jeden obok drugiego, trzeci trzymał się za nimi w oddaleniu kroków kilkudziesięciu. Jechali stępem na koniach, jak zwykle w podróży, objuczonych. Pakunki z tyłu i z przodu do siodeł przytroczone sięgały im do pasów prawie, *bisagi* zwisały poniżej kolan: pierwsze składały się z pościeli i z wierzchniej odzieży, drugie napełnione były bielizną, sprzętami i jadłem. Konie porody tureckiej, mierzyny silne i lekkie, szły dość swobodnie, pomimo że im ciężko być musiało, boć to i siodła coś ważyły i jeźdźce nie należeli do najmniejszych. Rynsztunek żadną się nie odznaczał szczególnością. Siodła były-to kulbaki proste z przystosowanymi z białej szafirowej czaprakami, które w kształcie płacht kwadratowych spadały koniom na tyły, okrywały im boki i wyrosty ogonów; uzdy z kuta-

sami i mosiężnymi blaszkami zdobiły im łby; munszuki ostre, strzemiona szerokie i krótko uwiązane: oto wszystko, co się w tym względzie powiedzieć da.

Z jeźdźców jeden był znajomy już nam trochę, człowiek w czarnym turbanie; z dwoma drugimi zabierzemy znajomość teraz właśnie.

Znajomość ta, jak na ten raz, będzie pobieżną: chodzi nam bowiem naprzód o założenie tła pod obraz powieściowy, mający się następnie w dramat historyczny rozwinąć.

Jeźdźce jeden od drugiego różnili się strojem. Różnica ta znamionowała różnicę narodowości.

Człowiek w czarnym turbanie, nazywany Piotrem przez Mehmed-beja, był, jak wiemy, Bułgarem. Ten, co obok niego jechał, wydawał sobą Serba. Z ubrania jego biło jakoweś wyszukanie, z próżnością graniczące. Na głowie nie miał zawoju, ale fez czerwony z sutym jedwabnym kutasem, na grzbiecie mu spadającym. Na nim granatowa, jedwabiem szyta kurta z wylotami, granatowe wyszywane szalwary i pas czerwony wełniany, szeroko około bioder opasany. Z pod kurty na piersiach otwartej wyglądał kaftanik w paski drobne, z za pasa sterczały pistolety i kindżał. Po orężu sądząc, wzięćby go należało za Turka. Nie był to Turek jednak.

Jeździec, z tyłu się trzymający, ubrany był całkiem biało z wyjątkiem zatłuszczonego feza, którego barwa, czerwona niegdyś, zmieniła się w cie-

mno-brunatną, pasa, który był czarny rzemienny, suto blaszkami nabijany, i obuwia zrudziałego. Zresztą wszystko było białe: i fustanela fałdzista, kibić mu, nakształt spódnicy, okrywająca, i hunia z sukna grubego, mająca zamiast rękawów w trójkąt wycięte naramienniki, i odzież spodnia. Strój ten zdradzał Arnautę.

Serb, Bulgar i Arnauta odbywali podróż razem.

Jechali stępem. Słońce wschodziło i oblało ich blaskiem. Snadź wyruszyli z dnia świtaniem, w oświetleniu bowiem pierwszych promieni lampy dziennej ukazali się przysypani zlekka kurzawą, wzbijaną kopytami ich koni. Serb do słońca uśmiechnął się, wyprostował i westchnął. Bulgar, który dotychczas zamyślony w siodle siedział, uśmiechnął się także i odezwał z akcentem zapytania:

— Hm?...

Serb spojrzał na towarzysza z ukosa, z wyrazem takim, jakby oczekiwał na przemówienie wyraźniejsze nieco, aniżeli nie mówiące mruknięcie. Ten atoli jechał dalej w milczeniu, które snadź Serbowi do gustu nie przypadło, przerwał je bowiem po chwili.

— Mruknałeś i mnie się zdawało... — rzekł.

— Cóż ci się zdawało?...

— Że chcesz coś powiedzieć...

— W rzeczy samej miałem ten zamiar, ale...

— Ale co?..

— Miałem się ciebie o coś zapytać...

— Czemużes nie zapytał?...

— Bo znalazłem na zapytanie odpowiedź, nim usta otworzyłem... Chciałem się dowiedzieć, dlaczegoś westchnął... Westchnałeś, bo cię słońce przygrzało, nieprawdaż?...

— Tak jest... — odrzekł Serb.

— Zrobiło ci się miło po chłodzie porankowym, co do kości przejął...

— Zaprawdę, tak...

— Otóż widzisz, nie było o co pytać...

— Było jednak dlaczego — podchwycił Serb — przerwać milczenie, panujące pomiędzy nami od dwóch blisko *sahatów* (godzin), jeżeli nie więcej...

Na słowa te Bulgar wyjął z za pasa krągłe, spore, o spłaszczonych brzegach pudło, mające kółko srebrne, przez które przewleczony mocny, z jedwabiu ukręcony sznurek przez szyję mu przechodził. Pudełko to, skórą z wierzchu oklejone, możnaby na pierwszy rzut oka wziąć za naczynie do przechowywania wiktuałów podróżnych, lub też za pokrowiec, mieszczący w sobie klejnoty, albo coś podobnego. Objętość onego trudnem czyniła przypuszczenie, ażeby to miał być zegarek kieszonkowy. Nie był on więc, ściśle mówiąc, kieszonkowym. Żadna kieszeń w odzieży ludzkiej nie mogłaby pomieścić go w sobie. Miejsce na niego znajdowało się za pasem, skąd jeździec wydobył go, otworzył, popatrzył i rzekł:

— Od dwóch i pół...

I nie zamknął natychmiast. Zdjął pokrowiec zwierzchni i wsunął go sobie w zanadrze. Zegarek ukazał się z cyferblatem na widoku, znajdującym się pod ochroną szkiełka grubego i wypukłego. Jeździec otworzył następnie pokrowiec drugi, który zawiesił sobie na palcu grubym, otworzył następnie pokrowiec trzeci, czwarty i piąty — dwa przedostatnie były blaszane, ostatni szyldkretowy — i z każdym uczynił to samo. Z pod osłon tych wynurzył się wreszcie srebrny, bombiasty zegarek, mający kształt i rozmiary dużej cebuli. Chodziło o nakręcenie onego. Operacya odbyła się pomyślnie. Kluczyk w dziurkę włożony i ostrożnie obracany wydawał skrzypienie, które na chwilę zadominoowało nad tętentem kopyt końskich. Serb przypatrywał się temu z ciekawością, i gdy Bulgar składać począł pokrowce w porządku odwrotnym temu, z jakim je zdejmował, zapytał:

— Co ciebie ten *sahat* kosztuje?

— Czterdzieści i pięć dukatów...

— *Bre, bre!*... I za tańsze pieniądze nie dostanie?...

— Dostanie, ale nie samca... Samice płacą się taniej...

Odpowiedź ta wydała się Serbowi tak racjonalną, że dalszych zapytań, dotyczących się wartości zegarków, nie dawał. Westchnął tylko i rzekł:

— O! jakże pragnąłbym mieć *sahat*!...

— Na co?... — odparł towarzysz. — Słońce



znaczy godziny na niebie w dzień, a w nocy wyspiewują je koguty... Ja co innego: w fachu moim handlowym, gdy w mieście jestem i mam w dniu jednym trzydzieści, a nieraz i więcej do załatwienia interesów, muszę się rachować nie tylko z godzinami, ale i z minutami... ale ty!

— O! bardzobym pragnął *sahat* mieć!...

— Chyba na to, ażeby się nim przed Milicą chwalić... Oj, Miłoszu!... Miłoszu!...

Serb, jak to powiadają, w sedno słowami temi trafion był. Rumieniec wyskoczył mu na policzki, postradał niejako równowagę kontenansu, i dla odzyskania takowej w siodle się poprawił, odchrząknąwszy głośno.

— Daj temu jednak pokój... — mówił Bulgar dalej. — Krwi sobie napsujesz i nic nie wskórasz, póki stary żyje... A jeżeli pożyje lat jakich trzydzieści, to *diwowjka*, pomimo że *lepotica* taka, w dziewiczym stanie postarzeć będzie musiała... Waryat!... — dodał w końcu i ręką machnął.

Serb w milczeniu uwag towarzysza słuchał i, zdaje się, rację mu przyznawał, bo nawet ramionami ścisnął.

Zanotujemy sobie uwagi te w pamięci, — przydadzą się nam one później, — a tymczasem towarzyszymy podróżnym naszym.

Jechali — jak to powiadają — z zakładem, po gospodarsku, nie przyspieszając, ani zwalniając kroku. Konie szły wciąż stępem rażnym i równym, prycha-

jąc niekiedy, co dobrym znakiem i dobrą było wróżbą. Znak odnosił się do zdrowia końskiego, wróżba do przyjęcia, jakie jeźdźców u kresu podróży oczekiwało — kresu, który blizkim nader być się nie zdawał. Kierunek drogi szedł ku południowi, »po-między dwa słońca«, wschodzące i zachodzące, ku górom widniejącym w dali, których grzbiet linią krzywą na pogodnem malował się niebie, a bliskość ich znamionowała fizyonomia kraju, przedstawiająca cechy okolicy podgórskiej, pogurbionej, połamanej, trzymającej środek pomiędzy krajem górzystym a płaskim. Droga wiała się po większej części koso-górami. Pozór kraju był dziki. Uprawnej roli kawałek zdarzał się rzadko, pomimo że z poza załomów wzgórz wznosiły się nierzadko dymy, świadczące o obecności osad ludzkich, i słyszeć się dawały szczekania psów, pianie kogutów lub porykiwanie bydła, zdradzające ludność rolnictwem zajętą. Kultura wszakże, jeżeli jaka była, nie wystawiała się na widok publiczny. Droga szła wśród pól, których ręka ludzka nie dotykała, zarosłych krzakami i trawą, lasem lub chwastami, i tylko w równych mniej więcej odległościach spotykałeś na niej świadectwo ludzkiej obecności i troskliwości o wygodę własną pod postacią studni murowanych, zwanych z turecka *czesme*. Budowa ich była prawie jednakowa: ściana kamienna, w ścianie rurki żelazne, z których woda rzucała się w żłób kamienny; na środkowym, wmurowanym w ścianę kamieniu

nieczytelny dla chrześcijan napis turecki. Obok, drzew kilka rozłożystych, dających cień i chłód w upały, a obok drzew kamień lub pień, służący do wsiadania na koń. Studnie te byłyto tureckie gospody — karczemki traktowe, praktyczne letnią zwłaszcza porą, kiedy wędrowiec nie miał potrzeby szukania schronienia przed czem innem, tylko przed promieniami słońca. Praktyczność ich zależała głównie na nieobecności napojów rozgrzewających! O! czemuż nie utrzymała się ona na zawsze, jako zabytek tureckiego jarzma!... czemuż się nie przechowała po *hanach*, co obok studzien stanęły, strugami wina i *raki* trysnęły i karty dla rozrywki podróżnych rozłożyły!

W czasach atoli, w których znajomi nasi podróży odbywali, *hanów* po traktatach nie było jeszcze. Przejeżdżało się przestrzenie wielkie bez spotkania śladu ludzkiej siedziby. Droga prowadziła od miasteczka do miasteczka wśród pól dzikich i pustych, a kto nie mógł, lub nie chciał na nocleg miejski zdążyć, zbaczać musiał w prawo lub w lewo i szukać wsi po ustroniach. Ludność miast i miasteczek składała się przeważnie z Turków. Cudzoziemiec przeto, podróżujący po Serbii, narażał się na ten sam błąd, któremu obecnie ulegają cudzoziemcy w ziemiach słowiańskich, przez Prusaków posiadanych: jak tam spotykają Niemców samych po traktach głównych i miastach, tak tu spotykali Tur-

ków samych. Pokazuje się stąd, że sztukę prezentowania kraju Niemcy od Turków przejęli.

Podróżni nasi, około ósmej rano, do pierwszej dotarli *czesmy*.

— *Halt...* — odezwał się Bulgar wesoło — jak Szwabcy powiadają... Zatrzymamy się, zakąsimy i *lule zapuszmy*...

Nie potrzebowali koniom cugli ściągać, — same się zatrzymały. Pozsiadali, każdy podjezdka swego sam napoił i torbę mu z obrokiem na łbie zawiesił; każdy od siodła odpiął kilimek i na murawie rozesał; każdy z bisagów zawiniątko wydobyl i na kilimku swoim usiadł; poczem zestawione razem i otworzone zawiniątka wykazały zapasy podrózne, składające się z baraniny pieczonej, sera, cebuli, papryki, soli i chleba, rozłożonych bądź na ręcznikach, bądź też na miseczkach drewnianych i na liściach kapuścianych. Śród jadła pojawiły się pękata *czutra* i smukła z długą szyjką flaszka, napełniona płynem żółtawym.

— *No, da jediemo, da pijemo i da sie weselimo...* — rzekł Bulgar, wziął flaszkę do ręki, podniósł ją do góry, spojrzał na płyn w niej zawarty do słońca, oko jedno przymrużając, do ust szyjkę przyłożył — gul, gul, gul — łyknął haust jeden, splunął, flaszka lekko wstrząsnął i Arnaucie ją podał.

Arnauta spojrział na podane sobie szklane naczynie wzrokiem takim, jakby do trunku wstręt czuł.

— Co?... — zapytał Bulgar — czy myślisz, że prorok śliwowicy zakazał?...

— Jeżeli zakazał, to nie mnie... Ja sobie z proroka — tu prorokowi w matkę załajał — robię tyle, co pies z kości ogryzionej...

— Z kogoż ty sobie co robisz?...

— Co prawda, z nikogo... — odparł od niechcenia. — Do śliwowicy zaś się krzywię, bo rad-bym ją połknąć ze *stakłem* razem, a tu nie można... Trzeba choć kropel kilka zostawić *momkowi* temu.

Tu rzutem głowy na Serba wskazał.

— Pij, pij, ile zmożesz, i na nikogo się nie oglądaj..., — rzekł Bulgar.

Arnauta nie kazał siebie dwa razy prosić. Flaszkę przechylił, golnął raz, drugi, trzeci i płynu połowa mniejsza w niej pozostała.

— A!... — z przyciskiem gardłowym zawołał. — Słodka jak miód, a gorąca jak ogień...

I po piersiach się dłonią pogładził,

— Musiałeś się niemało podobnej opić, jakieś z kirdżalimi chodził?...

— *Majka niegowa!*... gdzie tam!... Ludziom się zdaje, że kirdżali w winie i raki się kąpali. Nieraz się głodem przymierało i najczęściej się wodą pragnienie gasiło... Oho! nie taka raja głupia, jak się zdaje... Bywało, do wsi wpadamy, wieś pusta, ani żywej duszy, ani marnej kokoszy... Psy się nawet pochowały... Zabieramy się ognia wykrzesać i ze czterech końców takowy podłożyć, aż tu z za płota:

paf!... *opaliła puszką* jedna, tam druga, dalej trzecia, ten i ów z konia się zwinął, reszta w nogi na czczo... E!...

Ręką machnął i po jedzenie sięgnął.

— To ty dlatego snadź odstąłeś od nich...

— A dlaczegoż innego!... Mało nie sto razy zbierałem się kirdżalich porzucić i do frajkurów przystać, ale nimem się zebrał, to i *kauğa* się skończyła. Czemuż on śliwowicy nie pije?...

Zapytanie ostatnie odnosiło się do Serba, którego poprzednio *momkiem* był nazwał. *Momak* znaczy chłopak dosłownie. Nazwa ta należała się Miłoszowi słusznie z powodu młodych lat, które mu się na obliczu i na postaci malowały. Postacią smukłą był jak topola, pomimo że budowa ciała wyrażała męską siłę; na twarzy mszyła mu się barwa młodzieńcza, niby na pół-dojrzałym śliwy owocu, pomimo ciemnego zawieszistego wąsa, co mu wargę zwierzechnią okrywał i pozór rycerski obliczu jego nadawał.

— Ech!... — odpowiedział Bulgar tonem na poły żartobliwym. — Śliwowica to ogień, a jemu ognia nie potrzeba: ogień pali mu się w piersi, podłożony białą ręką *diewojki-lepoticy*... To nieszczęście całe!... *Diewojka* mała jeszcze, a już po świecie słynie... Hej, ha!... Jakem był w Serajewie raz ostatni, pół roku temu, Kulin-kapetan mnie o nią rozpytywał..

— Kulin-kapetan?... — rzekł młody Serb, zwracając na Bulgara wzrok i marszcząc brwi.



— Tak, Boga mi, rozpytywał...

— Skądże on o niej wie?...

— Skąd?... hm... Zakłęcie Radiwoja do wiadomości jego doszło... A Kulin-kapetan, to junak... i sam z siebie i z miecza...

— Z miecza?... — odezwali się tonem ciekawego zdziwienia obydwu razem, Serb i Arnauta.

— Tak, tak... — odpowiedział Bulgar, rozdzierając paprykę i w sól ją maczając. — On się od Sokoliczów wywodzi i po Sokoliczach dostał się mu miecz, szeroki ot tak — szerokość dłonią rozwartą pokazał — a z nim zakłęcie...

— Że, kto miecz ten nosi, tego się kula nie imie... — podchwycił Arnauta, zniecierpliwiony powolnością opowiadania Bulgara, który gadał, jeżdżąc.

— A nie... nie to...

— Gdyby to, natychmiastbym się do bosańskiego elejatu wybrał i do Kulin-kapetana na *saisa* wprosił...

— No... i cóż?...

— Ukradłbym mu miecz i z mieczem uciekł...

— Uhu!... Musiałbyś pierwaj okutą żelaznemi sztabami skrzynię rozbić, albo też zabrać go ze skrzynią, której stu takich jak Uzun-Mirko z miejsca nie ruszy... Ty znasz przecie Uzun-Mirka?...

— Ho!... — odparł Arnauta. — Ja z nim *barabar* — tu dwa palce ukaziciele od dwóch rąk

razem złożył, co oznaczało przyjaźń upostaciowaną — zaprzysięgliśmy sobie pobratymstwo...

— Ty i on?... mała i niedźwiedź?... cha, cha, cha!...

Arnauta, wzrostem mały i szczupły, a twarzą nieponętny — wielkousty, kurnosy, zyzooki i kłapouchy — nadawał się do porównania tego, które samo przez się Bulgarowi się nastęczyło i wielce go śmieszyło.

— Cha, cha, cha!... — śmiał się z gębą otwartą, w której widać było paprykę, mięsa kawał i chleba kęs, oczekujące na przeżucie. — Bodaj ciebie z pobratymstwem twojem!... Uzun-Mirko i ty?... No, toż się dobrali!...

Arnauty nie gniewał śmiech ten bynajmniej. Ramionami ścisnął, głową kiwał, oczami łypał i cebulę zajadał, biorąc płateczek po płateczku i maczając każdy w sól i w paprykę czerwoną, na proszek startą.

Śmiech ten wszakże niecierpliwił młodego Serba.

— Cóż to za zakłęcie?... — zapytał.

— Zakłęcie?... — odparł Bulgar, jakby nie wiedząc, o co chodzi.

— Tyczące się miecza Kulin-kapetana?...

— A!... uhm... Zakłęcie takie: póty panowania tureckiego, póki z ręki Sokolicza raja miecza tego w boju nie wydrze...

Serbowi oczy się na te słowa zaiskrzyły.

— Z Sokoliczów jeden — ciągnął Bulgar dalej,

przerywając sobie mowę co chwila wkładaniem do ust jadła, palcami szarpanego — z Sokoliczów jeden, lat temu... haj!... może sto, może dwieście, może więcej... był wielkim wezyrem w Stambule-grodzie... Byłto wielki człowiek i taki szczęśliwy, że byle tylko co zamyślił, to wnet się stało... Nie smucił się też nigdy, tylko raz jeden... Raja się *po-buniła* (zbuntowała)... Jak *haber* o tem do niego doszła, wielki wezyr zrzucił z siebie wezyrski kołpak, wezyrską odzież, cisnął od siebie precz wezyrski buzdygan szczerozłoty, w koszuli jednej na ziemi usiadł i za brodę się garściami uchwycił... I tak siedział od rana do wieczora, od wieczora do drugiego rana, nie jadł, nie spał, kawy nie pił, *lul* nie *puszył*, o haremie, w którym niewolnic trzymał tyle, co dni w roku, od dnia każdego inna, ani pomyślał, i Bóg wie, jak długoby tak przesiedział, gdyby, ni stąd ni zowąd, nie zjawił się przed nim derwisz w zawoju zielonym, z mieczem pod pachą... Wielki wezyr spojrzał tylko na niego i nic... Myślał może, że derwisz miecz z pochwy wyjmie i łeb mu nim z karku strąci... Ten jednak w takie odezwał się słowa: »Sokoliczu, nie smuć się napróżno; oto masz miecz nieludzką kutą ręką; póki miecza tego raja z ręki Sokolicza w boju nie wydrze, póty się ona z tureckiego panowania nie wyłamie, chociażbyto w sto, w tysiąc po śmierci twojej lat...« Takie słowa derwisz powiedział, miecz wielkiemu wezyrowi na

kolanach ostrożnie położył i, jak się zjawiał, tak znikł...

— Bre, bre... — odezwał się Arnauta, głową kiwając.

Serb z zajęciem wielkiem opowiadania słuchał.

— I prawda... — mówił Bulgar. — Ot, w czasie *kaugi* ostatniej Szwaba zagarnął był wszystko... i wszystko Turkowi oddał; raja przy orężu, czetami pod sztandarami własnymi chodziła... i znów pod panowanie tureckie powróciła... Ile razy do Stambułu wiadomość przychodziła, że Szwaba *nadmaga*, tyle razy sułtan pytał o miecz...

— To wie sułtan o zakłęciu?... — wtrącił Arnauta.

— No, a jakże!... Jakżeby mógł nie wiedzieć o rzeczy takiej!... — odparł Bulgar. — Jak się ta kauga rozpoczynała, Kulin-kapetan był chłopięciem jeszcze, wnet więc przysłano ze Stambułu siedmiu największych w carstwie całem junaków jemu na straż przyboczną, niby królewiczowi, uzbrojonych tak, że nie było gdzie szpilką tknąć, ażeby na oręż jaki nie natrafić, po siedem pistoletów, po siedem jataganów, po siedem nożów, po siedem puszek, po siedem...

— Jakże oni to wszystko nosili?... — zagabnął Arnauta.

— Gdyby byli wzrostu twego, to nie mogliby tyle oręża nosić, ale że byli wzrostu pobratyma twego, to miejsce na sobie znaleźli...

— Przywiązywać sobie musieli oręż do kolan...

— Przywiązywali i do kolan, wkładali za kołnierza, nosili go na głowach i mieli nakaz nie rozłączać się nigdy i nie rozbrajać się nigdy. Uzbrojeni jedli, uzbrojeni spali, a nie zasypiali nigdy wszyscy naraz i doglądali Kulin-kapetana, a bardziej miecza jego, jak żrenicy w głowie...

— No, a dziś?...

— Dziś już straży niema... *Kauga* się skończyła i Kulin-kapetan wyrósł na junaka takiego, że haj!...

— I rozpytywał ciebie, Pietrze, o dziewczynkę Radiwoja?... — zapytał Miłosz.

— Nie tylko rozpytywał, ale kazał mi, ażebym się od niego Radiwojowi pokłonił i powiedział, że się w goście do niego wybiera...

— Kulin-kapetan!... z mieczem?... — zawołał Serb.

— Czy z mieczem, czy bez miecza, tego nie powiadał... Ale chociażby z mieczem, to myślisz, iżby się on o niego bał?... On nim łeb bawołowi jak makówkę ścina... Junaka podobnego nie było chyba, odkąd słońce nad ziemią świeci...

Rzekłszy słowa ostatnie, na słońce spojrział, następnie na dojadające obrok konie oczy zwrócił i po czutą ręką sięgnął.

— Napijmy się *crwlenog winca* i jedźmy dalej...

Dał przykład, czutą z rąk do rąk poszła, — najdłużej zatrzymała się w rękach Arnauty, —

i w chwilę później podróżni nasi na siodłach znów siedzieli. Znów się, jak poprzednio, uszykowali. Arnauta jechał z tyłu, Serb i Bulgar przodem. Ten ostatni, rozgadawszy się na popasie, miał ochotę gadać dalej, lecz znalazł tym razem w towarzystwie swoim człowieka, co nie rad był słuchać. Napróżno od czasu do czasu pytaniami go zaczepiał. Młody Serb albo nie odpowiadał wcale, albo odrzucał odpowiedzi ucinkowe, nie nadające się do podsyłania rozmowy. Zadumany był i milczący. Usposobienie jego oddziaływało i na Bulgara. I on w milczeniu się pograżył. Z wymówionych wszakże przez niego frazesów i ucinkowych Serba odpowiedzi z łatwością domyślić się było można, że spólny cel podróży nie łączył znajomych naszych. Bulgar jechał na Podrinie w interesach handlowych; Serb powracał do domu swego; Arnauta dążył w świat za oczy. Spotkali się w Szabcu, pierwszemu i drugiemu droga w jednym i tym samym wypadła kierunku, trzeci się do nich przyczepił i w ten sposób stowarzyszili się w podróży. Można było przypuszczać, że Arnauce tęskno się do rodzinnych zrobiło stron, ku którym zbliżał go kierunek podróży, idący ku źródłom rzeki Driny. Za górami, w których źródła te biją, stara Serbia, a tam dalej i Arnautłk. Przypuszczenie to atoli samo przez się upadało. On ani myślał o stronach rodzinnych.

Do domu Miłosza nie można było, jadąc stępem, jednym dojechać dniem. Nocleg był konieczny i po-



dróżni nasi mieli do wyboru dwa sposoby do noclegowania: albo na trakcie, przy jednej ze studni, pod konarami platanu, albo też we wsi pierwszej lepszej, na boku położonej. Wybrali ten ostatni. Gdy słońce ku zachodowi się miało, wzięli się w prawo, zjechali z traktu, godzinę przeszło podążali krętymi drożynami, schodzącymi się i rozchodzącymi w punktach różnych w niespodziany sposób; zbłądzić było łatwo, lecz znajomość okolicy doprowadziła ich o słońca zachodzie do podgórskiej osady, rozsypanej malowniczo nad potokiem. Nie było to wieś we właściwym tego wyrazu znaczeniu: nie było w niej bowiem tego pomieszczeń ludzkich skupienia, co to oznacza wspólność gminną. Chałupy oddalone jedna od drugiej, stały osobno. Każda stanowiła całość oddzielną, z utrudnionym przystępem z przodu, z ułatwionym odwrotem z tyłu. Zagrody wszystkie prawie miały przed sobą urwisty brzeg i prawie opierały się o las: ażeby się do której dostać, trzeba było potok przebyć i po stromej pochyłości do góry się wspinać. Po nocy przeprawa ta niepodobną prawie do uskutecznienia była dla ludzi obcych.

Podróżni nasi przybyli za dnia jeszcze i, minawszy chałup kilka, których pozór nie był obiecujący, nawrócili do jednej, otoczonej wysokim nowym płotem. Otwarte na ścieżaj wrota, zdawało się, jakby w gościnę zapraszały. We wrotach spotkał ich gospodarz.

— *Dobro wiecze...* — pozdrowił go Bulgar.

— *Dobro doszli...* — była odpowiedź.

— Prosimy się na *musafirlyk*, gazdo, do ciebie...

— Prosimy, *awlija* (podwórze) otwarte...

Pozsiadali przed wrotami z koni i wnet zjawiło się trzech wieśniaków, którzy je od nich wzięli i oprowadzać poczęli; gazda do *kuti* gości prowadził i przed *odżagiem* ich sadowił.

— Skąd Pan Bóg prowadzi?...

— Z Szabca...

— Ranoście się w drogę puścili...

Słowa te były niejako zagajeniem rozmowy, w której udział, oprócz gospodarza i gości, brało jeszcze i innych ludzi kilku, którzy także gospodarzami w tej chacie byli. Nazwaćby ich jednak należało wice-gospodarzami, stosując się do pojęć naszych. W rodzinach serbskich, po wsiach zwłaszcza, przechowuje się po dziś-dzień stary zwyczaj nie dzielenia majątku i nie odłączania się od ogniska domowego. Ojciec oddaje z domu córki, ale synów zatrzymuje przy sobie. Synowie żenią się, zostają ojcami i nie wynoszą się z pod dachu ojcowskiego. Nieraz trzy pokolenia, pomnożone ilością głów męskich, figurujących w drugim, mieści się w obrębie jednej chałupy, utrzymując spólność pracy i mienia pod kierunkiem głowy rodu. A gdy głowa rodu schodzi ze świata tego, miejsce jej zajmuje brat najstarszy. Nazywa się to: „*zadruga*”. Owóż ci inni gospodarze, czyli też wice-gospodarze,

co obok siwego gazdy przy odżagu miejsca pozajmowali, byli to członkowie zadrugi.

— Cóż tam w Szabcu słyhać?...

— Chwała Bogu, wszystko dobrze... A u was, po siołach?...

— Chwała Bogu... — odpowiedział wieśniak.

— Dobrze?...

— Lepiej być nie może...

— Czy to spaiłyk?...

— Spaiłyk...

— Czyj?...

— Mehmed-beja...

— Z nim to i przed kaugą źle być nie musiało...

— Z nim... tak... — odrzekł wieśniak. — Ale i jemu i nam, *jadnej rai*, źle było... Teraz zaś, Bogu dziękować, nastały czasy, o jakich się chrześcijanom ani śniło... Ludziom się zdawało, że czasy takie pod Szwabą tylko byćby mogły, i cieszyli się, jak Szwaba *nadwładał* Turczyna.

— Phi!... — burknął Bulgar i ręką z oznaką przeczenia machnął.

— Ja nie wiem... Co ja, *sielak*, wiedzieć mogę... — tłumaczył się gazda. — Tak ludzie powiadali, ufając w to, że i Szwaba chrześcijanin, i że dawniej, gdy kto na jego stronę zbiegł, to on zasłaniał...

— Zasłaniał, to prawda, ale na to, żeby ze zbiegów mieć *wojników* najlepszych i najwierniejszych... Co się zaś szwabskiego chrześcijaństwa ty-

czy, to ono stokroć gorsze, aniżeli tureckie mahometaństwo... Mahometaństwo bowiem, rzecz wiadoma, inna wiara: człowiek wie, czego się trzymać... chrześcijaństwo zaś szwabskie, nibyto! takie samo jak nasze, a jednak nie takie samo, kiedy się na nie, jak na turecką wiarę, nawracać potrzeba... Lepiej więc, że się tak stało, jak stało, i serbska ziemia pod władaniem tureckim pozostała...

— Boga mi, lepiej... — powtórzyli chórem ojciec i synowie.

— Potrzeba tylko, żeby się raja szanowała... Turcy z ojcami i praojcami znali się i na jednej ziemi żyli...

— Boga mi, tako jest...

— Oni nam już swojacy...

— A tak...

— Sułtan raję pożałował...

— O! niech mu Bóg da królestwo niebieskie!... To prawy nasz car... Sam *prota* go inaczej nie nazywa...

Rozmowa, przeplatana opowiadaniem i przytaczaniem faktów i anegdot, służących do poparcia głównej treści, toczyła się wciąż pomiędzy gospodarzami a Bulgarem. Miłosz i Arnauta udziału w niej nie brali. Pierwszy dumał, drugi drzemał. Aż wniesiono *astał*, zastawiony misami z jadłem i ułamkami świeżego, bo kurzącego się jeszcze oparem placka, w popiele upieczonego. Misę środkową zapełniała gorąca *czorba*, poboczne fasola, potrawka mięsna,

zwana *jahne*, cebula pieczona, niezbędna przy każdym serbskiem jedzeniu papryka, ser, śmietana, miód w plastrach, słowem wszystko, czem chata bogatą była, a co służyło za dowód gościnności, jaka się w czasach owych w Serbii praktykowała. Goście i gospodarze zasiedli do wieczerzy. Rozmowa toczyła się dalej, wciąż w treści tej samej. Bulgar zachwalał tureckie panowanie; Serbowie nie umieli znaleźć wyrazów dość dosadnych na ubłogosławienie sułtana, hadži-Mustafy i starego Mehmed-beja.

---

### 3. Postrach i nauka.

---

Spuśćmy na chwilę podróżników naszych z oka, wyprzedzając ich na południowej pochyłości Cerskich gór, w dużej wsi, przez okolicznych mieszkańców tytułowanej „warosz“, co znaczy miasto. Niech będzie wedle nich. W powieści nawet, przychodząc z nią w gości do pobratymców, nie wprowadza się zwyczajów swoich, ale przyjmuje się miejscowe: — nakazuje to dobry ton i przyzwoitość powszechnie przyjęta, a przez jednych ponoś Anglików niezbyt ściśle przestrzegana. Moglibyśmy wprowadzić wśród Serbów naśladować synów Albionu i przybierać w ojczyźnie Duszana, cara-Lazara, św. Sawy i królewicza Marka ton i miny te same, jakie się przybierają w Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie, w Australii, na przykładu Dobrej Nadziei, odwołując się do historii, podającej kraj nasz jako metropolią, a Serbią jako kolonią. Historia w rzeczy samej za rękę niby wyprowadza Serbów z okolic Lwowa, Stryja, Stanisławowa, wykazując stosunek ich do nas, określający się wyrażeniem: »kość z ko-



ści, krew z krwi«. Działo się to jednak tak dawno, tak bardzo dawno, że dobrze o tem wiedzieć, jako o fakcie ciekawym i ważnym pod względami pewnymi, jako o danej, służyć mogącej do objaśnienia w sposób analogiczny zagadnień niektórych dziejowych; nie można wszakże z tego wyciągać wniosków, upoważniających nas do ubierania się wobec pobratymców naszych w skórę przodowników rasy anglosaskiej. Nie czyńmy tego. Uszanujmy urobione na miejscu, pod wpływem okoliczności odmiennych, zwyczaje i nazwijmy Trstnicę miastem, chociażby nie dlatego nawet, że ją tak okoliczni *sielacy* nazywali, ale dlatego, że posiadała *mehanę*, *dugianę* i *konak*.

*Mehana*, po naszymu dom zajezdny, nie stanowiła ozdoby jej najpiękniejszej. *Mehandzi* wolał grosze zbierać, aniżeli troszczyć się o ozdobność budowli, która mu takowe ściagała. Nikt mu tego za złe nie brał, z wyjątkiem podróżnych, zmuszonych nocować w izbie gościnnej na gołej pryczy i gościnność krwią własną opłacać, o czem świadczyły ściany, noszące na sobie liczne ślady rąk skrwawionych. Niech jednak nikt o nic złego *mehandzemu* nie posądza. Będąc *kasapdżim*, to jest funkcyę karczmarza łącząc w osobie swojej z funkcyami rzeźnika, dopuszczał się on morderstw częstych na owcach, baranach, jagniętach i kozłętach; zabijał niekiedy nawet świnki i prosięta z żalem wielkim, jako chrześcijanin dobry; dopuścił się raz

w życiu zabójstwa na krowie, co nogę była złamała; ale na sumieniu swoim nie miał ani jednego cielecia i ani jednego człowieka. Ślady krwi pochodziły od pluskiew, które milionami mehanę zapełniały, kryjąc się we dnie po szparach i szparkach wszystkich, a w nocy występując jedną wielką, gęstą kolumną, co niby obicie tapicerskie od dołu do góry ściany okrywała. Podróżni dłońmi je gnietli. Stąd wizerunki wierne dłoni ludzkich z rozwartymi szeroko pięciu palcami, krzyżując się i łącząc, mozaikowały barwą krwi ściany izby gościnnej dokoła.

*Dugiana*, po naszymu sklep, mieściła się w jednej z chałup, nieopodal od mehany położonej, i występowała na widok publiczny nie inaczej, jeno na wyraźne którego z mieszkańców Trstnicy żądanie — i to — dodać potrzeba — nie na każde i nie na pierwsze zawołanie. Zawierała ona w sobie towary różne: bławatne, korzenne, żelazne, rzemienne i galanteryjne. Perkale i chustki wzorzyste leżały obok ćwieków i papuci, przesiąkłe nawskróś wonią, złożoną z woni pieprzu, gwoździków i cynamonu, zaprawionych ze swojej strony odorem mydła. Sąsiedztwo oliwek nie czyniło wstrętu jedwabnym i wełnianym materyom. Wszystkiego tego, rozumie się, było tam po trosze, jakby na próbę, i w gatunkach, które o pierwszeństwo pod względem doskonałości poza Trstnicą współubiegaćby się nie mogły. Dlatego też może Dugiandzi trzymał sklep swój zawsze zamkniętym. Dość mu było, że wiedziano o nim. Kto

zapotrzebował artykułu jakiego, udawał się do gospodarza, czynił mu przedstawienie, czekał na rezolucyą, i gdy takowa pomyślnie wypadła, uważał się za udostojonego dowodem względów szczególnych. Powiadano, że interesa tego dugiandżego w kwitnącym znajdowały się stanie. Być to może, — konkurencyi nie miał żadnej, kapitał więc, jaki w przedsiębiorstwo swoje włożył, procentować się mu musiał należycie.

*Konak* — dom rządowy — w epoce powieści naszej stał pustką. Za czasów jańczarskich przebywał w nim stale *subasza* z oddziałem zbrojnych ludzi i zatrzymywali się tam objeżdżający kraj ustawicznie *czitluk-sahibije*, rodzaj komisarzy, wysyłanych w celu poboru należności od rajów. Nie stało jańczarów, nie stało więc subaszów i czitluk-sahibijów; konak opustoszał, ale Serbowie zająć go nie śmieli. Nie przyznawali się oni do tego. Starszyzna miejscowa, z kmetem na czele, głośno mówiła, jako *nie ma nikakwoj brigi za jeniczara*, to znaczy nie dba o tych, co narodu ciemieżcami byli przed czasem niedawnym: pomimo to sprawy konaku nie poruszano, nikt jej nie wytaczał; skutkiem zgody milczącej budynek, w mieście najpokaźniejszy, uważano za nieistniejący i pozwolono czasowi znęcać się nad nim. Czas też obchodził się z nim, jak przed laty jańczarowie obchodzili się z narodem serbskim — obdzierał go; obdzierał mu dach, ściany, okna, drzwi, rozwalał kominy, psuł podłogi. Wieść krążyła, ja-

koby ostatni subasza skarb zakopał. Wymieniano miejsce nawet. Nie było w tem nic nieprawdopodobnego, a to z tej przyczyny, iż ucieczka Turków odbyła się tak nagle, że jeżeli mieli w posiadaniu pieniądze jakie, to zabrać takowych ze sobą nie mogli i zostawić je gdzieś musieli w ukryciu; ta sama jednak wieść stawiała *dżiawoła* (dyabła) przy skarbie owym na straży i odstraszała od onego lud chrześcijański.

Konak się walił, dugiana nie różniła się niczem od domów zwyczajnych, mehana wyglądała na zewnątrz tak brudno jak i wewnątrz: tak tedy trzy budowle, nadające Trstnicy charakter miasta, nadawały jej wprawdzie charakter ten, lecz miastu zaszczytu nie przynosiły żadnego.

Zaszczyt mu przynosiły dwie właściwości: na-przód położenie, następnie osiedlenie.

Położenie było dziełem natury. Trstnica rozrzu-ciła się na południowym stoku Cerskiej płaniny, nad przytokiem rzeczki Jadar płynącej do Driny. Góry osłaniały ją od północy — osłaniały ścianą kamienną, popękaną w rozpadliny i połamaną w wąwozy, które kombinując się rozmaicie z porostem lasów bukowych i zielonemi draperyami mchów, powojów, wrzosów, dzikich róż, ostów, dzikiego winogrodu i krzewin rozmaitych, lubujących się w gruncie skalistym, tworzyły na wsze strony widoki cudnie malownicze.

Widoki te wspierała sztuka, pomimo że manife-

stowała się nie inaczej jak w formach jak najbardziej do siebie zbliżonych: w chatach i ogrodach. Trstnica posiadała wprawdzie cerkiew, lecz ta nie wyodrębniała się pod względem architektonicznym. Nie ujmowało to nic piękności osadzie. Chaty i ogrody wypełniały świetnie obraz, oprawiony w ramy natury uroków pełnej, służąc zarazem za świadectwo wpływów dobroczynnych rządów łagodnych. W krótkim przeciągu lat dziesięciu Trstnica podniosła się i dobrobytem w oczy bijącym zakwitła. Przyległości jej okryły się winnicami, pola zbożem, łąki bydłem; lasy zapełniły trzody chlewne, ogrody drzewa rodzące owoce najprzedniejsze i najdelikatniejsze: jabłka, gruszki, śliwki, morele, brzoskwinie, migdały, granaty; pomieszkania zaś, z chat mizernych, jakimi były za jańczarskich rządów, pozmieniały się w domy z czerdakami, świadczące o zamożności mieszkańców. Domy te wpół w sadach pochowane i w nieładzie u stóp góry rozrzucone; góry od północy, rozległe widoki od południa, śród tego szumiący kaskadami potok, nad tem niebo lazurowe; wszystko to razem wzięte tworzyło całość, która pod względem malowniczości nie ustępowała w niczem burgom, położonym w Alpach lub Apeninach i posiadającym ruiny kastelów rycerskich lub mury świątyń gotyckich. Trstnica piękną była bez świątyń i ruin: — jedyna bowiem ruina, po subaszach pozostała, dziurawa i odrapana piękności jej nie przyczyniała bynajmniej, chyba pod tym względem,

że nadawała jej pewien akcent poetyczny. Akcent ten atoli nie działał na zmysł widzenia, nie wpływał na wyobrażnię przez oczy, ale przez słuch. W konaku dyabeł mieszkał. Trzeba więc było o tem wiedzieć, ażeby interwencją siły nadprzyrodzonej spotęgować piękno przyrodzone. Dyabeł odgrywał rolę swoją szczególną w tej harmonii ogólnej doskonałej.

A gdzie jest pierwiastek złego, tam musi być i pierwiastek dobrego. Z duchem złym walczy dobry — szkodnika neutralizuje opiekun. Stara to wiara, równoczesna pierwocinom wkroczenia myśli ludzkiej w świat metafizyczny. W konaku mieszkał dyabeł, w górach mieszkała Wila: — ten wartował przy skarbach tureckich i tłukł się po opuszczonym budynku, obrastającym pokrzywą dokoła; ta czuwała nad Serbią i obecność swoją oznajmiała okrzykami dziwnymi, które echa po wąwozach i werstepach roznosiły. Jak widzimy więc, atmosfera Trstnicę otaczająca, nasiąknięta była poetycznością, dodającą wdzięku podgórskiej tej osadzie.

— W jakim celu dyabeł wartę trzyma przy skarbach tureckich?...

Pytanie to interesowało Trstniczan w stopniu jak najwyższym i kwestya ważna, bo finansowa, którą ono zawierało w sobie, byłaby rozstrzygniętą nie raz i nie razy dziesięć w sposób nader prosty, przez odszukanie i wydobycie skarbu zakopanego, gdyby nie wzgląd pewien.

— A nuż Turcy powrócą!...

Nikt w to nie wierzył, nikt się tego nie spodziewał: względu atoli powyższego nie sposób było z myśli usunąć. Istniał on pod postacią przypuszczenia nieprawdopodobnego i przeszkadzał w przedsięwzięciu przeciwko dyabłu kroków stanowczych, o których istnieniu posiadali Trstniczanie wiadomość zupełną. A zresztą nie śpieszyło się im.

— Skarb nie ucieknie: bezpieczniejszy on w ziemi, aniżeli w rękach ludzkich... — powiadali. Poczekajmy...

Czekać mogli, dobrze im się bowiem działało wszystkim razem i każdemu z osobna. Ziemia rodziła, trzody się mnożyły, *nowce* do skrzyń płynęły niby woda: nic więc nie nagliło do wydawania dyabłu wojny. Odkładali rzecz tę do chwili sposobniejszej i zawczasu śmieli się z dyabła, którego w pole wyprowadzić zamierzali.

— Niech wartę trzyma, o! niech trzyma... dla Turczyna!...

Wyraz ostatni wymawiali z akcentem złośliwości szyderskiej i nazywali dyabła *cziorą*, co znaczy, że mieli go za głupca wielkiego, pełniącego służbę z góry, co do celu, chybioną. Wydawało się mu, że pilnuje skarbu dla Turków, a on tymczasem pilnował go dla Serbów. Tylko wyrażone powyżej nieprawdopodobne przypuszczenie mieszało szyki nieco. Ponieważ jednak nieprawdopodobnem było, nie psuło więc ani spokoju, ani dobrego humoru



mieszkańcom Trstnicy, zadowolonym w stopniu jak najwyższym tak z położenia swego, jako też ze stanu, jaki podówczas w kraju panował.

Pod względem tym ostatnim jeden tylko Radiwoj wyjątek stanowił, on jeden niezadowolony był. On jeden w malkontenta się bawił. Czemu?

Na zapytanie to nie było dwóch różnych odpowiedzi. Wszyscy w głos jeden zgadzali się na to, że:

— Radiwoj nedorzecznosc popełnił... Wyrwał się z zaklęciem nie w porę i cofnąć się nie może... Zapisowi, dyabłu wystawionemu, łeb ukręcić łatwo; ale co się tyczy zapisu, który człowiek panu Bogu daje... o!... z tym żartować nie można... Radiwoj złapał się samochcąc i córce, dziecku jedynemu świat zawiązał...

Litowano się nad *córą* Radiwoja; litowano się bardziej jeszcze nad Radiwojem samym i pędzono czas w pomyślności, w spokoju, w bezpieczeństwie, w zadowoleniu, w beztrosce. Do tego przyczyniało się wielce topograficzne Trstnicy położenie. Leżała ona tak, że można było Serbię całą wzdłuż i wpoprzek zdeptać, a jej z daleka nawet nie oglądać. W górach zdarzają się osobliwości podobne. Trstnica zajmowała kotlinę ustronną, przystępną z jednej tylko strony, jedną jedyną drogą, idącą przez urwiska i pełną przesmyków niebezpiecznych, przez które jazda wozem niepodobną była. Można jeszcze było dostać się do niej i łożyskiem potoku, biorąc

się od ujścia onego w górę, i przez góry, spuszcza-  
jąc się w trstnicką dolinę na złamanie karku; lecz  
sposoby te komunikacyjne wymagały, w pierwszym  
razie dokładnej znajomości ścieżek niewidzialnych,  
w drugim razie znajomości ścieżek, połączonej  
z odwagą zuchwalstwu powinowatą. Łożyskiem po-  
toku uratowali się jańczary w czasie »koczinej  
krainy«: i dlatego to nie mogli kies z pieniędzmi  
zabrać ze sobą.

Położenie takie przyczyniało się wielce — jak  
rzekliśmy wyżej — do spokoju, bezpieczeństwa, za-  
dowolenia i beztroski mieszkańców Trstnicy. Da-  
wało im ono rękojmię jedną bardzo ważną, chociaż  
nie całkiem od względów egoistycznych wolną. Da-  
wało im ono tę pewność, że żadna klęska publiczna  
dotknąć nie może ich najpierwszych, spaść na nich  
nie może niespodzianie i bez przygotowania. Pod  
względem tym, nie mieli się czego obawiać. Zanimby  
nieprzyjaciół zebrał się zboczyć do nich, mieliby  
czas przysposobić się na przyjęcie jego.

W rękojmi tej zawierała się i rękojnia po-  
myślności ich, nie całkowicie jednak. Większą część  
onej stanowiło położenie topograficzne, osłaniające  
Trstnicę w sposób mniej więcej taki, w jaki ogro-  
dnik osłania inspekta od działania chłodów i nie-  
pogód. Wystawiona na południe, była ona niejako  
oranżeryą naturalną, w której pod gołym niebem  
rósć i dojrzewaćby mogły pomarańcze, cytryny,  
figi, daktyle, banany nawet, tak klimat tam był

ciepły! Nie rosły jednak i nie dojrzewały pomarańcze, cytryny, figi, daktyle i banany dlatego tylko, że nikt nie pomyślał o sprowadzeniu takowych. Oliwek nawet tam nie uprawiano, poprzestając na jedynym stref południowych produkcie: na jedwabiu, który się w Trstnicy nad podziw udawał. Jedwabniki hodowały się same przez się prawie, zaprowadzone — jak wieść niesła — w czasach onych, w których święci żyli pomiędzy ludźmi i nauczali ich sposobów rozmaitych ułatwiania sobie pracy, na którą rodzaj człowieczy skazanym został przez Stwórcę, po wygnaniu z rajy Adama i Ewy. Były to więc czasy bardzo dawne; nie wiedziano, kto pierwszy morwy zasadził, kto pierwszy gąsienice mnożył, a jeno używano i korzystano — hodowano jedwabniki i snuto jedwab, który słynął z cienkości, delikatności i mocy wielkiej i stanowił główne źródło pomyślności mieszkańców. Jedwab przychodził darmo prawie; za jedwab wpływały *nowce*, które nie wychodziły ani na zboże, ani na drzewo, ani na wino, ani na nabiał, ani na owoce, ani na miód: wszystko to bowiem znajdowało się na miejscu. Więc tylko po odzież, po tkaniny i po przedmioty zbytkowne udawać się musiano do miast najbliższych, Szabca, Sokoła, Łonnicy, oddalonych od dwunastu do piętnastu godzin jazdy.

Jak wszędzie jednak, tak i w Trstnicy, pomyślność rozkładała się nie w równej pomiędzy obywatelami mierze. Jednym wiodło się lepiej, drugim go-

rzej, a chociaż nie było mieszkańca, któregoby nazwać można *siromasznym*, byli jednak ubożsi i bogatsi, byli bogaci i najbogatsi, był jeden najbogatszy.

W Trstnicy palcem pokazywano *kutię* z za drzew ledwie widną i nie nader pozorną, w której mieszkał najbogatszy ów miasta obywatel, i pokazując uśmiechano się złośliwie nieco, nie powiadając od razu, jak się nazywa, jakby w samym nazwisku jego zawierała się osobliwość jakaś. Opisywano na-przód dostatki: pola ornego tyle a tyle, pod lewadami tyle, pod winnicami tyle, drzew morwowych zagon cały, ogrodowi miary niema, bydła, koni, owiec, świnek moc ogromna, pasieki pni sto, *swiły* (jedwabiu) na sprzedaż coroczną ók mnóstwo, *raki* i śliwowica w piwnicy beczkami starzeje się i mocy nabiera; a co w domu naczyń miedzianych! a jakie tam porządki! Gdy zaś kto ciekawy dopytywał się o imię i nazwisko bogacza, tego, odpowiadano od niechcienia:

— *Żena jedna...*

Kobieta.

— Jakże się zwie?...

— Anka Stoicewiczka... wdowa...

W rzeczy samej, pomiędzy mieszkańcami Trstnicy pierwsze pod względem zamożności miejsce zajmowała kobieta, Anka Stoicewiczowa, albo Stoicewiczka, albo jeszcze Stoicewiczica, wdowa, i zajmowała miejsce to dzięki zaradności i zapobiegliwości

w prowadzeniu gospodarstwa. W jej ręku, pod jej zarządem i dozorem, szło wszystko jak w zegarku. Dziwić się zaiste należało, skąd w kobiecie brało się tyle roztropności, rozgarnienia i sprężystości. Gdy robocizną jakąś rozporządziła, to ta robiła się sama, tak umiała czas podzielić i zajęcia rozdać! Tego postawiła tu, tamtego posłała tam; ówdzie sama ręki przyłożyła i... paliło się! Robotnicy garnęli się do niej chętnie dla ładu, wynagrodzenia rzetelnego i strawy dobrej, jak również i dla osobiowości pewnej, działającej pociągająco. Anka Stoicewiczowa przedstawiała osobą swoją kontrast: wyglądała jak mąż silny a udawała niewiastę słabą.

— Ja wdowa, biedna, nieszczęśliwa, opuszczona, nie umiem radzić sobie... — mawiała.

Radziła jednak sobie doskonale, a w potrzebie umiała nastawić się, pogrozić i uderzyć, słowem, była to *hic mulier* w całym wyrazu tego znaczeniu. Spółobywatele szanowali ją dla zamożności i rozumu. Gdyby płeć jej na zawadzie nie stała, wątpliwości nie ulega, iż nie kto inny, jeno ona piastowałaby w Trstnicy godność *kmety*, i kto wie, czyby w *nachii* nie dostało się jej dostojenstwo *obor-knezia*; znano ją bowiem nie w samej tylko Trstnicy; znano ją w Szabcu, w Łonnicy, w Sokole, w Walewie nawet. Niewiasta, co zdołała męski rozwinąć hart, stanowiła osobiwość, wiadomoś o której z ust do ust sobie podawano. W ten sposób sława jej rozcho-

dziła się szeroko; chętnie słuchano opowiadania o szczegółach do osoby jej się odnoszących, o szczegółach, które powtórzyć musimy, wiążą się one bowiem z całością opowiadania naszego.

Anka Stoicewiczowa nie była zawsze taką, jaką przedstawiliśmy ją powyżej. Zrobiło ją taką wstrząśnienie okropne, które w chwili jednej cichą niegdyś i potulną kobietę w męża zmieniło. Stało się to za czasów »koczinej krainy«. Wieść o wojnie dostała się do ustronnej Trstnicy i obudziła w mieszkańcach uczucia i nadzieje, których istnienia w duszach swoich nie domyślali się nawet. Wieść o frajkurach uczuciom i nadziejom nadała kształty ujętne.

— Mamyż być ostatni, my Trstniczanie?... — bąknął ktoś po cichu, oglądając się z niedowierzaniem na konak, w którym jańczary pod okiem subaszy nic innego nie robili, tylko kuli, leli strzelby i pistolety czyścili i nabijali i jatagany ostrzyli.

Ten, co zapytanie to pierwszy rzucił, był to Radiwoj Raicz, człowiek młody jeszcze, zamożny, bezdzietny, chociaż już dawno ożeniony, który trudnił się przemycaniem przez góry za Sawę artykułów, podlegających przed wojną surowej skombinowanych władz tureckich kontroli. Radiwoj zapytanie to rzucił i wnet ziarnem zapadło ono w sumienia Trstniczan.

— Mamyż być ostatni?... — podchwyciono.

Poczęto się schodzić potajemnie i naradzać. Wy-

prawiano posłańców po wiadomości. Posłańce wracali, przynosząc otuchę i rozbudzając pragnienia. Schadzki i narady powtarzały się coraz to częściej. Rozbierano na nich Radiwojowe zapytanie. Chodziło o wynalezienie na nie odpowiedzi, zdolnej zadowolnić pragnienia, zestrzeliwujące się w jednym jedy-  
nem: we wzrastającej z chwilą każdą ochocie wzięcia udziału w walce, toczącej się przeciwko Turkowi.

— Pójdźmy!... — wołać poczęli gorętsi.

— Z czym?... z gołemi rękami?... — odpowiadali rozważniejsi.

— Jeśli się będziemy długo namyślali, to wojna się skończy i powiedzą o Trstniczanach, że baby: kiedy inni się bili, oni jedwab przedli... Pójdźmy, chociaż z gołemi rękami...

— Na tureckie kule? i pod tureckie noże?... Baranom tylko iść tak przystoi, nie zaś ludziom... Żebyćto choć życie sprzedać można głowa za głowę: za jednego Trstniczanina jednego Turczyna...

— Można... — odezwał się Radiwoj i tak rzecz tłómaczył, na konak palcem wskazując: — Ilu ich tam?... szesnastu, każdy ma na sobie oręża tyle, iżby na uzbrojenie dwóch ludzi starczyło. W nocy oni śpią... Człowiek śpiący trzech par nie wart... Co?...

— E!... — podchwycił z gromady jeden, a był to Ilija Stoicewicz, małżonek Anki i ojciec licznej rodziny. — Tu i mówić niema o czym... Niech ka-



żdy odienze sobie butawę łęga, niech kto ma bezmian z bezmianem wyjdzie, kto woli topór, niech topór wzięmie. i..

— Ale, ore... — zabrał głos Radiwoj, rękę podnosząc do góry. — Trzeba, żebyśmy całą wystąpili całą..

— To się rozumie! — dorzucił Ilja. — Trzeba jeszcze, żeby głowa pomiędzy nami była..

— Głowa Radiwoj.. — ktoś z gromady bąknął.

Wybrany na wodza Radiwoj naznaczył czas i miejsce i raz jeszcze polecił, żeby stawili się wszyscy.

Nie było już więcej schadzek i porad. W Tratnicy zapanowała cisza jakaś dziwnie urczyta, przerywana niekiedy odrywającym się po domach ciosaniem tajemniczem. Przyzedł naznaczony czas i — w oznaczonem miejscu stawiło się.. sześciu: Radiwoj, Ilja i z nimi czterech *betiarów*, co oprócz życia nie innego do stracenia nie mieli.

Zeszli się, postali, czekali, Radiwoj zaklął klątwą wielką — rozeszli się..

Nazajutrz wszyscy sześciu znów się zeszli.. w aprie tureckim, z dybami na nogach.

Nie było sądu ni rozprawy; był jednak wyrok, skazujący na śmierć wszystkich sześciu, tym ostrzony dodatkiem, że wyniszczeniemi być mają całe herasztów gniazda, na „naukę i postrach“.

Egzekucya doraźna i sumaryczna nie dała na siebie czekać długo. Jańczary, których liczba w za-

gadkowy jakiś sposób z szesnastu urosła na czterdzieści, spędzili przed konak trstnicki gromadę i ustawili przy słupie wskazańców: betiarów czterech, Iliję z siedmiorgiem dzieci i Radiwoja samego. Ten ostatni spodziewał się w tym właśnie czasie z dziś na jutro ojcem zostać.

Chwila była przerażająca, widok okropny. Od widoku, zwłaszcza gromadki dziatwy przy ojcu skupionej, serca pękały, a nikt skargi podnieść nie śmiał, nikt płaczem żalu okazywać się nie odważał. Syn najstarszy Ilii liczył lat dwanaście-trzyście.

Tracenie odbywało się porządkiem z chłodnym, w wyrafinowany sposób obmyślonem okrucieństwem. Najpierw betiary jeden po drugim pod miecz głowy dali; następnie kolej przyszła na Iliine dzieci.

— Szkoda jatagan na szczeniętach paskudzić!... — odezwał się z okna konaku głos agi jańczarskiego, co paląc nargile przypatrywał się widowisku. — Za nogi i głowę o słup!...

— Dzieci nie traćcie!... dzieciom przebaczcie!... mnie ćwiartujcie, kołem łamcie, na pal wbijajcie!... — zwrócony twarzą do agi wołał ojciec głosem błagalnym. — Ago prześwietny!... panie!... sułtanie mój!... to dzieci!...

Napróżno wołał. Napróżno szarpnął się w więzach, gdy dziecko najmłodsze ujrzał w rękach olbrzyma-oprawcy, co je niby piłkę w powietrze wyrzucił, za nóżkę pochwycił, zamachnął się i główka

niemowlęcia, o słup uderzona, rozbiła się jako naczynie czerepiane, rozsypując w bryzgach drobnych mózg i krew.

— Uuu!... — ryknął ojciec biedny.

Ryk ten taki był przerażający, że krew lodem się ścięła w oprawcach samych. Nastąpił moment osłupienia ogólnego.

W momencie tym słyszeć się dał niby szum, niby szelest, niby tętent. Na plac egzekucyi wpadła kobieta. Szła szybko, z głową do góry podniesioną, z błyskawicami tygrysiej w oczach wściekłości, groźna, straszna, milcząca. Zdumieni jańczary dotknąć się do niej nie śmieli. Niby czar jakiś bił od niej. Przeszła przez plac nic nie mówiąc, w przechodzie pochwyciła na ręce to z dzieci, co z brzegu stało, i wyszła. Stało się to prędzej, aniżeli opowiedzieć można. Nim jańczary ze zdumienia wyszli, już ona z dzieckiem na ręku znajdowała się za obrębem ich koła.

— Ech!... — krzyknął aga z okna konaku.

Jańczary w pogoń się rzucili.

Egzekucyę zawieszono na chwilę. Śród widzów i śród aktorów tego dramatu krwawego zapanała cisza głucha. Zabrzmiało w dali wystrzałów kilka. Niebawem pogoń powróciła... z niczem.

Kobietą, która w ten sposób z rąk tureckich ofiarę jedną wydarła, była Anka Stoicewiczowa. Czyn ten stał się w życiu jej punktem wychodnim. Ludzie, później nad zdarzeniem tem rozmyślając, dzi-

wowali się nie tyle odwadze jej i determinacyi, ile sposobowi wykonania. Gdyby się była chociażby na jedno mgnienie żrenicy zatrzymała; gdyby była słówko rzekła, westchnęła, na męża spojrzała; gdyby się była zawahała nad wyborem dziecka z pośród dzieci, co, ujrzawszy matkę przed sobą, wszystkie do niej ręce wyciągnęły; gdyby w końcu, odchodząc, była się obejrzała: byłaby oprawców z osłupienia wyprowadziła. Czy ona uczyniła to z rozmysłem, czyli też w natchnieniu?... — jestto zagadnienie, wchodzące w zakres problemów psychicznych. Serbowie zagadnienia tego rozwiązać nie umieli, pomimo że klucz do tego mieli w baśniach gminnych, w których często powtarza się warunek, przez przedstawiciela sił nadprzyrodzonych na bohatera zwykle wkładany, nie przemawiania i nie oglądania się w chwili wykonywania próby stanowczej. Nie zadośćuczynienie warunkowi podobnemu Orfeusza pozbawiło żony i małżonkę Lota w słup soli zmieniło. Mieli więc Serbowie z miasta Trstnicy klucz do rozwiązania zagadnienia, odnoszącego się do czynu iście heroicznego, przez Ankę przed konakiem, na placu egzekucyi, w dniu boleśnie dla wszystkich pamiętnym, lecz nie robili z takowego użytku. Nie do tego im było. Ktoby tam kluczków jakich szukał! Wrażenia dnia tego strasznego tkwiły w pamięci żywo i, wikłając się, przeszkadzały zastanawiać się nad przyczynami zdarzenia epizodycznego.

Asystentom egzekucyi wraziła się na więki w umy-

sły i stała ustawicznie w oczach postać Radiwoja, który miał być na ostatku ścięty. Na kolej swoją czekając, stał on z głową zwieszoną, smutny i jakby głęboko na duchu podupadły. Zdawał się być obumarłym. Zdawało się, że czucie, że przytomność nawet postradał, że nie zdawał sobie sprawy ani z tego, co się w oczach jego działo, ani z losu, jaki jego samego oczekiwał. Bez ruchu był, niby słup w kształcie człowieka wyciosany. Aż drgnął nagle, gdy zabrzmiał wystrzał ostatni, wyprostował się, głowę podniósł, uśmiechem oblicze opromienił i, gdy aga jańczarów dał z okna konaku znak do powrócenia do przerwanej egzekucyi, do okna się zwrócił, brwi groźnie zmarszczył i krzyknął:

— Ach, ty psie turecki! ty krwiopijo! ty gadinol! ty, którego wiara pary jednej nie warta! ty, którego majce ja w oczy pluję! ty, którego ojca kości bodaj ziemia wyrzuciła!... ach, ty!... ty!... morduj!... zabijaj!... Zabijaj dzieci serbskie i farbuj się krwią ich tak, byś sam siebie potem nie poznał, i sam siebie się przestraszył, i sam siebie w obrzydzenie wziął!... Morduj! zabijaj!... Anka wydarła ci jedno, bierz natomiast inne!... Bierz moje! wypruj je z macierzyńskiego łona!... Urodzi mi się syn dziś-jutro i matka będzie mu o ojcu i o dzieciach Ilji opowiadała!... Będzie mu opowiadała od pierwszej urodzenia jego chwili!... Będzie go we łzach kapała i łzami wzrost jego podlewała i o tobie, ago, mówiła!...

Egzekucya odbywała się w porządku nakazanym; dzieci Ilii szły na śmierć po kolei, młodsze naprzód, starsze później; kwilenie pierwszych, płacze drugich dusze rozdzierały; przyszła wreszcie kolej i na Iliję; i on gardło pod miecz dał. Radiwoj wciąż prawił, Turcy miczeli; aga jańczarów palił spokojnie nargile w otwartem oknie konaku i, kiedy na Radiwoja kolej przyszła, dał ręką znak.

— Ten pies gjaurski niech żyje!... — zabrzmiał z okna rozkaz. Zęby mu powybijają, niech szczeka, ale niech kasać nie może...

Rozkaz ten wykonany został niezwłocznie. Jańczary główniami od pistoletów ochwiewali Radiwojowi zęby i następnie obcęgami kowalskimi ze szczęk mu je wrywali. Operacya ta oblała mu krwią twarz i odzienie i ciągnęła się dłużej aniżeli tracenie jedenaściorga ludzi, których ciała, jedno głów pozbawione, drugie na miejscu, gdzie głowy były, nieforemne jakieś strzępy mające, stygły powoli. Radiwoj, mimo ból straszliwy, nie przestawał na chwilę, jak się Serbowie wyrażają, *psuć* Turkom. Wymyślał im i kłął, jakby ich umyślnie na okrucieństwa wyciągać chciał, osnuwając słowa swoje około tej w natchnieniu powziętej myśli racjonalnej, że ciemństwa przez zdobywców dokonywane zawsze w końcu ciemnościom wyjść na złe muszą, przez to samo, iż nie sposób zatrzymywać ich długo w jednym i tym samym stopniu naprężenia. Zbytecznie naciągnięta struna pęka zazwyczaj. Męczeń-

ski więc instynkt — jeżeli się tak wyrazić godzi — Radiwoja ukazywał mu w perspektywie koniec tureckiego nad Serbią panowania — koniec tem spieszniejszy, im okrucieństwa większe.

— Mordujcie! zabijajcie! — wykrzykiwał, fontanny krwi z ust w oczy oprawców bluzgając.

— Odciać mu rękę prawą i nogę lewą i zawieść je na wrotach miejskich!... — zabrziniał znów z okna rozkaz agi, gdy się operacya z zębami skończyła.

Druga ta operacya, przy której prosty topór zastępował instrumenta chirurgiczne, zabawiła niedługo i pozbawiła Radiwoja przytomności. Omdlałego i krwią ociekającego oddano sielakom, którzy go do żony odnieśli.

Wrażenie od zdarzenia tego neutralizującym było względem tego, w którym Anka główną odegrała rolę. Głośno gadany heroizm Radiwoja rzucił cień niejaki na heroizm niewiasty, co pary z ust nie puściła. Nie czyniło jej to jednak ujmy najmniejszej w opinii Trstniczan. Ceniono ją wysoko. Była wpośród swoich *ecce mulier*, gdy Radiwoj był *ecce homo*. Pomiedzy niemi dwojgiem ta jedna zachodziła różnica, która dlatego jeno, że sąd o takowej od mężczyzn zależał, przechylała się na korzyść męża.

Wkrótce po opisanej powyżej egzekucyi nastąpiła ucieczka jańczarów, a przed ucieczką tą jeszcze, co tylko znajdowało się w Trstnicy ludu do



noszenia oręża zdolnego, wszystko w pole wyruszyło. Takito »postrach i nauka« rezultat sprowadziły. Okrucieństwo tureckie pomnożyło szeregi serbskie o sto z górą bojowników, z których każdy czuł się obowiązany odpłacić Turkom krwią za krew. Gdyby nie to, kontyngens trstnicki byłby nie prznosił ludzi sześciu.

---

#### 4. Sława.

---

— Hm... — mruknął Arnauta sam do siebie, zatrzymując na chwilkę konia i nastawiając uszy — *swiraju i igraju* (grają i tańczą)...

Mruknął powtórnie, głową pokręcił, koniowi cugli zwolnił i ten poszedł dalej, stawiając kopyta ostrożnie.

Słowa powyższe były wyrzeczone na drodze, która, schodząc z traktu głównego, w góry prowadziła, a nazywała się drogą *par courtoisie*. Dwaj inni podróżni jechali przodem, nie jeden obok drugiego jednak, lecz jeden za drugim. Jazda dwójkami była w tym punkcie niemożliwą. Droga szła okolicami przepaścistemi i zwężała się co moment w ścieżkę, na której krok fałszywy mógł jeźdźca rzucić w dół, napełniony ostremi ziobrami skał. Na prawo wznosiły się strome szczyty, a miejscami nad drogą wisiały, w powietrzu niby, kamienie olbrzymie, grożące upadkiem, a nie padające jednak od wieków.

*Swiraju i igraju...* — powtórzył Bulgar ucha nstawiając i wyrazy te wymawiając z akcentem podziwu lekkiego.

Było się czemu dziwić, zaprawdę. Skąd odgłos *swirki* i *igranija* wziąć się mógł w tych wertepach dzikich? Chyba Wila dwór swój zgromadziła i ucztę mu sprawia na skale której, przeniósłszy tam grajków-cyganów powietrzem!... Przypuszczenie to miało w sobie niejaki do prawdy podobieństwo, zważywszy, że coś orły popłoszyło i te nad górami krążyły. Cóż je spłoszyć mogło? — Wila chyba.

Odgłos muzyki tłukł się echem w parowach. Tupanie tańczących i okrzyki ich radosne odzywały się wtórem muzyce. A dalej i wystrzały słyszeć się dały. Paf!... paf!...

— Z małych puszek pała... — powiedzieli razem Bulgar i Arnauta.

— „Małą puszką” nazywa się pistolet. Wprawne ich słuchy po dźwięku poznały, jaki rodzaj broni palnej huk wydał.

— Weselą się w Trstnicy... — rzekł Bulgar do młodego Serba tonem pół-zapytania.

— Weselą się na *sławie* — odparł zagabnięty.

— U kogo?...

— U Radiwoja...

— No ot... jak to się dobrze trafiło!... Ani myślałem o *sławie*... Kiedyż się zaczęła?...

— Dziś właśnie... Dla niejto tak spieszenie z Szabca się wybierałem...

— I niceś nie powiedział...

Serb się uśmiechnął a uśmiech jego oznaczał, że sławę w tajemnicy zachował umyślnie, chcąc z niej towarzyszowi podróży niespodziankę zrobić.

— No... — odezwał się pół do siebie, świadomy zwyczajów serbskich Bulgar — a ja zamierzałem zabawić w Trstnicy dzień, dwa, rozpytać się o *swię* i *stokę* i ruszyć dalej na Podrinie...

— Podrinie ci nie ucieknie... — odparł Serb.

Ażeby czytelnicy nasi zrozumieli wyrazy ostatnie, zamienione pomiędzy Bulgarem a Serbem, wytłómaczyć im potrzeba, co to znaczy: *sława*. *Sława* jestto święto patrona rodu, opiekuna domu, domowego lara, którym za czasów pogańskich musiał być zapewne jeden z bożków, zajmujących miejsce odpowiednie w mitologii słowiańskiej, po zaprowadzeniu zaś chrześcijaństwa miejsce bożka zajął święty pański. Zmieniła się forma, nie zmieniła się istota rzeczy. Można by to samo powiedzieć w ogólności o obrządkach i zwyczajach, odnoszących się do religii i, szukając dobrze, dla każdego z nich znaleźć źródło i pierwowzór w obrządkach i zwyczajach pogańskich; nie wdając się jednak w poszukiwania ogólne, a zastanawiając się nad *sławą* serbską, nie sposób nie dostrzedz pochodzenia jej przedhistorycznego. Przypomina ona nieco imieniny nasze, różni się atoli od tych ostatnich tem, że odnosi się nie do osoby pojedynczej, ale do rodziny całej wraz ze wszystkiem, co do niej należy, z ru-

chomościami i nieruchomościami: patron bowiem opiekować się powinien zarówno ludźmi jak i dobytkiem ich. Zato go »sławia«, czynią mu »sławę« hojnie i głośno. W domu nagotowują, napiekują pokarmów co niemiara, otwierają piwnice; głowa zaś rodu wychodzi na ulicę od rana, przypomina przechodniom, że u niego dziś »sława« i zaprasza do siebie wszystkich i każdego.

Od rana Radiwoj stał na ulicy i zapraszał:

— Do mnie... na sławę... jeśli łaska...

Głos mowy jego był szepleniący jak u starców, pomimo że liczbą lat, które od chwili jego przyjścia na świat upłynęły, do starców nie należał. Szeplenie pochodziło stąd, że nie posiadał ani jednego zęba, jak wiemy. Posiadał zato na twarzy blizn i szramin pełno; nos miał przekrzywiony, brodę wykoszlawioną, brew rozciętą, co wszystko pochodziło od bicia głowniami pistoletów i nadawało mu pozór przerażający. Chodził o kuli, którą trzymał pod ramieniem prawem, i pozbawion był ręki lewej. Wargę zwierchnią okrywały mu wąsy siwizną przypruszone, siwe też miał włosy na głowie. Siwizna okryła go przed czasem — sprowadziły mu ją życia cierpienia. W sile wieku wyglądał jak starzec. W oczach tylko, z pod brwi nasuniętych, świecił mu blask, świadczący o żywotności podwójnej: fizycznej i duchowej.

Stał na ulicy, postępował co chwila po kroków

kilka naprzód lub wtył dla utrzymania się w równowadze na kuli i zapraszał:

— Do mnie... na sławę...

Dom jego, zwrócony do ulicy bokiem, frontem wychodził na podwórze, po drugiej stronie którego vis-à-vis domowi czyniły zabudowania gospodarskie, zaczynające się od strony ulicy szopą, a kończące się od strony sadu gorzelnią, mającą nie więcej, jak dziesięć kroków obwodu, a nie wyższą, jak człowiekowi wzrostu średniego do pasa. W głębi podwórza, bez przegrodzenia żadnego, zaczynał się ogród pełen drzew, na czele których i na straży niejako stały trzy grusze rosochate, dotykające konarami jedna drugiej i okolone miękką zieloną murawą. Gałęzie onych tworzyły namiot liściany, dający cień o każdej dnia porze.

Tento namiot służył za salon do przyjmowania schodzących się na sławę gości płci męskiej. Serbowie przybywali i zasiadali w cieniu grusz. Każdy przychodził z cybuchem w rękę i z kapciuchem za pasem; fajkę nakładał, zapalał i *puszył*. Dym wzbijał się do góry, wymykał się przez otwory w sklepieniu liściastem i ubierał się w barwy tęczowe, jakie mu nadawały promienie słoneczne, przeciskające się ze strony przeciwnej. Około godziny czwartej po południu trzydziestu kilku mężów poważnych siedziało na murawie, pędząc czas na zjadaniu tego, co im niewiasty z domu wynosiły, na podawaniu sobie z rąk do rąk dzbana

z winem czerwonym, napełniającego się po każdym wypróżnieniu, na kurzeniu fajek, wydawaniu okrzyków na cześć gospodarza i strzelaniu w górę z pistoletów na »sławę«.

— Ej ty, Radiwoju, bracie!... — odzywał się ten lub ów, gdy mu się na ochotę zebrało. Na!...

Wychwytywał z za pasa pistolet, kurek odwozcił, do góry podnosił, oko lewe przymrużał, mierzył do czegoś nieoznaczonego — pal! — wystrzał się rozlegał i po każdym prawie wystrzale gruszek kilka biesiadnikom na głowy spadało. Żadnemu z nich spadające gruszki nie dawały pochopu do zastanawiania się nad prawami ciężenia, chociaż nie jednemu dotkliwy sprawiały ból. Serbowie poprzestawali na łajaniu im w *majkę*, ból zaś przypisywali temu, że gruszki nie były jeszcze dojrzałe.

Radiwoj znajdował się pomiędzy biesiadnikami i zajmował miejsce poczesne, pod środkową gruszą, zachęcając gości przykładem i słowem.

— Hej, *da pijemo!*...

Dzban krążył bezustannie, wino rozweselało umysły, rozmów nie toczono żadnych dlatego zapewne, żeby dwóch czynności, jedna drugiej przeszkadzających, nie łączyć razem.

*Żiwio* Radiwoj!... — ktoś krzyknął od czasu do czasu.

W sposób ten wyrażała się manifestacya czci dla gospodarza, który na obliczu swoim i na po-



staci całej nosił świadectwo męczeństwa za sprawę serbską.

— *Živio* Serbia!... — odezwał się ten lub ów.

Była to manifestacja patryotyzmu, która gdzieindziej — gdzieś na zachodzie na przykład — wyraziłaby się pod postacią mów.

Nad wieczorem na ulicy słyszeć się dała muzyka. Biesiadnicy uszów nadstawili.

— Ej, Boga mi! — rzekł jeden — ot, co to, to pięknie!... Tego tylko sławie brakowało...

Przez otwarte od podwórza wrota wkroczyło powoli dwóch cyganów, każdy z instrumentem muzycznym, jeden ze skrzypką, drugi z bębenkiem — szli grając i zatrzymali się nieopodal od biesiadników na tej linii, co podwórze od murawy odgraczała. Zatrzymali się i wciąż grali. Skrzypek położył głowę na instrumencie i wodził po strunach smyczkiem z zacięciem takim, którego by mu Paganini, Lipiński, Vieuxtemps, Wieniawski pozazdrościć mogli. Bębenkarz głowę podniósł do góry, lewą ręką trzymał bębenek wysoko, w prawej miał pałeczkę, którą wywijał, wymachiwał i uderzał, zmieniając od czasu do czasu uderzenia puszczeniem po naciągniętej skórze palca wielkiego i wydobywaniem z onej tonów burczących. Skrzypka szczebiotała, trzymając prym; bębenek wtórował jej, zmieniając kolejno bum bum bum na brrrr brrrr. Biesiadnicy byli w zachwyceniu.

— U ha!... — wykrzykiwał ten i ów.

— Jakże to pięknie!... jak pięknie!... — powiedział jeden lub drugi.

Muzyka zwabiła młodzież. Podwórze napełniało się coraz to bardziej momkami i dziewczkami, stojącymi i słuchającymi zrazu z daleka, następnie coraz bliżej i bliżej, aż przyszło do tego, że się tłum prawie już o grajków ocierał. Ci, co znajdowali się najbliżej, wzięli się za ręce. Skrzypek głową dał znak. I wnet sformowało się »koło« — koło-taniec, spólny Grekom, Rumunom i Słowianom południowym. Grecy i Rumuni taniec ten nazywają »hora« (chora), co w tłumaczeniu na język słowiański znaczy »koło«. Koło się »igra« — Słowianie południowi ustrzegli się od przyswojenia językowi swemu wyrazu niemieckiego »tańcować« (*tanzen*) — a igra się, depcąc na jednym miejscu, podrygując z lekka i przytupując od czasu do czasu i następnie, naddeptawszy się, nadrygawszy i natupawszy, przestępując krok jeden w prawo, poczem rozpoczyna się na nowo deptanie, dryganie i przytupywanie. Muzyka takt znaczy i dlatego główną w orkiestrze gra rolę bęben. Inne instrumenta stanowią dodatek zbyteczny, bez którego obejśćby się można. Trwa to nieraz godzinę, dwie, trzy i dłużej. Mężczyźni pawią się i nadstawiają, kobiety stroją miny, sznurują usta, spuszczaają oczy, kiwają głowami, prostują się i krygują. Kołu przewodniczy tancerz z prawego końca; ten w prawej ręce trzyma chustkę, wywija nią i prowadzi szereg w skręty ró-

żne, biorąc za punkt środkowy bądź grajków, bądź też inny jaki przedmiot.

Koło nadaje się wybornie do czynienia przeglądu piękności tak męskich jako też niewieścich — i bodaj czy w zasadzie nie jest to zadaniem głównem tańca tego.

Czyniąc przegląd koła, igranego na podwórzu Radiwoja, zaznaczyć w niem należy dwie postacie: przewodnika na imię Stojan, panoszącego się, jakby za stąpieniem jego każdem ziemią się pod nim ugiwała, i dziewczynę, jaśniejącą takim blaskiem urody, że patrząc na nią, zdawało się, jakby postać jej całą otaczał nimb, podobny do tego, który nadają malarze świętym na obrazach.

— Ach!... a!...

Kto dziewczynę tę po raz pierwszy w życiu zobczył, nie był w stanie powściągnąć się od wydania wykrzyknika tego.

Opisywać jej nie będziemy. Próżna praca! Opis żaden nie zdołałby dać wyobrażenia dokładnego o tem, co się wypowiedzieć nieda, a mianowicie: o uroku, jaki z jej całej bił postaci, od stóp do głowy. Niepodobieństwem było wdzięków jej analizować, sławiąc osobno a po kolei: czarne brwi, duże rzęsy, krucze warkocze, gładkie lica, łabędzia szyję, toczony biust, podatną kibić, delikatną pleć, drobne nóżki, zachwycające rączki — wszystko to było cudne, tak cudne, że gdyby, dajmy na to, przez kaprys jaki okryła się cała zasłoną a tylko rą-

czkę jedną pokazała, to w rączce tej rozkochać się można było. To samo w nóżce i w każdej części jej postaci. Ale nie to stanowiło wdzięku jej potęgę, tylko dziwna jakaś uroków harmonia, czyniąca z niej istotę nie z ciała i kości jak zwyczajni śmiertelnicy złożoną, lecz z promieni, barw i dźwięków. Wydawało się, patrząc na nią, że istnienie jej wyrażało się za pomocą świecenia i grania.

To też w igranem na podwórzu Radiwoja kole diewojka ta gasiła sobą rówieśnice wszystkie i zwracała na siebie oczy wszystkich. Skrzypek mylił się, gdy się przed oczami jego przesuwiała; bębenkarz zapominał w instrument swój pałeczką uderzać; pod gruszami zatrzymywano dzban w krążeniu; w oczach Radiwoja świecił blask dumy, jakby mówił:

— Patrzajcie i podziwiajcie!...

O przewodniku koła nie będziemy się tym razem rozpisywali. Nie byłoby zresztą co i pisać o nim, z wyjątkiem tego chyba tylko, że był to człowiek w sile wieku, postawy rycerskiej i nie z Trstnicy ani rodem, ani miejscem zamieszkania; podobnych jemu jednak znajdowało się więcej, albowiem siła wieku zależy od roku urodzenia, postawa rycerska jest pomiędzy Serbami pospolitą, co się zaś miejsca urodzenia i pobytu tyczy, to wiedzieć należy, że sława u Radiwoja ściągnęła do Trstnicy gości zagórskich liczbę niemałą. W me-

hanie, przy żłobie stajennym żuło obrok koni kilkanaście, a pomiędzy nimi znajdował się i koń Stojana, ze wszystkich najładniejszy, czystej krwi ogier turecki, najwytworniejszą, bo z czerwonego sukna derą okryty, za nogę uwiązany i oddzielnie postawiony.

Starsi pod gruszami siedzieli, muzyka brzmiała, młodzi koło igrali.

Tej to muzyki i tegoto igrania odgłos, echem w góry zaniesiony, uderzył o słuchy podróżnych naszych na drodze, gdy do Trstnicy dojeżdżali. Przejechali kawałek drogi przepaścistej, przebyli mostek, który drżał pod stąpaniem koni, okrążyli odskok góry, co się czepiał pasma głównego prostopadle i przed oczami ich rozwinęła się panorama Trstnicy.

— To ona... — rzekł młody Serb, zwracając się do towarzyszy i wyciągając rękę.

W wyrazach tych i w geście czuć się dawała duma pewna.

— Majka wygląda cię z utęsknieniem... — odezwał się Bulgar.

— Zwyczajnie, jak majka...

Arnauta w milczeniu opatrywał strzelbę i pistolety jakby gotował się do rozprawy orężnej, oczyszczał paznokciem krzemienie, podsypywał z rożka prochu do panewki. To samo czynili Bulgar i Serb. I jechali dalej. Minęli jeszcze parę przesmyków trudnych, dotarli do miasteczka, przejechali, nie zatrzymując się mimo mehany i skierowali się wprost

do domu Radiwoja. Przed wrotami młody Serb z pistoletu strzelił, na wrotach strzelił Bulgar; na podwórzu wzięli się popod dom, okrążyli koło i, defilując pomiędzy tymi, co tańczyli, a tymi, co pod gruszą siedzieli, wszyscy trzej razem palili w górę ze wszystkiej broni palnej, jaką przy sobie mieli. Czynność ta odbyła się z ich strony w milczeniu a z pawagą, jak odbywać się zwykło dopełnianie powinności obywatelskiej. Pistolety i strzelby powystrzelowali, koło okrążyli i z podwórza na ulicę wyjechali.

— Pokłóńże się majce ode mnie... — rzekł Bulgar do młodego Serba. — Ja tam zajrzę do niej, mam z nią do pomówienia o sprawach handlowych...

Rozstali się: Bulgar i Arnauta zawrócili do mehany, młody Serb wziął się w ulicę, co prowadziła w głąb miasteczka.

Do opisu defilady ich na podwórzu Radiwoja dodać należy to spostrzeżenie, że młody Serb patrzył na dziewczynę jak w tęczę; dziewczyna zaś oczy spuściła i policzki jej lekkim się okryły rumieńcem, przypominającym pierwszy brzask zorzy porankowej na niebie pogodnem. Że Serb na nią patrzył, w tem niema nic dziwnego — któż bowiem nie patrzył?... Że zaś dziewczyna się zarumieniła, w tem coś może było, a może nie było nic. Dziewczęta, jak wiadomo, rumienia się często niewiedzieć czego i niewiedzieć naco.

Zarumieniła się, chusteczkę złotem szytą do ust

koralowych podniosła, odchrząknęła i płynęła dalej w kole gwiazdą słoneczną, w postać niewieścią ubraną.

— Hej, ha!... — wykrzykiwał Stojan na czele, chustką w powietrzu wymachując.

Skrzypek smyczek przyciskał, aż struny skrzypiały i pisały i zaintonował pieśń jakąś serbską, której zwrotka każda zaczynała się i kończyła wyrazem tureckim „*aman*“, pokilkakrotnie powtarzanym. Wyraz ten, a i sama nuta pieśni niekoniecznie się do tańca nadawały. Nikt jednak na to nie zważał. Ochota szła, rozwijając się stopniowo w potęgę, która wyraz swój znajdowała w tupaniu corazto mocniejszym.

Starsi w zadumie poważnej, otaczając się dymu kłębam, pod gruszkami siedzieli, patrzyli i słuchali.

Zadumę przerwało przybycie gości nowych: Bulgara i Arnauty, którzy się w mehanie przebrali nieco i z kurzawy podróżnej obmyli.

— *Dobro doszli*... — odezwał się do nich gospodarz. — Prosimy, zasiądźcie i dzielcie z nami wesele...

Bulgar pozdrowił uprzejmie obecnych, Radiwoj zaś dziękował mu, że z tak daleka na sławę do niego przybywał.

— Ot, żeby prawdę wyznać — odparł Piotr — to mnie byłoby to na myśl nie przyszło, gdyby się był w Szabcu nie nadarzył Miłosz Stoicewicz...

-- A, Miłosz ci przypomniał... — ktoś bąknął.



— Ba, i nie przypomniał nawet, ale w drogę wyciągnął pozawczora... — Jedźmy i jedźmy — powiedział... Jam chciał jeszcze dni parę w Szabcu pozostać, ale on mi spokoju nie dawał i zabierał się ruszać sam... Jam nie wiedział, co go tak ciągnie i odgadywał, że to nie może być nic innego, jak tylko diewojka twoja, Radiwoju.

Ostatnie wyrazy wymówił tonem półżartu.

Radiwoj wąsami ruszył i brwi zmarszczył.

— No, siadajże między nami i *popij* nieco!... — zapraszał gospodarz. — Siadaj i ty, kirdżali nie-szczęśny... Rabowałeś nas w czasie koczinej krainy, pijże teraz wino nasze...

Bodajby mnie tak choroba trapiła, jakem ja was rabował!... — odrzekł Arnauta, składając nogi pod sobą na krzyż i opuszczając się na siedzenie. — Dobrze, że człek duszę wyniósł...

— Ale ci na ochocie nie zbywało...

— Zapewne, że nie, tylko ochoty spędzać na czem nie było... Frajkury pędzili biednych kirdżalich na cisarskich, a cisarscy na frajkurów... Ot, jakieto było rabowanie moje!...

— Nacóżeś u licha do kirdżalich przystawał!... — odezwał się ktoś z siedzących.

— Naco?... — odparł Arnauta. — A nie zdarzyło się tobie nigdy zabłądzić, zamiast na prawo, pójść na lewo?... Spytajno którego chcesz popa, czy on się nigdy niechcący lewą nie przeżegnał ręką... Otóż i mnie się to samo zdarzyło... Zakrzy-

czeli: *kauka!*... ja przybiegł z Arnautłyku i czepił się pierwszych, com na drodze spotkał... Co ja temu winien, żem spotkał kirdżalich!... *Kauka* to rzeźmiosło moje... Co ja temu winien, żem nie spotkał frajkurów!... A!... — ręką machnął. — Przemineło!... Dajcie tu *winca*, *niech popiję małko*...

Zabawiło i rozśmieszyło Serbów tłumaczenie to. Podano Arnaucie dzban, z którego on ugasił na-przód pragnienie, kiwnąwszy przed poniesieniem onego do ust głową Radiwojowi i powiedziawszy: »za zdrowie!« — następnie przyniesiono jadła i go-szczono świeżo przybyłych.

W chwilę później liczbę świeżo przybyłych po-większył Miłosz osobą swoją. Ten atoli nie zasiadł śród starszych. Postał minut parę na zewnątrz tań-czących, jakby rekonesans odbywał; westchnął na-stępnie i do koła stanął.

A gdy on do koła stanął, cygan-skrzypek nastę-pujące śpiewał strofy:

Aman... aman... Chodzi momak smutny bardzo, chodzi po  
[polu i czegoś szuka... Aman, aman...  
Aman, aman... Czego on szuka? czy mu koń uciekł, czy  
[sokół odleciał?... Aman, aman...  
Aman, aman... Chodzi dziewczka smutna bardzo, chodzi po  
[polu i czegoś szuka... Aman, aman...  
Aman, aman... Czego ona szuka? czy jej się biała owca za-  
[błąkała?... Aman, aman...  
Aman, aman... Nie końto uciekł, nie sokół odleciał, nie biała  
[owca się zabłąkała... Aman, aman...  
Aman, aman... Momak serce zgubił... Aman, aman...

Aman, aman... Diewojka serce zgubiła... Aman, aman...  
Aman, aman... Momak szuka diewojki, diewojka szuka mom-  
[ka... Aman, aman...

Zabawa ciągnęła się, póki słońce nie zaszło. Gdy za góry zapadło, wnet cygan-skrzypek uciał, pociągawszy dwa razy smyczkiem po strunach wszystkich. Muzyka ucichła i taniec ustał, chociaż mógłby ciągnąć się dalej i bez muzyki, gdyby jeno na to przyzwyczajenie pozwalała. Trzeba jednak było uleść konieczności twardej. Koło się rozwiązało; tancerze rozprysli się na większe i mniejsze gromadki, które jedna po drugiej wynosiły się za wrota i rozchodziły w strony różne. Wkrótce podwórze opustoszało. Na murawie jednak starsi pozostali i, jakby wynagradzając sobie czas na patrzeniu na tańczących i na słuchaniu muzyki stracony, gorliwiej, aniżeli przedtem dzbanem się zabawiali.

Kutia Radiwoja zasobną była w zapasy i w ludzi. Z Radiwojem, głową rodziny, pod dachem jednym mieszkało dwóch braci rodzonych, pożenionych i po kilkoro dzieci mających. Było więc komu dzbany odnawiać i jadła nosić. Pod gruszami przeto, pomimo zmroku, który po zajściu słońca prędko przychodził, jedzono, pito i weselono się, okrzyki różne wydawano i z pistoletów strzelano.

Zmrok zgęstniał, noc nastała, gwiazdy się wysypały na niebie: pod gruszami wciąż jeszcze jedzono, pito i t. d.

Jeden z biesiadników wstać próbował, drugi go za szalwary przytrzymał:

— A dokądto?...

— Do domu czas...

— I!... co tam!... Słuchaj, u Radiwoja sława raz w rok tylko...

— Tak, to prawda... ale to ciemno już...

— A tobie na co światła?... Do czego ci ono potrzebne: czy do obgryzania kości jagnięcia?... czy do zagładania w dzban?... Boisz się może, żebyś z winem żaby nie połknął?... Do jedzenia i picia światła ci potrzeba?... I! zostań bracie!...

— Boga mi, tak przemawiasz, jakbyś z książki czytał, i popaby lepiej mówić nie potrafił...

Kilku jednakże wymknęło się pociemku, większa część pozostała pod gruszami i ciągnęła ochotę dalej. Ochota wszakże coraz to w mniejszem ścisłała się kółku. Ciemność, zgęszczona cieniem konarów, nie dozwalała widzieć biesiadników. Oglądać ich można było jedynie przy błyskawicznych oświetleniach wystrzałów pistoletowych, przy których pokazywało się, że wszyscy siedzieli. Byli i tacy, co leżeli. W miarę, jak noc ku północy postępowała, zmniejszała się liczba pierwszych, powiększała się liczba drugich. Około północy ostatni padł wystrzał i po raz ostatni zachrypły głos czyjś krzyknął: *żiwio!* Po okrzyku tym nastąpiła cisza, wśród której rozlegało się burczenie i sapanie: pierwsze podobne do mruczenia byka rozjuszzonego, drugie do dęcia

stu naraz miechów kowalskich. Po junacku pili, po junacku też chrapali.

Brzask dzienny oświecił biesiadników w pozycjach niekoniecznie malowniczych. Spali na murawie: ten skulony, ów na wznak, inny grzbietem do góry, inny bokiem z kułakiem pod głową. Ze znajomych naszych nie było pomiędzy nimi ani Radiwoja, ani Piotra-Bulgara. Arnauta był i — co na wzmiankę szczególną zasługuje — spał siedzący, tylko głowę zwiesił i skrzywił się, co go bardziej jeszcze do małpy podobnym czyniło.

Świt porankowy nie wstanie był śpiących obudzić. Aż słońce zeszło i promieniami drażnić ich w powieki poczęło. Ten na drugi bok się przewrócił, ów dłonią sobie oczy zasłonił, a jeden, jakby sprężyną ze spodu pchnięty, zerwał się, dokoła się obejrzał, splunął i w matkę w osobie trzeciej głośno zaklął.

— Co ci tam matka czyja winna!... — odparł Arnauta, głowę podnosząc.

— Ech! brrr!... człowiekowi jakoś zimno i koło serca ckło...

— Popij rakii, to się rozgrzejesz, popij winca, to się rozweselisz... nie będzie ci ani zimno, ani koło serca ckło...

Przezorny gospodarz, przewidując snadź stan, w jakim znajdują się goście po ocknieniu ze snu, zostawił na miejscu, na którym siedział, flaszek kilka ze śliwowicą i dzbanów dwa sianem zatkanych.

— Widzisz... o... — rzekł Arnauta, palcem na flaszki i na dzbany pokazując.

Serb wstał; wyciągnął się, podnosząc ręce do góry, aż mu w krzyżach zatrzeszczało, stęknął przeciągle i udał się powoli, stawiając nogi, jakby zreumatyzowanemi były, do chaty; nie wchodził jednak do środka; zatrzymał się przy wiadrze miedzianem pobielanem, co na żerdce wisiało. Wiadro napełniała woda. Obok na kołku drewnianym zawieszony był czerpak. Serb czerpak z kołka zdjął, wody nabrał i odbył ablucyę na sposób żydowski, posługując się gębą własną jak kubkiem. Wody w gębę nabierał, z gęby na dłonie wylewał i oblicze sobie mył. Sposób ten, w mniemaniu wyznawców proroka, uchodzi za wielce nieprzyzwoity i służy im nawet za pretekst do postponowania wiary tych, co onego używają. Nie można jednak utrzymywać, żeby praktycznym być nie miał. Człowiek za jednym zachodem myje sobie ręce, twarz i gębę. Serb umył się, chrząkał, prychał; obtarł się chustką, którą z pasa wydobył, i do przedmuchiwania cybucha się wziął.

Przedmuchiwanie cybucha jest kunsztem osobnym, o którym fajkarze zachodni pojęcia najmniejszego nie mają. Niedość przedmuchać; trzeba jeszcze umieć w cybuch zatrąbić. Nie każdy to potrafi i nie każdy cybuch do trąbienia się nadaje. Zależy to o tyle od rozmiarów, o ile od stopnia czystości kanału, którym się dym pompuje. Cybuch

powinien być jako flotrowers. Żaden Serb starej daty, biorąc się do pierwszej w dniu fajki, nie zakurzyłby takowej, gdyby mu cybuch próby trąbienia nie wytrzymał. Obecnie to się zmieniło. Dziś Serbowie papierosy palą. I nie mówicze tu, że stare czasy były to dobre czasy!..

Serb cybuch przedmuchał, zatrąbił, fajkę nałożył, ognia do czyru wykrzesał, zapalił, zaciągnął się raz i drugi i w ręce arnauty śliwowicy haust łyknął.

Z kolei wstał biesiadnik drugi, po drugim trzeci, po trzecim czwarty i t. d.; każdy się umył, obtarł i śliwowicy się napił.

Jeden ku bramie, która przez noc całą otworem stała, kroki swoje skierował.

— A ?.. — zawołał inny tonem zapytania.

— Trzebaby się dowiedzieć, co tam w domu się dzieje.. — odparł zapytany, zatrzymując się.

— Tak, Boga mi, to prawda... — odezwało się głosów kilka. — Gazda oka z gospodarstwa swego spuszczać nie może...

— To prawda... — potwierdzili wszyscy jedno-głośnie. — Byle oko spuścił, to wnet bieda jakaś spada: konie nie nakarmione, bydło nie napojone, owce w pole nie wygnane, świnki tak się skarżą, że aż serce się kraje... Trzeba to się dowiedzieć...

Ruszyło ku wrotom kilku.

— A sława!.. — odezwał się Arnauta.

Zatrzymali się.



Wnet jednak rozwaga, przezorność i troskliwość gospodarska górę wzięły.

— Sława?.. ta nie ucieknie... — rzekł jeden. — No, a chociażby i uciekła, to cóż z tego... Radiwoj wie przecie, co o nim trzymamy..

I ruszyli rezolutnie ku wrotom.

— A toż dokąd, *komszije*?... — zabrzmiał głos z progu chaty.

Był to głos Radiwoja.

Znów się więc zatrzymali i jeden usta już otwierał w celu wytłómaczenia gospodarzowi powodów gospodarskich, zniewalających ich do dowiedzenia się, co tam w domu się dzieje, lecz Radiwoj do słowa mu przyjść nie dał.

— Cóżto!.. — zawołał. — U mnie sława, a ja-bym miał, nito człowiek bez przyjaciół, sam śliwowicę, sam kawę pić, sam przy ognisku zasiadać, sam na *friszyk* czekać, sam o *ruczku* myśleć, sam czas spędzać?... Ej, *komszije*! ja bez nogi i bez ręki... jeżeli wy odejść zechcecie, to ja za wami w po-goń nie pójdę... tylko krzywdę moją uczuję i nad nią zabołuję...

Możnaż było na wezwanie takie do gospodarstwa spieszyć? Możnaż było prośbie takiej oprzeć się?

— Kiedy tak.., ha!.. — odparł jeden — niema co... Niech ludzie nie powiadają, że Trstniczanie jednego Radiwoja mają i tego uszanować nie umieją...

— *Poftim*... proszę... — wyciągając rękę, wzywał gospodarz. — Salamlik u mnie obszerny, pomieści-

my się w nim wszyscy; ogień na kominie się pali: ogrzeje nas, zanim słońko wyżej podejdzie...

Powrócili do wrót wszyscy, weszli do chaty, do izby, do której z sieni drzwi na lewo prowadziły, zasiedli na poduszkach i kilimkach na podłodze rozestłanych, napili się śliwowicy powtórnie; a po śliwowicy przyszło *śladko* z wodą, które bratowe Radiwoja roznosiły, cmokając do gości, gdy ci konfitury zapijali; a po sładkiem nastąpiła kawa gorzka — *kajmakły*, a po kawie podano zakąskę — *pastramę* i jaja na śmietanie sadzone, ser owczy i paprykę marynowaną w occie z pieprzem, hałwę i oliwki. Przy zakąsce, rozumie się, pojawił się dzban z winem. Goście się ogrzali i koło serca ckić im przestało.

— Eh!.. — zawołał jeden — bracie Radiwoju!.. Ta co my tu w izbie dusić się mamy!.. Wyprowadź nas na czyste powietrze, niech za ugoszczenia twoje a na twoją sławę napucamy się przynajmniej...

— Jeśli taka wola wasza... e... — odparł gospodarz.

I znów pod gruszami zasiedli i znów echa górskie odgłosy strzałów odbijały i znów ludzie schodzić się poczęli.

---

## 5. Wiadomość niespodziana.

---

I schodzili się goście do Radiwoja i ciągnęła się sława. Ciągnęła się dzień jeden, drugi, trzeci, czwarty, ba.. dalej, piąty i szósty. Codziennie starsi pod gruszami siedzieli od rana do nocy późnej; codziennie młódź w południowej porze »koło igrała«; codziennie na murawie świtanie dnia zastawało śpiących snem junackim. Już się trawa na murawie pogniotła od ustawicznego siedzenia i leżenia; już na gruszach gruszki wszystkie poopadały od ustawicznego strzelania i nie jedna gałąź kulą przeszyta, zwisała i więdła, a na ziemi pełno zalegało liści i gałązek drobnych, zmieszanych z kośćmi ogryzionemi i jadł resztkami różnemi. Czegoś podobnego domyślają się o ucztach, jakie sobie ludzie przedhistoryczni wyprawiali. Z temi atoli gorzej być musiało. W czasach przedhistorycznych nie było komu szczątków biesiady uprzątać, zjadano bowiem podonczas i psy, które w epoce powieści naszej na przedmiot pożywienia nigdzie już w chrześcijaństwie, a zatem i w Serbii, nie obracano. Wrota od podwórza Radiwoja stały wciąż otworem. Psy więc z miasta całego, gdy junacy znajdowali się w objęciach snu twardego, wkradały się, uprzątały w części znacznej

szczałki biesiadne i nawet junakom wąsy oblizywały.

To się działo w nocy. W dzień zaś funkcyę oczyszczania teatru sławy sprawowały świnki. Te głównie opadłe gruszki zabierały. Dzięki przeto psom i świnkom, na teatrze sławy nie było jeszcze tak źle, jakby być mogło, gdyby wszystkie kości, wszystkie resztki i wszystkie owoce pozostawały na miejscu i rozkładały się na pierwiastki pod wpływem działania światła i ciepła.

Jakże długo sława trwała? Trwała dni sześć ciągiem jednym i byłaby się pociągnęła dłużej, gdyby jej nie przerwała nagle wiadomość pewna, która spadła niespodzianie. Gdyby nie wiadomość ta, to:

— Przyjdzie *kisza* (deszcz) — powiadali Serbowie — i rozpędzi ludzi...

Powiadali jeszcze:

— Człowiek wie, kiedy się sława zaczyna, ale kiedy się kończy, to wie Bóg..

Spuszczając się więc pod względem tym całkowicie na Pana Boga, ucztowali z sumieniem spokojnem: jedli, pili, okrzyki wydawali, śpiewali i z pistoletów *pucali*.

Ile zjedli, ile wypili, łatwo byłoby obliczyć, a obliczywszy, należałoby powiedzieć: na zdrowie im! Starczyłoby to w roku głodnym na wyżywienie Trstnicy całej w chwilach przednowku. Mniejsza z tem jednak. Jedzenie i picie w jakiejś części przynajmniej, obróciło się ludziom na pożytek przy-

puszczalny, biorąc za prawdę teorię ową, która w zbytkach tego rodzaju upatruje wpływ na organizm człowieczy, podobny temu, jaki wywierają burze na naturę. Na podstawie teorii tej, jeden z przyjaciół naszych spija się regularnie raz na miesiąc. Przypuściwszy atoli zbawienność nadużywania od czasu do czasu jadła i napoju, przypuścić nie można pożyteczności *pucania*. Czytaliśmy w statystyce pewnej, że w Europie samej wystrzeliliwają rok-rocznie na wiwaty prochu za 10.000.000 franków. Dziesięć milionów franków w roku każdym z dymem się puszcza!.. To strach — jacy to my jeszcze... mądrzy!.. Trstniczenie na dolę swoją w przeciągu dni sześciu sławy puścili z dymem franków sto przynajmniej. Czy i w odniesieniu do zbytku tego powiedziećby należało: na zdrowie im!..

Puściliby i więcej, na deszcz bowiem ani się zanosilo; spodziewać się więc można było, że sława potrwa jeszcze dni sześć drugich, a może i dni sześć trzecich, gdyby nie przeszkoda pewna. U nas coś podobnego z imieninami się zdarza. Zjeżdżają się naprzykład goście na imieniny jegomości, przypadające w pierwszych dniach miesiąca i bawią do imienin jejmości, przypadających piętnastego, szesnastego lub siedemnastego. My, cywilizowaniśi nieco, aniżeli naddunajscy pobratymce nasi, radzimy się kalendarza; oni stosowali się do pogody, a ta dopisywała stale tak, że biesiadnicy powiadali:

— Sam Pan Bóg sławi Radiwoja sławę...

— Przyszła jednak wiadomość nieprzewidywana i niespodziewana.

Zanim z wiadomości tej sprawę zdamy, musimy pierwszej zaznaczyć zdarzeń kilka, jakie u Radiwoja na sławie zaszły. Zdarzenia te nic na pozór same przez się nie znaczyły i nie wspominalibyśmy o nich, gdyby się nie wplatały w girlandę wypadków, składających się na opowiadanie niniejsze, jako drobne wielkich następstw przyczyny.

Na pozór sława szła sobie porządnie i regularnie. Poza nią atoli odbywały się — że się tak wyrazimy — knowania, pomimo że wyraz ten nie jest ściśle właściwy do wyrażenia czynności, które się działy za pomocą gadania.

Na trzeci, czy na czwarty dzień, znajomy nasz Piotr Bulgar, który w handlowych podróżował sprawach i wypadkiem tylko przytrzymany w Trstnicy został, udał się do Anki Stoicewiczowej. Anka przyjęła go bardzo uprzejmie, zwyczajnie jak znajomego dawnego; siedzieć na dywanie prosiła, *sładkiem* i kawą poczęstowała i o zdrowie rozpytywała.

— Chwała Bogu... Człowiek choćby słabować chciał, to czasu nie ma... Z Becza do Białogrodu, z Białogrodu do Widdynia, z Widdynia haj! znów do Białogrodu, z Białogrodu do Szabca, z Szabca do Trstnicy...

— Bre, bre... — odezwała się kobieta, głową kiwając. — Cóż ty świata objechał!..

— Ha!.. takato już dola moja... Jednemu Pan

Bóg pozwala na miejscu siedzieć i jak kamień mchem porastać, drugiemu każe się toczyć jak kuli... Ot, ty na przykład, *gospojo*, siedzisz i Pan Bóg ci błogosławi...

— Co ja!.. — podchwyciła Anka. — Ach! smutna dola moja, dola wdowy biednej, niewiasty opuszczonej... Radybym sobie dać nie mogła, gdyby nie pomoc boska...

Bulgar znał słabość Stoicewiczowej, przybrał więc minę spółczucie wyrażającą i powoli naprowadził rozmowę na ceny jedwabiu, bydła, owiec i innych produktów. Jedwab zwłaszcza szczególnie go interesował; powiadał, że podobał się kupcom w Beczu i jeden z nich proponuje Ance układ stały, zapewniający jej rocznie dochód znaczny, wynoszący dukatów dwieście z górą. Anka w prowadzeniu umowy okazywała biegłość niezwykłą, tem bardziej uderzającą, iż się wciąż wymawiała, że biedna, że opuszczona, że rady sobie dać nie może, że lęka się i t. p. Po dobiciu targu o cenę, pozostawało tylko oznaczyć sposób dostawy towaru i sposób wypłaty.

— Umówmy się najprzód o termin — rzekł Piotr — który zastosować potrzeba do mnie, jako do pośrednika... Ja w każdej ze skiel dunajskich bywam cztery razy do roku i bawię po dwa tygodnie, dla przyjmowania zamówionych przeze mnie towarów i oddawania takowych kupcom, a zarazem dla odbierania od kupców pieniędzy i wypłacania



sprzedającym... Przez ręce moje przechodzą towary i pieniądze... Owóż, kiedy jedwab twój gotów być może?..

— W jesieni...

— W pierwszej połowie miesiąca listopada?..

Anka pomyślała przez chwilę.

— Tak... — odpowiedziała. — Wcześniej nawet..

— Wcześniej nie, bo musiałybyś dalej transportować, albo też innego pośrednika szukać, jeżelibyś chciała zbyć jedwab w Szabcu, który jest najbliższą od Trstnicy skiellą i w którym ja spędzam czas regularnie każdego listopada od pierwszego do piętnastego... Kto towar do skieli dostawi?..

— Miłosz...

— Kto pieniądze odbierze?..

— Miłosz...

— E!.. — Bulgar głową kiwnął. — Jak to dobrze teraz!..

— Co?.. — zapytała Anka.

— To, że się Miłosz nadał... Gazda gotowy... Dawniej taki był z dostawą i wypłatą kłopot; teraz we wszystkim się Miłoszem wyręczyć można...

— Wszystko to Miłosza i dla Miłosza... — odrzekła kobieta.

— Pozostaje go tylko ożenić...

Anka westchnęła i głową smutnie pokiwała.

— Poraby już...

Anka westchnęła i ramionami ścisnęła; po chwili ce nagle zapytała;

— Czy ci co mówił?..

— Tak tak... niby... Słówko powiedział, a ja się reszty domyślił... Pytanie jednak, czyby go dziewczyna chciała?..

Anka się zachnęła, jakby w słowach tych obelga się dla niej zawierała, i odrzekła:

— Jakżeby chcieć nie miała?.. Czegożto Miłoszowi brak?.. czy dostatku?.. Chwała Bogu, nie zmarnowało się z dobra jego nic... Czy rozumu?.. W Trstnicy całej nie znajdzie się drugi, coby tak umiał na książce czytać i tak na papierze piórem pisać... Czy urody może?.. Przyszłość, jaka jest, nie pochodzi ze strony dziewczyny...

— Wiem ja, z jakiej przyszłość pochodzi strony... — wtrącił Bulgar.

Anka głową kiwała i ręce na piersiach skrzyżowała.

Piotr odchrząknął i nosem czmychnął...

— Szkoda... — rzekł — Szkoda dziewczyny, piękniejszej z dniem każdym, a przytem szkoda i młodzieńców, co na tę *lepotę* patrzą i dostać jej nie mogą, jak gwiazdy z nieba... I niema rady?..

— Ta... — odparła Anka. — Radaby się może i znalazła... Chodziłam umyślnie do Czekaeszynamonastyrza i pytałam najuczeńszych w piśmie kługierów...

— Cóż powiadali?.. — zapytał Piotr, ponaglając Ankę do opowiadania dalszego.

— Powiadali, że zakłęcie zdjąćby się dało, aleby to nowców dużo kosztowało...

— Radiwojby nie pożałował...

— I jabym nie pożałowała — podchwyciła Anka — pomimo że, jak widzisz, jestem biedna, opuszczona wdowa... Dla synka mego jednak, dla so-koła mego, ach! krwi własnejbym nie pożałowała...

— Cóż Radiwoj na to?..

— Ani sobie o tem gadać pozwala... Próbowa-łam sama, próbowałam przez braci jego, próbowa-łam i przez Milicę...

— *Potłudził* się człowiek!... — zawołał Piotr.

— Kto to wie?.. Bóg jeden wiedzieć może... Jak mu Turcy, Bógby ich pobił! zęby powytłukali i no-gę i rękę odcięli i jak go żonie oddali, to pokazał się mu święty Sawa i powiedział: »*Zarar jok*, bra-cie, wyzdrowiejesz i pociechę będziesz miał... dzie-cko twoje się pomści, tylko zaklnij je zakłębem, co ci najpierwej na myśl przyjdzie... To z nim o wszystkim mówić można, tylko nie o tem...

— Powiadałaśże kaługierom, że się Radiwojowi święty Sawa pokazał, i co mu mówił?..

— Powiadałam...

— Cóż oni na to?..

— Mówili, że święty dałby się przebłagać, byle cerkiew pod wezwaniem jego zbudować...

— Chyba mu się zdaje, że się jeszcze kocзина kraina wznowi!.. — rzekł Bulgar.

— Nie wiem... Co ja biedna wdowa wiedzieć

możę?.. Wiem tylko, że mi syna żał i wyrzucam sobie, że go, zamiast przez lat sześć na naukę posyłać, w domu nie trzymała i jak mu lat osiemnaście się skończyło, nie ożeniła... Mnie się zachciało rozumu dla niego, i kto wie, czym mu szczęścia nie zniszczyła... Ożeniony sześć lat temu, nie byłby się na Radiwojczankę zapatrzył... Ot, co to, bracie Pietrze, niewiasta sama, opuszczona, wdowa biedna!..

W oczach jej zakręciły się łzy, które ona rękawem obcierać poczęła.

— Nie, nie, Anko... nie płacz... — perswadował Bulgar.

— Serce się kraje na myśl, że dziecko więdnie... Jużbym mieć mogła wnuczęta... A tak co?.. on sam, ja sama...

— Nie płacz... Płacz ci nie pomoże...

— Cóż pomoże?..

— Kiedy jest rada, to się i znajdzie porada... Chodzi o to tylko, żeby Radiwoja przekonać, że w Serbii *kaugi* i za lat sto nie będzie... On przecie człowiek rozumny, przekonać się da, jeżeli się mu na rozum powie...

— Ach! gdyby się też znalazł człowiek taki, to jabym ślady jego całowała!..

— Ot, ja spróbuję... i jeśli mi się uda, nie będę wymagał, ażebyś ślady moje całowała... Widziałem się ja z ludźmi *wielikaszami*; widziałem się z hadzi-Mustafą paszą, widziałem się ze starym Mehmed-

bejem, widziałem się z młodym Kulin-kapetanem, widziałem się nawet z Paswanem-Ogłu...

Ostatnie to imię podziało na Ankę, jak uderzenie prądu elektrycznego. Drgnęła. Piotr jednak, nie zważając na to, ciągnął dalej.

— Widziałem się z nimi wszystkimi i od każdego z nich usłyszałem po słówek kilka, które gdy Radiwojowi powtórzę, to on... zmieknie może...

Z rozmowy powyżej przytoczonej pokazuje się, co to właściwie było za zakłęcie owo, o którym Bulgar na drodze z Szabca do Trstnicy półżartem mówił. Wchodziła tu interwencya potężna świętego Sawy, patrona Serbii, który się Radiwojowi w malignie pokazał. My oczywiście interwencyi tej brać na seryo nie możemy. Była to hallucynacya człowieka, który ciężką przebył gorączkę, zanim się z łoża boleści udźwignąć zdołał. Człowiek ten jednak w moralnem jestestwie swoim nie posiadał nic innego, tylko wiarę silną, ślepą, nie dopuszczającą tłumaczeń, perswazyi, ani rozumowań żadnych. Święty się mu pokazał, mówił do niego, dał mu polecenie, — tego było dosyć: Radiwoj czuł się i uznawał związanym rozkazem z nieba, rozkazem, którego, jako chrześcijanin dobry, jako Serb przytem nie złamałby za żadne świata skarby.

Żeby zaś mieć wyobrażenie, w jakiej chwili i w jakim stanie umysłu rozkaz ów na niego spadł, dość powiedzieć, że w ciągu choroby, jaką wskutek dokonanych na osobie jego operacyi jańczarskich

przebywał, urodziła mu się córka i umarła żona, i on o tem nie wiedział. Urodziny i pogrzeb w oczach się jego odbywały: — patrzył i nie widział. Dowiedział się o tem później dopiero, po upływie miesiąca całego, kiedy głosem osłabionym na żonę zawołał. Zamiast żony, przyszła bratowa.

— To ty, Elenko?.. — zapytał.

— Nie, to ja, Stana... — była odpowiedź.

— Elenko!.. gdzież ona?..

— Odeszła...

— Dokąd?.. kiedy wróci?..

— Odeszła i nie wróci już nigdy...

Nie zrozumiał zrazu odpowiedzi tej. Bracia, bratowa i dzieci ich łoże jego otoczyli i z ich min smutnych domyślił się strasznego znaczenia wyrazu »nigdy«. Wtem dziecko zakwiliło.

— A to co?.. — zapytał.

— Dziecko twoje...

— Syn!.. — zawołał i zerwał się i na łożu usiadł i ręce wyciągnął.

Nawet ręk wyciągnięcie złudzeniem było. Nie posiadał świadomości braku ręki lewej.

Pokazania się więc świętego w stanie takim, w jakim Radiwoj się znajdował, brać na seryo nie można. Była to, jak rzekliśmy wyżej, hallucynacya gorączkowa. On jednak brał to na seryo — i nie tylko on, ale wszyscy, co go otaczali — i nie tylko ci, ale w Serbii całej nie znalazłby się w czasie onym człowiek jeden, któryby się odważył podawać

w wątpliwość widzenie, za prawdziwością którego przemawiała naiwność wiary i moc przesądów.

Zadanie więc, jakie Bulgar na siebie wziął, trudnem było do rozwiązania. Trudności tej był świadomym, i on sam bowiem wierzył, że święty Sawa męczennikowi się pokazywał. Mógłże nie wierzyć? Mogłaż interwencya patrona kraju właściwszą sobie okazać obrac? Jeżeliby się święty nie pokazał Radiwojowi wówczas, kiedy on po ukazaniu takiego hartu ducha, takiej stałości charakteru i takiego patryotyzmu, obcięty niby drzewo z konarów, i zmięty rękami niewiernych rodzinie oddany został, to już chyba święci wypuścili Serbię i Serbów z opieki swojej na wieki. Zgrozy podobnej nikt przypuszczaćby się nie ośmielił. Nie ośmielał się przypuszczać tego i Piotr, i dlatego wierzył, wierzył bezwarunkowo, że Radiwoj był depozytorem rozkazanania niebieskiego.

Z drugiej jednak strony Bulgar, handlarz, zapatrujący się na rzeczy okiem trzeźwym, nie widzieć nie mógł, że rozkazanie niebieskie nie zgadza się ze stanem spraw ziemskich. Dla spełnienia rozkazu potrzebaby wojny, do której najmniejszego nie było podobieństwa. Wojna umknęła w dal niedojrzaną. Naród był zadowolony; rząd zaś starał się o to jedynie, ażeby zadowolenie to utrzymywać i pogłęwiać. O wojnie nikt ani marzył. Jakże pogodzić dwie te sprzeczności: rozkazanie świętego Sawy i stan rzeczy? jak wypośrodkować z tego odsta-



pień Radiwoja od powziętego postanowienia: nie wydania córki, jak tylko za junaka, co Serbię od panowania tureckiego uwolni? To przeto, co Anka o rozmowie z kaługierami mówiła, wydało się Bulgarowi drogą jedyną, mogącą z trudności wyprowadzić.

A chodziło mu wiece o wprowadzenie Radiwoja na drogę praktyczną, dla powodów nie małoważnych. Radiwoj posiadał wziętość i wywierał wpływ, wziętość i wpływ, które śród zadowolenia ogólnego stanowiły dysonans, niepomyślnie na usposobienie umysłów oddziaływający. Wszyscy zgadzali się ze stanem rzeczy; on jeden się nie zgadzał i rozporządzał środkiem, rozpalającym młode wyobraźnie, najskorsze i najpochopniejsze do zaburzenia spokoju bez oglądania się na następstwa. Córka jego, jako owa królewna w bajkach, do spółubiegania się o rękę której wyzywał król-ojciec bohaterów świata całego, była środkiem owym. Młodzież dla Milicy Ignęła do Radiwoja i podzielała opinie jego. Mogło to doprowadzić do następstw najsmutniejszych, do następstw które Piotr, handlarz, pojmujący całą pokój wartość, za występne uważał i gotów był dołożyć usiłowań wszelkich w celu odwrócenia takowych.

W tym celu nazajutrz po rozmowie z Anką, zagaił z Radiwojem rozmowę treści politycznej, wybrawszy do niej ten moment, w którym tak on, jako gospodarz, jako też goście wszyscy na czczo

jeszcze byli. Zagaił ją w ten sposób, że skorzystał z pretekstu pierwszego lepszego i słać począł panujący w kraju spokój, owoc zadowolenia ogólnego. Serbowie potakiwali, Radiwoj milczał, jeden tylko Stojan, którego obecność zaznaczyliśmy dnia pierwszego sławy na czele koła, stawiał obiekcyę, łatwo przez Piotra zbijane.

— Co tu gadać! — rzekł ten ostatni tonem stanowczym — i przeciwko prawdzie i Panu Bogu grzeszyć!.. Dobrze teraz i lepiej nie potrzeba...

— Nie dobrze... lepiej potrzeba... lepiej być musi i lepiej będzie... — odezwał się Radiwoj sucho, głosem szepleniącym.

— Radiwoju, bracie!... słowa twoje na uwagę i szacunek zasługują, ale zastanów się jeno, czy brak na czem krajowi albo narodowi?... Swoboda?.. jest; możność bogacenia się?.. jest...

— Swoboda, możność bogacenia się... — podchwycił Radiwoj.

— Wypędzam świnki moje w las na żołędzie i buczynę, to znaczy, daję im swobodę i możność bogacenia się: chodzą, żeru, gdzie i jak im się podoba, szukają... a na czyją to obraca się korzyść świnek, czy moją, hę?..

— Czy z tem świnkom źle?... — odparł Bulgar. — I one zadowolnione i ty zadowolniony...

— Tak, one zadowolnione, póki mi do głowy nie przyjdzie z pastwiska je spędzić, w chlewie zamknąć i głodem morzyć, albo nogi im kijem łamać..

— No, no... — rzekł Bulgar tonem odporu poważnego — tak nie bywa...

— Nie bywa?... A popatrzże się na mnie!...

I pokazywał palcem kolejno na kikieć ręki, na odłamy nogi, na ogołoczone z zębów dziąsła i na pomarszczone bliznami i szramami oblicze.

— Nie bywa?.. — powtórzył z akcentem ironii.

— Przemineło to i już nie wróci...

— Kto zaręczy?..

— Nie wróci, powiadam ci, Radiwoju, bracie...  
Widziałem się i mówiłem z hadži-Mustafą...

— No?.. — zapytał Radiwoj.

— Powiadał, że od sułtana samego, z ust jego własnych dostał rozkazanie obchodzić się z rają, jak matka z dzieckiem rodzonem... Widziałem się i mówiłem ze starym Mehmed-bejem...

— No?.. — zapytał Radiwoj powtórnie.

— Ostrzega i radzi, ażeby się jeno raja szanowała, a tak zakon turecki, jak interes Turków zgadzają się w tem, ażeby się z nią po ojcowsku obchodzić... Widziałem się i mówiłem z Paswanem-Oglu...

— No?.. — zapytał Radiwoj po raz trzeci.

— Powiada, że ma dosyć kłopotów z paszaliem swoim, ażeby miał słuchać skarg i namów jańczarskich i kirdżańskich... Widziałem się i mówiłem z Kulin-kapetanem...

— No?.. — zapytał Radiwoj po raz czwarty.

— Pokazywał mi miecz zaklęty, talizman, który

taką ma moc, że póki mu go raja z rąk w boju nie wydrze, póty panowanie tureckie uszczerbku najmniejszego nie poniesie.

Ostatnie te wyrazy uderzyły słuchaczy, Radiwoja nie wyjmując, bardziej, aniżeli wszystko, co Piotr powiadał o hadži-Mustafie, Mehmed-beju i Paswanie-Oglu, z których pierwszy był namiestnikiem sułtańskim, drugi obywatelem wiązanie państwowe uosabiającym, trzeci buntownikiem szczęśliwym, wyobrazicielem porządku starego i sąsiadem serbskim o miedzę, u którego jańczary opieki szukali i takową znaleźli, którego zatem podejrzrywano o intencją postawienia w Serbii rzeczy na tej stopie, na jakiej stały przed wojną. Wszystkie te jednak wiadomości, takie ważne, straciły w mniemaniu obecnych na znaczeniu i doniosłości wobec miecza, znajdującego się w posiadaniu Kulin-kapetana. Sprytny Bulgar, znający słabe słuchaczów swoich strony, zachował go na ostatek, ażeby nim, niby obuchem, opinią przeciwną w łeb zwalić i takową stanowczo pokonać. Serbowie ramionami ściskali, wąsy gładzili, chrząkali i brwiami łypali. Stojan zaklął:

— *Majka niegowa!*...

Radiwoj zaś zamyślił się, oczy w pałący się na kominie płomień wlepił, po chwili westchnął i rzekł:

— Ha... to będzie, co Bóg da...

— Ale *kaugi* już nie będzie... — podchwycił Piotr. — Sam Bóg jej nie chce...

Radiwoj nic na to nie odpowiedział.

Bulgar nie posuwał rzeczy dalej. Uważał zapewne, że czekać należy, aż rzucone przezeń ziarno samo zakiełkuje i plon wyda. Domyślał się, że Radiwoj nie o czem innem w chwili tej myśli, jeno o zaklęciu swoim i o córce swojej. Wolał więc zostawić go na ten raz myślom własnym, spuszczając się na to, że miłość ojcowska dla dziecięcia jedyne go sama zaprowadzi go na drogę przez kaługierów wskazaną, na drogę jedyną do wyjścia z trudności, bez narażenia na szwank wiary religijno-patryotycznej i sumienia chrześcijańskiego. Nie chciał jednak żadnego z powodów i żadnej z racyi, do konkluzyi prowadzących, w cieniu pozostawiać.

Przerwał więc rozmowę i zaproponował wyjść pod grusze, a gdy się biesiadnicy pod gruszkami zainstalowali, obchodził, zachodził, o przedmioty różne zaczepiał, aż mówić począł o nieobecnym Miłoszu, podnosząc przymioty, jakie go odznaczały.

— Szczęśliwa matka, że się takiej doczekała pociechy... — powiadał.

Wszyscy to jednogłośnie przyznali.

— Och .. czemużem się nie ożenił!.. — zawołał.

— Skądże ci ten żal zapóźny?.. — ktoś zapytał.

— Ta coby zapóźnym być miał!.. — odezwał się inny. — Żeń się... Żenią się przecie starsi niż ty ludzie...

— Nie tyle mi żal tego, że się nie ożenił, co tego, że nie mam córki na wydaniu... Gdybym córkę

miał, zaprząglbym do *haraby* bawołów dwanaście i przywiózł Miłosza jej na męża, sobie na zięcia...

Słowa te wydały się Serbom zabawnemi. Odezwali się śmiechem grubym i powolnym. Radiwoj zaś spojrział na Piotra z ukosa i rzekł:

— Jak widzę, ty bracie, umiesz gdzieindziej mierzyć, a gdzieindziej strzelać...

Spółbiesiadnicy domyślili się, o co chodzi; śmiech ustał, Piotr uśmiechnął się do siebie i, przyjmując z rąk sąsiada krążący dzban, wypił na zdrowie Radiwoja, wnuków i prawnuków.

— Żiwio!.. — krzyknęli Serbowie z przyciskiem.

Dzban poszedł w obieg, zagrzmiało wystrzałów kilka, sława szła trybem zwyczajnym.

Nazajutrz tryb zmienił się nieco. Ubył gość jeden, a na miejsce jego jeden nowy przybył: — odjechał Piotr przed dnia świtaniem, przyszedł zaś piechotą gęślarz ślepy, Michaj stary, i od rana zajął pod gruszami miejsce poczystne. Przybyciem Michaja uradowali się wielce starzy i młodzi. Od rana też podwórze Radiwoja zapełniło się ludem mnogim, którego połowa większa składała się z dzieci małoletnich. Gęślarz w struny uderzył — cisza zapanaowała — śpiewał:

— „*Nietko besze Strachiniciu bane,  
Besze bane u malenoi bańskoj,  
U malenoi bańskoj kraj Kosowa.  
Da takoga nieima sokola*“.

Śpiewał długo, a raczej opowiadał o czynach

znakomitych Strachinicza bana, który zawiedziony przez szwagrów, dziewięciu Jugowiczów i opuszczony przez wszystkich, z wyjątkiem psa wiernego, odważył się sam jeden wejść do środka obozu tureckiego, w którym znajdowały się wojska niezliczone, i z rąk najwaleczniejszego pomiędzy Turkami odebrać porwaną mu żonę.

Skończył — słuchacze słuchali wciąż. Pieśniarz jednak pierwaj posilić się musiał i gardło odwilżyć, zanim zaczął pieśń drugą.

Śpiewał i odpoczywał, odpoczywał i znów śpiewał, a niekiedy gęśł na bok odkładał i prawil powieści cudowne o żmii, co biednemu człowiekowi za mleko dukatami płaciła; o chłopcu, co dyabłu duszę zaprzedał, o świętym Tomaszu, co się w pszczoły przemienił i wykradł królowi dyabłów tajemnicę urządzania kosztów we młynie. Nad wieczorem przestał ślepiec śpiewać i powieści opowiadać, — zmęczył się biedak; przyszli cyganie i stanęła młodzież do koła.

A kiedy koło się igrało, bez Stojana tym razem — tego bowiem pieśni i opowiadania gęślarza w taką zadumę głęboką wprawiły, że oczy zamknął i z miejsca się nie ruszał — kiedy koło się igrało, rozległy się nagle w dali huki wystrzałów, zwiastujących przybycie gości nowych.

Było ich snadź więcej jak jeden, jak dwóch lub trzech, strzelali bowiem gęsto i często, budząc echa



górskie tak, że się wydawało, jakby tyralierski szedł ogień.

Bach!.. buch!.. echa echom podawały, grzmoty grzmotom odpowiadały.

Ucichło na chwilę, i po chwili strzelanina wznowiła się we wrotach. Na podwórze wjechał jeździec jeden, za nim drugi, za tym trzeci, czwarty, piąty, dziesiąty, dwunasty. Dwunastu ich było równo — chłopcy nito dęby — a co za konie pod nimi!.. a co za ubranie na nich!.. Barwy od nich bijące oczy zrywały, złoto z nich kapowało; konie, na których siedzieli, nie powstydzilyby się pod wielkim wezyrem, albo i pod sułtanem nawet; rzędy jedwabne, złotem i srebrem haftowane, jatagany, pistolety, strzelby drogimi osypane kamieniami.

Gdy jeździec naczelny koło w pierwszej połowie objechał i siedzącym pod gruszami w całej się okazałości sprezentował, powstał pomiędzy tymi ostatnimi niepokój niejaki, tłómaczący się szmerem, który sprawiał półgłosem wymawiany wyraz: hajducy...

— Boga mi, hajducy!.. — zawołał jeden głośniej, z przestachem prawie.

— *Cziuti* (cicho)... — odezwało się głosów kilka.

Hajducy defilowali jeden za drugim, bez strzelania z pistoletów. Było to oznaką nienajlepszą. Znaczyło to, że nie mają zamiaru brać w sławie udziału. Coż za zamiar mają? Pytanie to biesiadnikom ćwiekiem we łbach utkwiło i odpowiedzi

na nie znaleźć nie mogli, aż ten, co na czele jechał i na harambaszę wyglądał, objechawszy koło i zatrzymawszy konia przed siedzącymi pod gruszami, sam im odpowiedź dał.

— Ej Serbowie!.. — powiedział. — Pijecie tu wino słodkie, jecie chleb biały i jagnięta pieczone, koło igracie i gęślarza słuchacie, weselicie się i o nic nie dbacie, a *duszman* tymczasem ziemię waszą najeżdża, sioła pali i lud w niewolę zabiera... Ej, Stojanie, pobratymie!.. i ty tu ?.. Ej, Trstniczanie!.. nie przybywam ja do was po to, żeby u Radiwoja sławę obchodzić... Dam tylko koniom wytchnąć i na czele *czety* mojej junackiej pociągnę dalej na *duszmana*, pozostawiając wam do woli: albo sławą się zabawiać albo przeciwko jańczarom, kirdżalim i Paswana-Oglu wojskom w ślady moje spieszyć... Więc Trstniczanie, albo bywajcie zdrowi, albo do widzenia!..

Konia na miejscu zwrócił i z podwórza wyjechał.

## 6. Hadži-Mustafa.

---

Białogród — serbska stolica — niepodobny dziś do tego Białogrodu, jaki za czasów tureckiego panowania rozrzucał się na cyplu wciskającym się w kąt, który formuje ujście Sawy do Dunaju. Dziś siejszy jednak przechowuje jeszcze ślady niejakie dawniejszego. Ze śladów tych wnioskować można, jakim on był w epoce powieści naszej. Gospodarowali w nim Turcy, a ci budowali »nie ludziom miasto, lecz sobie«... twierdzę, to znaczy, że to, co twierdzę stanowiło, nosiło na sobie cechy trwałości, to zaś, co za przytulisko miejskie ludziom służyło, przypominało namiot. Sposób, w jaki się Turcy zabudowują, najlepiej świadczy o koczowniczości narodu, jako też o braku w nich ducha, że się tak wyrazimy, konstrukcyjnego, zdolnego do wykonania podboju i utrzymania takowego przez dłuższy lub krótszy czasu przeciąg, niezdolnego do uorganizowania społeczeństwa. W tej materii jednak pomówimy obszerniej, jeżeli się okazyja nadarzy, tu zaś ograniczymy się jedynie na skreśleniu fizjonomii Białogrodu.

Białogród, jak wszystkie w ogólności miasta tureckie, przedstawiał się z daleka zachwycająco.

Domy różnobarwne, dachy czerwone, drzew dużo, cyprysy smukłe, minarety zaostrome i błyszczące; mury i wały forteczne nadawały mu pozór malowniczości skończonej i doskonałej. Istota jednak malowniczości owej podobną była wielce do łuków owych tryumfalnych, budowanych z płótna i kartonu, a udających granit i spiż. Za materiały budulcowy służyły jej: cienki słup drewniany i dranica. Stawiane z nich domy posiadały trwałość baraków; trzymały się jednak długo, dzięki łatwości, z jaką się naprawiały, gdy czas część jaką nadwreżył. Dom też turecki jest obrazem wiernym tureckiego państwa, trzymającego się za pomocą reparacyi ustawicznej. Spróchniały słupek zamienia się innym, co także wkrótce spróchnieje; osłabione wiązanie zbija się ćwiekiem, który od pierwszej chwili rdzewieć poczyną; dziura w ścianie, spowodowana odpadnięciem dranicy, łąta się dranicą nową, z góry na odpadnięcie wskazaną. I trzyma się to, pomimo złego gatunku materiałów i wadliwości budowlanej.

Grzbietem wciskającego się pomiędzy Sawę a Dunaj cypla idzie prowadząca z głębi Serbii droga, która w mieście stanowi ulicę główną, wiodącą od bramy głównej wałów zewnętrznych do bramy głównej cytadeli, położonej w punkcie połączenia dwóch rzek i wieńczącej sobą szczyt i spadki stromego wzgórza, panującego militarnie nad biegiem Dunaju, a w sensie perspektywnym nad nizinami,

rozlegającemi się szeroko na lewym brzegu Dunaju i na lewym brzegu Sawy. Pomiedzy murami cytadeli a zewnetrznym, od brzegów jednej rzeki do drugiej przekopany wałem leży właściwe miasto, rozrzucające się na grzbiecie wzgórza i na spadkach onego. Grzbietem przepoławia je ulica główna, o której wspomnieliśmy powyżej. Równolegle do niej idą ulice, jedna nad Dunajem, druga nad Sawą. Przy tej ostatniej przystań handlowa; tamta uderza na pierwsze spojrzenie mnogością sklepików, w których świeżą sprzedają rybę; środkowa odznacza się tem, że wychodzi na plac, z trzech stron otoczony zabudowaniami, czwartą zaś otwarty na wygon, dopierający do stoków cytadeli i przerznięty drogą, prowadzącą przez most zwodzony do murywanej, działami najeżonej bramy. Na trzech tych ulicach sklepiki, warsztaty rzemieślnicze, kawiarnie, jatki, piekarnie, garkuchnie i meczety znamionują życie miejskie, wlokące się leniwie, sennie niemal i symbolizujące się dokładnie obrazem człowieka, drzemiącego z nogami podgiętymi. Od tych trzech ulic rozchodzi się sieć powikłana uliczek ciasnych i głuchych, istny labirynt, pełen skrętów i zaułków niespodziankowych. Na pochyłości dunajskiej, ozdobionej zabrukanemi przez Turków ruinami pałacu Eugeniusza Sabaudzkiego, mieszka wyłącznie ludność turecka; pochyłość sawską zaludnia mieszanina narodów, w skład której Serbowie wchodzą w części najmniejszej, w największej zaś Żydzi hiszpańscy,

a obok nich Ormianie, Grecy, Cincary. Serbowie wynieśli się na przedmieścia, głównie na Paliluję, czepiającą się grodu w połowie onego naddunajskiej.

Dwie więc w owczesnym Białogrodzie odróżnić należy części: miasto — *warosz*, — zawarte w obrębie wałów zewnętrznych, i twierdzę — *grad* — otoczoną rowami i murami.

*Grad* serbski i *gród* polski, oznaczając w gruncie jedno i to samo, różnią się jednak tem, że do znaczenia wyrazu tego przywiązuje się u Serbów pojęcie obrony, skombinowane z pojęciem murowania. Miasto obronne murowane jest grodem. Dlatego część Białogrodu, wałem ziemnym obwiedziona nazywała się *waroszą*.

Warosz nie była murowana, ale i w grodzie murowania znajdowało się tyle tylko, co w rowach, pod parapetami, w bramach i kazamatach, — wszystko inne zresztą drewniane z wyjątkiem meczetu, stojącego w punkcie widnym i strzelającego w górę minaretem smukłym. Nieopodal od meczetu wznosił się budynek piętrowy z krążgankami i kolumnami, o dużych szklanych oknach i ze złocistą cyfrą sułtańską na frontonie, z ogrodem cienistym z tyłu i z podwórzem obszernem z przodu; pomieszkanie paszy, wielkorządcy elajetu serbskiego, namiestnika sułtana Selima III, który pierwszy z sułtanów tureckich próbować zaczął leczyć państwo ottomańskie za pomocą środków, zaczerpniętych w receptach,

przepisywanych państwowym chrześcijańskim. Namieśnikiem tym był pamiętny w dziejach Serbii hadżi-Mustafa.

Hadżi-Mustafa nie należał do orlego ludzi rodzaju i dlatego niekoniecznie właściwym był na tak ważnem stanowisku, jakie podówczas Serbia zajmowała. Na stanowisku tem potrzeba było człowieka, umiającego pomiędzy przeciwnymi lawirować prądami. Hadżi-Mustafa sztuki tej delikatnej nie posiadał w stopniu wysokim. Potrzeba było, ażeby był sprytny i przebiegły; on zaś był dobry — »dobry człowiek« w najliteralniejszym pojęcia tego znaczeniu. Jako taki, stał po stronie intencji reformatorskich Selima III, które nie rozumem, ale sercem pojmował, upatrując w nich umniejszenie krzywd ludzkich i pomnożenie sumy sprawiedliwości. Dla tej tylko przyczyny reformy do przekonania mu przypadły. Nie był to jednak człowiek, zdolny powziąć pomysł jaki, lub też powzięty przeprowadzić. Nie był on usposobiony ani do inicjatywy, ani do egzekucyi. Posada namiestnicza w Białogrodzie dostała mu się dlatego, że nikt się o nią w Konstantynopolu nie współubiegał, z powodu że była osławiona, jako nie przynosząca korzyści, odpowiednich mozołom i niebezpieczeństwom. Kazano mu: »jedź!« pojechał. Wręczono mu firman sułtański, zabraniający jańczarom wstępu na ziemię serbską, i firman ten służył mu za dyrektywę polityczną, której się ślepo oburącz trzymał.



Hadżi-Mustafa w odniesieniu do zarządu kraju, pieczy jego powierzonego, przedstawiał osobę sułtana, posiadał zatem władzę absolutną, tak samo jak wezyr bośniacki, jak pasza skadarski, jak wszyscy wielkorządcy na czele paszalików postawieni. Pomędzy nim jednak a innymi wielkorządcami zachodziła różnica położenia, zależąca na tem, że inni, posiadając władzę absolutną, posiadali oraz i środki do utrzymania takowej, środki nieograniczone, pozwalające im używać i nadużywać władzy przez zabieranie na korzyść onej wszystkiego, co się im potrzebnem wydawać mogło. Hadżi-Mustafa zabierać nie mógł nic: nie miał kim. Spaje, mając własny w tem interes, ażeby zabieranie dochodów ich nie uszczuplało, nie nadawali się do tego. Zapłije — policya, ziemska — byli za słabi. Naród poczuwał się do praw, których gotów był bronić. Pasza przeto, z władzą absolutną w rękę, pozostawał bezwładnym prawie, zależał bowiem z jednej strony od dobrej woli spajów, z drugiej od uległości rajów, nie posiadając ani w rękę, ani w głowie sposobów do rozbudzania pierwszej i utrzymywania w równej mierze drugiej. Nie pozostawało mu więc nic innego, jak ulegać samemu, to znaczy stosować się do położenia i zostawiać okolicznościom bieg wolny, starając się jedynie o ratowanie form, otaczających majestat władzy sułtańskiej. To ostatnie przychodziło mu bez trudności i ułatwiała wielce zadośćuczynienie trudnym obowiązkom, ale, dodać

potrzeba, nie w odniesieniu do wszystkich. Spajowie i raje szli w ład namiestnikowi sułtańskiemu i nie zadawali mu kłopotów wielkich. Znajdowali się jednak tacy, którzy nie uwzględniali położenia hadżi-Mustafy. Byli to tłumacze Koranu, sprawiający obrzędy religijne i władzę sądowniczą, mułlowie i hodżowie, na czele których stał mułła Jusuf, basz-hodża, będący zarazem arcykapłanem i sędzią najwyższym, o tyle od paszy niezależny, że odnosił się wprost do Konstantynopola, do szeik-ul-islama i posiadał w stolicy, w sferach najwyższych rządowych głos i protekcją.

Basz-chodża krzywym okiem patrzył na zaszłe po zawarciu pokoju sistowskiego zmiany, a mianowicie i szczególnie na wydalenie jańczarów z kraju i zamknięcie im drogi do powrotu. Uważał to jako tryumf chrześcijaństwa nad islamizmem, jako rodzaj świętokradztwa, wołającego o pomstę do Allaha. Firman jednak był wyraźny i on przeciwko rozkazowi padyszacha, bożego na ziemi namiestnika, nie mógł nic, w pierwszej zwłaszcza chwili. Z czasem atoli, rozpatrzywszy się w sytuacji i dowiedziawszy się, że reformatorskie zamiary Selima III natrafiają na opór, że czysti wyznawcy proroka nie stoją przy sułtanie, że orężne bunty paszów odbywają się pod znamię wiary prawdziwej zagrożonej, mułła-Jusuf działać począł przeciwko hadżi-Mustafie.

Hadżi-Mustafa i mułła-Jusuf, pod względem po-

wierzchowności nawet, były to dwie sprzeczności. Pierwszemu dobroć malowała się na postaci ujmującej a poważnej. Serbowie nadali mu przydomek »matki«, na który on zasługiwał od pierwszego spojrzenia, pomimo że niewieściego nie miał w sobie nic, przeciwnie, był marsowaty, wzrostu więcej aniżeli średniego, nosił brodę przyszyżoną, która była niegdyś czarną, lecz ją przyprószył szron siwizny i w szpakowatą zmienił; nosił jednak w oczach wyraz łagodności, ożeniony z wyrazem cierpienia, którym serca podbijał. Umiał przytem z ludźmi gadać. Mułła-Jusuf przeciwnie, posiadał dar odtrącania ludzi, co mu z tem większą przychodziło łatwością, że mu do tego powierzchowność pomagała: był chudy, zezowaty, trzymał się pochyło, spoglądał z podełba i mówił głosem ciekim, w oczach jednak prawowiernych tą wielką jaśniał zaletą, że uchodził za obrońcę islamizmu, za filar wiary sponiewieranej.

Pasza mieszkał w konaku, basz-hodża w domu przylegającym do dżamii. Ogrody domów tych graniczyłyby, gdyby względy haremowe nie nakazywały na linii granicznej, co mogłaby być spólną, poprowadzić śród dwóch murów wysokich, uliczki głuchej i wiecznie pustej, nie służącej bowiem, ani się nadającej do komunikacji żadnej. Gdyby mur był spólny, pasza mógłby uwieść którą z kobiet mułły, lub też mułła przysłużyć się w sposób ten paszy. Dla odwrócenia więc możliwości wypadku

podobnego, przez przezorność wniesiono dwa mury i rozdzielono je pasem gruntu neutralnego, który był wybrukowany — w przypuszczeniu zapewne, że tamtędy ludzie będą chodzili — lecz zarósł trawą i chwastami i służył za pole popisów jaszczurkom, wylęgającym się tam w obfitości wielkiej i okrywającym kolejno to mur ogrodu mułły, gdy słońce znajdowało się na wschodniej połowie nieboskłonu, to znów mur ogrodu paszy, gdy przechodziło na połowę zachodnią. Psy nawet na ulicę tej się nie gnieździły, tak dalece pustką trąciła.

Ogrody przy domach tureckich stanowią część integralną haremów, i jak do haremu, z wyjątkiem pana i rzezańców, wejść nie wolno nikomu, co do męskiej rodzaju ludzkiego połowy należy, tak samo wejść nie wolno i do ogrodu. Dlatego ogrody otaczają się murami wysokimi; kiedy zaś takowych wznieść wyżej nie można, a jest podejrzenie, że oko czyjeś, bądźto z domu sąsiedniego, bądź też z wyniosłości jakowejś, sięgnąć może do środka, w razie takim mury sztukują się przepierzeniami z desek, wznoszącemi się w powietrzu na słupach, do muru przytwierdzonych. Na murze ogrodowym mułły wznosiło się przepierzenie takie, było bowiem podejrzenie, że pasza z jednego z okien konaku mógłby patrzeć do środka ogrodu mułły i cudzołożnem okiem dotykać żon jego. Mógłby, gdyby chciał. Czyżby chciał?

Hadzi-Mustafa pasza był poważny i stateczny;

tytuł »hadżi« — pielgrzyma do grobu proroka — nosił godnie, szanował zakon; miał jednak wadę, »bo któż jest bez wady«? — czuł w sobie pociąg wielki do płci niewieściej, i gdyby jeno tak mógł, jak nie mógł, to harem jego jeśliby nie przewyższał sułtańskiego pod względem doboru pereł z oczami błyszczącemi i z warkoczami długimi, toby się mu równał niezawodnie. Dochody jednak nazbyt szczupłe z paszaliku nie pozwalały mu na tego rodzaju godziwe przyjemności. Musiał się ograniczać we względzie tym i poprzestawać na dwóch tylko żonach i sześciu odałykach, rzadko odnawianych nabytkiem młodym a powabnym. Nie starczyło mu na to, po prostu a krótko powiedziawszy. Starych niewiast nie oddalał, bo wedle zakonu musiałby je w posagi zaopatrywać; nowe rzadko kupował, bo nie miał za co. Z tego powodu podejrzywano go o skłonność do cudzych żon — skłonność, o której mułła-Jusuf wiedział i przeciwko której podszukował mur deskami wysoko, wysoko.

Spoglądając na deski te, mułła-Jusuf uśmiechał się złośliwie.

Mułła pod względem finansowym stał lepiej, aniżeli pasza. Najprzód, nie miał wydatków takich, powtóre, jako sędzia płatny przez strony, posiadał dochody znaczne, które pomnażał za pomocą wypożyczania pieniędzy na lichwę. Pływały mu więc pieniądze niby woda i dawały możność utrzymywania haremu na stopie, godności jego wysokiej

odpowiedniej. Co lat parę w ginaceum jego pojawiała się gwiazdka nowa, wymieniona za kies kilka, leżących zawsze w skrzyni jego w pogotowiu. Kupcy, gdy z towarem tym do Białogrodu przybywali, najpierw do basz-hodży się zgłaszali, znając gusta i stan kasy jego.

Nie tylko więc względy natury politycznej różniły dwóch tych dostojników wysokich, dzielających władzę nad Serbią. Różniły ich względy i inne jeszcze, jeśli nie równie ważne, to równie drażliwe. Pasza miał do mułły pretensją, że mu z przed nosa niewolnice najpiękniejsze chwyta, płacąc z góry, gotówką i bez targu długiego; mułła miał paszę w podejrzeniu, że dobro jego grzeszną myślą ściga i występniem okiem plami. Dlatego, jako też i dla względów politycznych, ten ostatni pozostawał w ścisłym i nieustannym porozumieniu z Paswanem-Oglu i z wygnanymi jańczarami. Utrzymywał z nimi stosunki tajemne za pośrednictwem agentów i wysłańców, krążących ustawicznie pomiędzy Białogrodem a Widdyniem.

Ze strony swojej hadži-Mustafa, wiedząc o istnieniu knowań, albo raczej domyślając się takowych, oddziaływał przeciwko onym, jak mógł. Nakazał jak najściślejszy w przystani dozór; wydelegował urzędnika osobnego, biegłego nie tylko w pisaniu, lecz oraz w czytaniu, do rozpatrywania się w *teskierach*, bez których nikogo do miasta wpuszczać nie pozwalał; zakazał jak najsurowiej wychodzić

na ulice po zachodzie słońca; sam osobiście doglądał wart w bramach i zamykania takowych w godzinie oznaczonej; słowem, zarządził czujność i baczność jak największą, wskutek których więzienie miejskie zapełniało się regularnie nocy każdej i wypróżniało się poranka każdego, z powodu że w sieci, jakie zaptije zarzucali, nie miała się żadna ryba gruba. Tak się działo zwykle. Niekiedy atoli udawało się dostać osobistość, cuchnącą Widdyniem. Cóż jednak? Pasza stawiać ją musiał przed mułłą, ten zaś nie znajdował na niej winy żadnej.

Razu pewnego, gdy słońce miało się ku zachodowi, hadži-Mustafa, zwyczajem swoim, pojechał konno do bram miejskich, zwiedził wszystkie i, powracając, zoczył z daleka człowieka, wchodzącego do twierdzy przez most zwodzony. Nie było w tem nic dziwnego, ani nadzwyczajnego. Otwarta do słońca zachodu komunikacya pomiędzy twierdzą a miastem pozwalała każdemu wchodzić i wychodzić. Słońce jeszcze nie zaszło było. Co jednak paszę zafrapowało, to to, że znając każdego mieszkańca twierdzy, poznał, iż człowiek ów jest obcy, wchodzi więc po to, ażeby wejść i wyjść. Za chwilę jednak wychodzić już nie będzie można, z powodu że się bramy zamkną. Wnet więc strzeliło mu w myśli zapytań kilka:

— Co to za jeden?.. Po co i do kogo idzie?.. Gdzie i jak będzie nocował?..

Mógłby ciekawość zaspokoić natychmiast, gdyby



człowieka tego idącym za sobą zaptijom przytrzymać kazał. Pomyślał sobie jednak:

— Skłamię i wywinie się...

Nie spuszczał go więc z oka, jadąc za nim z daleka. Nieznajomy udał się wprost do domu basz-hodży.

Pasza zębami zgrzytnął.

— Czekaj jednak... — rzekł do siebie. — *Ba-kałym...*

Powróciwszy do konaku, wezwał do siebie dwóch zaptich, na których spryt i wierność liczył najwięcej, i taki dał im rozkaz:

— U basz-hodży nocuje obcy jakiś... Tego obcego macie pojmać i do mnie przyprowadzić...

— *Ewet, effendim...* — pokłonili się i wyszli.

Nazajutrz rano, jak tylko pasza z haremu do salamliku wyszedł, pierwszym, kogo ujrzał, był jeden z zaptich.

— Cóż?..

— Jest...

— Tak rano?.. Wyszedł więc, jak tylko słońce zeszło?..

— Wyszedł w nocy... My za nim... Spuszczał się ścieżką wprost do Dunaju, gdzie na niego łódź czekała... Ujęliśmy go na samym brzegu...

Pasza oczy szeroko w zdumieniu otworzył.

— Wiemy, kto on... — dodał zapti.

— E?.. — zapytał pasza.

— Guszanc-Ali...

— Uuuch!.. — odezwał się hadži-Mustafa tonem, w którym tłumiona brzmiała radość. — Czy tylko on?..

— On, *effendim*... Któżby go nie poznał?!.. Zresztą, nie zapiera się imienia swego...

— Czy mówił co?..

— Mówił... Przeklinał ciebie, *effendim*... Powiadał rzeczy takie, których nie śmiałbym powtórzyć przed tobą...

— Co za rzeczy?..

— Powiadał... powiadał... hm...

Nie mógł zapti wykrztusić.

— Nu, gadaj...

— Powiadał, *effendim*... po-o-wiadał...

— Lżył mnie, co?..

— Gorzej... Naśmiewał się z ciebie...

— Cóż mówił?..

— Mówił... — odchrząknął zapti i rzekł rezolutnie: — *Effendim*, ja ci tego nie powtórzę!..

— A on, jak myślisz, powtórzy mi to w oczy?..  
— zapytał pasza.

— *Sen bilir, effendim*... Zdaje się jednak, że powtórzy...

— Czy wie kto o pojmaniu jego?..

— Nikt, z wyjątkiem nas dwóch i rzezańców twoich... Dla gadania jego nie chcieliśmy go do *apsu* prowadzić...

— Dobrzeście zrobili; będziecie bakczysz mieli...  
Przyprowadzić mi go tu...

Salamlik w konaku, jak wszystkie w Turcyi izby, przeznaczone do przyjmowania gości i dawania audyencyi, dzielił się na dwie połowy, baryerą drewnianą przegrodzone, jedną od drzwi wchodowych, drugą w głębi, podniesioną na stóp parę nad pierwszą. Ta ostatnia, wysłana kobiercami i zaopatrzona w dywany służyła do przyjmowania gości dystygowanych. Wchodziło się na nią po schodkach, których deptać nie śmiała noga pospółstwa, przypuszczanego przed oblicze sułtańskiego namiestnika. Musiało ono stać bosemi na podłodze nagiej nogami. Pospółstwo zrzucało obuwie za drzwiami, ludzie średniej wartości przed schodkami, ludzie bardzo dystygowani nad schodkami przy baryerze.

Hadži-Mustafa, oczekując na przybycie jeńca, usiadł na dywanie, klasnął w dłonie i rzezańcowi czarnemu, który na klaśnięcie w bocznych ukazał się drzwiczkach, rozkazał podać sobie czubuk z kawą i przywołać Derwisz-beja. W chwilę później weszło jeden za drugim ludzi czterech: czubukdźi z cybuchem i podstawką mosiężną, ateszdźi z rozżarzoną w szczypcach węglem, kawedźi z tacką mosiężną, na której w małej filiżaneczce niósł odrobinę kawy czarnej z nakipiałym na wierzchu brunatnym kajmakiem i człowiek młody, widny, przystojny, ozdobiony mszącym się mu na wardze zwierchniej czarnym wąsem i ubrany w strój turecki, okrywający malowniczo postać jego szykowną. Trzej pierwsi cofnęli się tyłem do drzwi

i znikli, czwarty pozostał. Pasza powitał go uśmiechem i lekkim głowy skinieniem. Młodzieniec po ufałe zbliżył się i, zajmując na dywanie miejsce obok hadži-Mustafy, zadał mu zapytanie następujące!

— *E, ojcze, ne war ne jok*, że mnie tak rano do siebie wezwałeś?..

— Cobyś zrobił, gdyby ci Guszanc-Ali w ręce wpadł?.. — odparł pasza.

— Guszanc-Ali?.. bulukbasza kirdżalich?.. ten sam, co idzie *barabar* z jańczarami i służy za psa Paswanowi-Oglu?..

— Ten sam...

— Kazałbym go wbić na pal i, poczekawszy, aż na palu skona, odjąć mu głowę, którąbym Paswanowi-Oglu posłał...

— Czy myślisz, że byłoby to dobrze?..

— Ach! na brodę Mahometa!..! coś lepszego zrobić można?.. Ale dlaczegoż, ojcze, pytasz mnie o to?..

— Dlatego, że mam Guszanca-Ali w ręku...

Młodzieniec, który, jak z rozmowy widzimy, był synem hadži-Mustafy, szeroko otwartemi, a zdziwieniem tryskającemi oczami w oczy ojcu się wpatrzył.

— Guszanc-Ali?.. — rzekł.

— Ujrzysz go za chwilę...

Jakoż, zanim pasza wyraz ostatni wymówił, próg salamliku przekroczył człowiek wzrostem niewielki,

ale krępy, barczysty, grubokościsty, płaskonosy, twarzy szerokiej, ust wielkich, oczów małych, czoła niskiego i zarostu na twarzy w rudawy wpadającego. Ręce miał w tył powrozem ściągnięte, łokieć do łokcia, tak mocno, że mu się od tego odzież na piersi rozeszła i pokazywała się z pod koszuli pierś gęstym pokryta zarostem. Zaptije szli za nim; jeden trzymał w garści powróż, idący od rąk związanych, drugi pistolet z kurkiem odwiedzionym.

Guszanc-Ali, przekroczywszy próg bez zrzucenia przed takowym obuwia, skierował się wprost na schodki i byłby na nie wszedł, gdyby go był zapti powrozem nie szarpnął i nie przytrzymał.

— Co!.. — krzyknął, odwracając się i brwi groźnie marszcząc. — Miejsce twoje tu, *pezewenku!* tu ty zostań; moje... tam...

Rzutem głowy na dywan ukazał.

Zaptije pytającami na paszę spojrzeli oczami.

Hadži-Mustafa odpowiedział skinieniem, nakazującym zatrzymanie więźnia przed baryerą.

— Hadži-Mustafo! ej, hadži-Mustafo!.. — odezwał się ten ostatni tonem, w którym brzmiały politowanie i drwiny. — Jabym się z tobą obchodził inaczej, gdybym był na twojem, a ty na mojem miejscu; posadziłbym cię na dywanie; poczęstowałbym cię *tatły*, od którychbyś sobie palce oblizywał; podałbym ci czubuk i kawę; powiedziałbym ci przed tem wszystkim *salam*, a po wszystkim

*urula*h na drogę do raj, dokądbym cię posłał, wiedząc z góry, iżbyś tam nie trafił..

Pasza, wysłuchawszy cierpliwie słów powyższych, odrzekł z flegmą iście wschodnią:

— To dobrze, że wiem, jakbyś się ze mną ob-  
szedł.. Nie to mnie jednak obchodzi.. Chciałbym,  
żebyś mi powiedział: po coś do Białogrodu przy-  
szedł?..

— O, paszo-effendim, rozumny i potężny!.. Czyż  
nie wiesz, po co?.. Nie przyszedłem po skarby  
twoje, wiem bowiem, że w skarbcu twoim myszy  
się gnieźdzą..

— Po cóż więc?..

— Nie przyszedłem po kobiety twoje, bo brzy-  
dzą się niewiastami, co trzech par nie warte..

— Po cóż więc?..

— Nie przyszedłem po wiernych ci spajów i za-  
ptich, boby na nic się nie przydali rycerze, co od  
połysku broni palnej głowy jak strusie chowają..

— Po cóż więc?.. — powtarzał pasza tonem  
jednym, spokojnie i powolnie, podczas kiedy sie-  
dzący obok syn mienił się na twarzy, niby obraz  
cudowny.

— Nie przyszedłem po synka twego, bo wiem,  
iżbym mu przykrość wielką wyrządził, gdybym go  
od kądzieli oderwał..

Na słowa te młodzieniec z miejsca skoczył i ku-  
łaki zacisnął.

— Psss... — odezwał się hadži-Mustafa, rękę wyciągając i gestem syna do zachowywania się spokojnie przynaglając. — Siadaj, albo cię precz wyślę...

Młodzieniec usłuchał.

Guszanc-Ali prawil:

— Gdy się niewieściuch ten porwał, wydało mi się, że to dziewczyna za chłopca przebrana, że skoczy na mnie i będzie mi pazurami po twarzy drapała... Czemużes ją... ach! nie... jego, paszo-effendim, powściągnął?..

Hadži-Mustafa, nie odpowiadając na zapytanie ostatnie i nie zważając na słowa, co je poprzedziły, powtórzył swoje:

— Pocóż więc przyszedłeś?..

— Jakto !.. czy jeszcze nie wiesz?.. E, *bilirsen*... Chyba że chcesz z ust moich własnych usłyszeć wyznanie, jako dowód pokory mojej... Dobrze więc wyznam, powiem... Przyszedłem po to, paszo-effendim, ażeby się tobie dać złapać...

— E, *ii*... — odparł pasza. — Niech i tak będzie..

— Czemu ty mnie jednak na dywanie nie sadzasz?.. — podchwycił Guszanc-Ali. — Czy dlatego, że tatły w komorze nie masz?..

— Nie, ale dlatego, żeś zbój, rabuś i złodziej...

— Cha, cha... nie zbójto, nie rabuś i nie złodziej ten, co ma pod sobą wojska więcej jak ty,



a dukatów w skrzyni tyle, żeś ty kupy takiej złota w życiu swoim nie widział nigdy...

— *E, i...* — powtórzył pasza. — *Czok ii...* Odpowiedzże mi na jedno zapytanie jeszcze...

— Pytaj...

— Dlaczego w gródzie nocować nie chciałeś?..

— Dlatego, że gdybym do dnia doczekał, to zaptije twoi, co jak sowy od słońca ślepną, nie złapałiby mnie i ty nie miałbyś uciechy widzenia, jak Guszanc-Ali po śmierci wygląda...

— Hm!.. — mruknął pasza i zamyślił się, nie zwracając najmniejszej uwagi na zuchwałą, wyzywającą gadaninę, w której więzień nie ustawał ani na chwilę.

Zamyślenie paszy trwało minut kilkanaście, aż znudzony snadź niem Guszanc-Ali zapytał:

— *E, potężny i mądry paszo-effendim, powiedzże mi już raz, jaki mi przeznaczasz śmierci rodzaj?..*

— Żadnego...

— Chcesz mnie zapewne w *apsie* gnoić?..

— Bynajmniej..

— Cóż więc?..

— Oto co: odeślę cię na łodzi pod strażą do granicy i u ujścia Timoka na brzeg wysadzić każę, ażebyś sobie poszedł dalej wolno, i przyszedłszy do Widdynia, pokłonił się ode mnie Paswanowi-Oglu...

Usłyszawszy słowa te, bulukbasza kirdżański zapomniiał języka w gębie i — rzecz dziwna — zbladł

bladością przestachu. Rzecz ta jednak dziwną się wydaje napozór tylko. Zuchwalstwo Guszancea-Ali nie było wynikiem odwagi prawdziwej, wrodzonej, ale pewności śmierci. Wobec pewności tej, która mu się nieuniknioną wydała, postawił się, w mniemaniu własnem, w położeniu człowieka, nie mającego już do stracenia nic. Gdyby przypuszczał, iżby prośba co pomogła, byłby prosił, byłby się upokorzył. Nie przypuszczając jednak możliwości wyjścia innego, jeno śmierć, nadrabiał miną, głuszył zuchwalstwem bojaźń w duszy, i dopiero się zląkł, gdy powód obawy przeminął, a pozostała na miejscu onego myśl, że zginąćby mógł. Zbladł, powiedzieć coś chciał, lecz mu język posługi odmówił, nogi pod nim drżały. Pasza na zaptich skinął i rzekł:

— Odprowadźcie go do *apsu*; dajcie mu jeść i pić; przygotujcie łódź i, nikomu o tem, co zaszło, nic nie powiadając, odwieźcie go za granicę paszaliu...

Stało się rozkazaniu hadżi-Mustafy zadość. Gdy jednak więzień za drzwiami znikł, Derwisz-bej powściągnąć nie zdołał w sobie wykrzyknika, zdumieniem nabrzmiałego:

— Ojczel!..

— Czy cię to dziwi, żem nie poszedł za radą twoją?..

— Dziwi mnie, żeś wolno tygrysa tego puścił...

— Tygrysa tego zastąpiłby inny, gorszy może...

— Ależ on cię łżył!.. Ależ on tobie urągał!..

— Gdyby nie łżył i nie urągał, wspaniałomyślność moja połowęby wartości straciła... Tak zaś, pójdzie jako próba... Może się tygrys ułagodzi, a przytem *komszja* pretekstu do zaczepki mieć nie będzie... Rozumiesz?..

---

## 7. Ojciec i syn.

---

Obejście się z Guszancem-Alim maluje nam hadzi-Mustafę lepiej, aniżeli opisy wszelkie, wykazując jak na dłoni grunt charakteru dostojnika tego, niebardzo — dodajemy tu nawiasem — pomiędzy Turkami niepospolitego. Gruntem tym była cierpliwość z powściągliwością połączona, zaleta ułatwiająca ludziom panowanie nad sobą. Turek kipi nie raz wewnętrznie i tego po sobie poznać nie da. U niektórych przeradza się to w dysymulację, która wsławiła ich mężów stanu. Tureccy ministrowie i ambasadorowie byli i dziś nawet jeszcze są mistrzami w dyplomatycznym fachu. A i Mustafą paszą nie inne, jeno dyplomatyczne powodowały względy, obrachowane na to, ażeby Paswanowi-Oglu, który stawiał się jako wiary zagrożonej obrońca, jako protektor jańczarów pokrzywdzonych i dobroczyńca kirdżalich prześladowanych, nie dawać niesłusznego nawet do najechania Serbii pretekstu.

Hadzi-Mustafa tłumaczył to synowi, gdy się drzwi od salamliku otworzyły i próg przekroczył mułła-Jusuf.

Pasza dał Derwisz-bejowi znak jakiś ręką, wskutek którego ten wstał i odszedł.

Muła wstąpił na schodki powoli, zrzucił pantofle obok baryery, odchrząknął, rozpuścił i na dłoni zawiesił trzymany w garści różaniec, podszedł do dywanu i usiadł na nim powolnie, zerkając z pod oka na gospodarza, który siedział nieruchomie, jak posąg.

— *Salamalelkum...* — rzekł przybyły po chwili.

— *Alelkumsalam...* — odrzekł gospodarz.

Znów po chwili muła przypodniósł się nieco na siedzeniu, pochylił się trochę ku paszy i powitał go sposobem tureckim, dotykając ręką kolejno piersi, ust i czoła. Pasza odwzajemnił się gościowi powitaniem za powitanie.

Dalej, po chwili basz-hodża przemówił:

— *Hoszgielidy...*

— *Safałgielidy...* — była paszy odpowiedź.

— *Sawałachajresen*, pasza-effendim...

— *Sawałachajresen*, muła-effendim...

Pasza w dłonie klasnął. We drzwiach bocznych pojawił się rzezaniec czarny.

— *Kawe... czubuk...* — rzekł do rzezańca. — *Istersen tatły*, effendim?.. — zapytał gościa uprzejmie.

Zapytany cmoknął, w tył głową rzucił i podziękował, dotykając się palcami od prawej ręki do swoich piersi, ust i czoła.

Nie upłynęła minuta, weszło do izby trzech lu-

dzi: czubukdźi z cybuchem i podstawką mosiężną, ateszdźi z węglem w szczypcach, kawedźi z kawą na tacy.

Muła wziął ręką jedną cybuch, drugą filiżankę; pociągnął z filiżanki, zaciągnął się z cybucha i, wypuszczając dym gębą i nosem, rzucił z ust zapytanie:

— Co jest, a co nie jest (*ne war, ne jok*)?..

— *Hycz jok*... — odpowiedział pasza. — O niewiny nie tobie mnie, ale mnie ciebie pytać...

— Co ja wiedzieć mogę!..

— Człowiek mądry, w pisaniu jak ty uczony, wie z ksiąg, co było, co jest i co będzie...

Muła nie chciał, czy nie mógł temu, w oczy mu ciśniętemu, a trochę przesolonemu komplementowi zaprzeczyć. Przyjął go bez mrugnięcia powiekami i rzekł:

— Wiem, że zaptije pojмали dziś w nocy człowieka... prawowierneho... — dodał z przyciskiem niejakim.

— Pojmali... — odrzekł pasza obojętnie i od niechcienia.

— Cóż z nim robić zamýślasz?..

— Namýślam się właśnie; może mu łeb odciąć każe...

— Bez sądu?..

— Któż go sądzić ma?.. Wiesz, effendim, u kogo on spędził czas od namazu ostatniego do połowy nocy?..

— Tego nie wiem... — odpowiedział mułła stanowczo i z krwią tak zimną, że aż pasza drgnął lekko, nie zmieniając jednak ani trochę wyrazu twarzy. — Pojmano go nad Dunajem, w miejscu od pomieszkań wszystkich, jakie są w grodzie, o przepaść całą oddalonem...

— Na które on zaszedł ścieżką — kończył pasza — a na ścieżkę wydostał się przez plac mimo dżamii, a na plac wyszedł z drzwi domu twego, mułło-effendim...

— Paszo!.. — podchwycił szafarz sprawiedliwości i przedstawiciel prawdy. — Coś ty powiedział?.. Cofnij wyrazy te, zapomnij o nich i, oby ci Ałłach nie przypominał ich na sądzie ostatecznym!.. Paszo-effendim, zgrzeszyłeś!..

Hadżi-Mustafę zdziwić musiało bezczelności tyle; nie okazał jednak zdziwienia po sobie.

— E, effendim... — rzekł — nie spierać się mnie z tobą... Ale i tobie do tego nic, jaki pojmanemu dziś w nocy *kysmet* wypadł...

— Tak, paszo... Ja też tylko, stając w obronie prawowiernych, bronię wiary...

— Wieszże kto to taki?..

— Guszanc-Ali...

— On tu, w konaku... Ponieważ nie widziałeś się z nim, więc, gdy mi to zmartwienie uczynisz, że mnie opuścisz, zajdź do *apsu* i przemów do niego słów parę rozumnych... On ci sam powie, jaki go czeka los, tylko, proszę cię effendim, nie



rozgłaszaj tego, co się stało... Do niczego jest to, czem sobie ludzie zęby wycierają... A tymczasem, zechcesz mnie może uszczęśliwić i przyjąć ode mnie *biras tatlı* i *biras su*... e?..

Cmoknął mułła odmownie i podziękował serdecznie. Zdaje się jednak, że ofiarowane przez paszę konfitura i woda wielceby mu się przydały z powodu, że mu fatalnie w gardle zaschło. Pasza zwrócił rozmowę na inny przedmiot; rzucił frazesów kilka, basz-hodża mu odrzucił; w końcu ten ostatni, uczyniwszy zadość wszystkiemu, czego wymaga etykieta turecka, drobiazgowa bardzo, opuścił salamlik paszowski i udał się wprost do *apsu*.

Bulukbasza kirdżański spał smacznie na słomie  
— Al!... — zawołał mułła.

Napróżno.

— Guszanc-Ali!... a, Guszanc-Ali!...

Wołanie było daremne. Noc bezsenna, spędzona w drugiej połowie na nastrajaniu ducha do przyjęcia śmierci, jak przyszło na człowieka, co życie bliźniego miał za nic, znużyła więźnia i usposobiła go do snu kamiennego. Mułła-Jusuf nogą go kopał i ręką go szarpał i musiał to powtarzać długo, zanim ten oczy otworzył.

— Chaaa... — ziewnął szeroko.

Zerwał się na nogi i głową wstrząsnął, usiłując otworzyć powieki, które mu zlepiły a których przetrzeć nie mógł, mając ręce związane.

— Spałeś tak twardo...

— Co?.. już?.. — zapytał kirdźali. — A?... to ty, mułła-effendim?... Cóż?... he?...

— Co ty myślisz?..

— Co ja myślę?... A ja właśnie zapytać chciałem ciebie: co myślisz ty?... Ja bowiem, ja... nie myślę nic... Przypominam sobie, myślałem; i kiedy przed tym półgiaurem, co dla tego tylko giaurem całym nie jest, że odbył pielgrzymkę do grobu proroka, mianuje się hadżim i ma prawo jeździć na białym koniu z malowaną na czerwono grzywą i z malowanym na czerwono ogonem, kiedym przed nim stanął, to to, com namyślał, było jak woda, a język mój jak młyn; spuściłem wodę, młyn pytłował, pytłował, aż ten półgiaur słówkiem jednym gębę mi zamknął... zgłupiałem... E? cóż więc myślisz, mułła-effendim?..

— Myślę, coby to być mogło za słówko takie...

— Hadżi-Mustafa życie mi darował...

— Na to, żeby cię do śmierci w apsie trzymać...

— Nie... Na to, aby mnie Dunajem spławić...

— W worku, z kamieniem u nóg...

— Na łodzi, pod strażą dwóch zaptich, którzy mnie u ujścia Timoka na brzeg wyrzuca...

Mułła głową powoli na prawo i na lewo kiwał i za każdym pochyleniem cmokał.

— Zapewne zobowiązał cię do czego...

— Do niczego... — Poleciał mi, żebym się Paswanowi-Oglu od niego pokłonił, zresztą nic... Darował mi życie, o którym-go nie prosił... Stawiałem

się mu, jak kat wściekły, a on.. na!... życie mi darował... I cóż ty o tem myślisz?...

— Myślę, że darowizna taka jednej dziurawej pary nie warta... Tfu... — splunął mułła.

— E?... — zapytał bulukbasza tonem wątpienia.

— Czego pragniesz, o to prosisz; jeśli ci zaś dano, o coś nie prosił, to jest to durnica, za którą się nie należy wdzięczność żadna... Hadži-Mustafa darował ci życie, ażeby cię na durnicę złapać... Postąpił z tobą, jak się z głupcami postępuje...

Guszańc-Ali zachnął się, brwi zmarszczył i rzekł:

— He... phi!.. Ty wiesz... Ty w księgach siedzisz i zakon proroka tłómaczysz... A mnie się już po głowie snuło, odwdzińczyć się mu, oddarować się...

— Jak?... — zapytał mułła.

— Wrzucić mu perłę do haremu... i począłem był rozmyślać, jak i skąd ją dostać, alem zasnął...

— U!... — mruknął mułła i ręką machnął. — Jeżeli chcesz być pereł łowcem, to bądź nim, ale nie bądź marnotrawcą i pamiętaj że perły dają się takiemu tylko, co posiada w skrzyni kiesy złota pełne... Ale, mniejsza o to... Wracasz więc, jakbyś z własnej wracał woli?...

— Wracam...

— I pamiętasz wszystko, com ci mówił?...

— Czemużbym pamiętać nie miał!...

— To szczególnie, że w Stambule starają się w dywanie o wyrobienie dla paszy serbskiego rozkazu rozbroyenia rajów. Starają się o to, mam

wiadomości pewne i jest pewność wszelka, że rozkaz ten wydany zostanie... Dotychczas na to, że raja oręż nosi, patrzano przez palce, spuszczając się na domysłność hadži-Mustafy, że on powoli takowy z rąk jej wytrąci; lecz poszły do Stambułu doniesienia, że hadži-Mustafa o tem ani myśli... Powiedz więc Paswanowi-Oglu, że dobrzeby było tak czas wymiarkować, ażeby skorzystać z momentu, kiedy *irade* sułtańska w drodze będzie do Belgradu... Rozumiesz?...

— Czy rozumiem, nie wiem, powtórzę jednak od słowa do słowa...

— Powtórzysz?...

— Powiedziałeś mi to wczora razy dziesięć najmniej, dziś zaś raz jedenasty, toć miałbym chyba głowę z kapusty, gdybym choć słówko jedno zapomniał. Rozumienie do mnie nie należy, to rzecz Paswana-Oglu.

— Tak... no... więc, dobrej drogi!... niech cię Allah prowadzi...

— Gdybyś przynajmniej wyprosił u hadži-Mustafy, ażeby mi ręce rozwiązać kazał...

— Basz-hodża nic na to nie odpowiedział. Wyszedł z więzienia i udał się do dżamii, gdzie w tej właśnie chwili rozlegało się z minaretu żałośliwe muezzina wołanie: *La illah il ullah en Mohammed resul ullah*, wzywające wiernych do czynienia namazu drugiego. Wierni flegmatycznie brali się do modlitwy. Jedni zmierzali do dżamii, drudzy odby-

wali umywanie przy studniach, inni zatrzymywali się na drodze, rozścielali chustkę od nosa na ziemi, zrzucali przed nią pantofle, stawali na niej bosemi nogami, i zwracając się obliczem na wschód, rozpoczynali z Allahem rozmowę z całą przepisową formalnością: ze wznoszeniem oczu i dłoni do góry, z klękaniem i pochylaniem czoła do ziemi, z naginaniem dłoniami uszów naprzód i z minami, podobnemi do tych, za pomocą których wszelakiego rodzaju nabożni, poganie i niepoganie pozyskać usiłują względy tego, którego sądzą być szafarzem wygod do-czesnych i szczęśliwości wiecznej. Modlitwa muzułmańska z jednego wypłynęła źródła, do jednego zdąża celu i takie samo ma znaczenie, co chrześcijańska, żydowska, gwebrska, szamajska, etc. Fundament jej stanowi wiara, a ta ma zwyczaj zawodzenia ludzi, co na niej budują.

Hadżi-Mustafa, pomimo że za giaura uchodził, wierzył jednak i modlił się. Mułła zastał go w dżamii, siedzącego na środku i zatopionego w rozmyślaniu o prawdach odwiecznych, o których świadomości Bóg ludziom przez proroka udzielił. Od paszy daleką była myśl buntowania się przeciwko prawdom tym, uznawanym przez taką wielką mnogość ludzi i podawanym z taką wielką pewnością a z następującą alternatywą: albo wierz — zbawion będziesz, albo nie wierz — czekają cię ognie gehenny. Wolał więc wierzyć, wierzył i najniebezpieczniwszem było posądzanie go o niedowiar-

stwo, posądzanie, opierające się na tem niby, jakoby nie stosował się do przepisów zakonu. Biorąc rzecz ściśle, stosował on się do takowych bardziej i lepiej, aniżeli ci, co się za prawowiernych mieli, a to przez to mianowicie, że praktykując łagodność i sprawiedliwość względem giaurów, ujmował islamizmowi tej wstrętności, jaką mu nadawali poprzednicy jego, czynił go ponętnym, pozyskiwał dla niego wrogów nawet. Nad tem pasza rozmyślał, modląc się; za punkt wychodni do rozmyślania służył mu Guszanc-Ali.

Postępek jego z Guszancem-Ali odpowiadał wymaganiom dyplomacyi, obrachowanej z całą ścisłością matematyczną. Dyplomatycznym nawet było zachowanie onego w tajemnicy, rozgłoszenie bowiem wywołałoby nieukontentowanie ze strony rajów, którzyby śmierci Guszanca przyklasnęli byli tak samo, jak przyklasnęli niegdyś śmierci Deli Achmeta. Wiedział atoli hadži-Mustafa, że oklaski podobne drażnią umysły, lecz do rezultatów praktycznych nie prowadzą. Rzuciwszy rajom na uciechę głowę Guszanca-Ali, dopuściłby się precedensu niebezpiecznego, musiałyby im od czasu do czasu rzucać głowy inne, coraz to mniej wyraziste, poświęcać urzędników, kiehajów, komisarzy, poborców, rzucić im głowę basz-hodży, którego nieprzyjaźń nie była dla chrześcijan tajemnicą, i zająć po tej drodze tak daleko, że potoczyłby się musiały i głowy spajów i niemożliwemby się stało załatwienie zgodliwe deli-

katnej sprawy zestosunkowania żywiołów muzułmańskiego i chrześcijańskiego, powołanych do istnienia razem, na jednej ziemi, pod jednym niebem, pod berłem jednego i tego samego monarchy. Tajemnica więc miała racją swoją, a racja ta bardzo była ważną.

Pomiędzy drugim a trzecim namazem, to znaczy około południa, łódź była już gotowa, czekała w punkcie odludnym, u stóp urwiska, w tem samem prawie miejscu, którem Guszanc-Ali wymknąć się z twierdzy zamyślał. Zaptije sprowadzili wodza kirdżalich ścieżką stromą, rzucili go w łódź i ta popłynęła z biegiem Dunaju.

— Widzisz więc — mówił pasza do syna — spokojny jestem ze strony Paswana-Oglu, spokojny jestem ze strony rai...

Hadži-Mustafa wtajemniczał syna w sprawy kraju, którym zarządzał, a to, jak się zdaje, dla widoków tajemniczych, jakie na niego miał. Był to dla Turcyi moment historyczny, w którym ona naturalnym biegiem rzeczy, sprowadzającym drogą logiki dziejowej wypadki podkopujące podwaliny sztucznych budowli państwowych, decentralizowała się wskutek zbytecznego neutralizowania władzy najwyższej. Charakter decentralizacyi odpowiadał charakterowi centralizacyi. Rozpadała się władza absolutna. Paszowie jeden po drugim wyłamywali się z posłuszeństwa. Ali z Janiny panował niepodległe nad Albanią, Epirem, Tesalią i Grecją. Ach-



met-Dżezar był panem Syrii, Paswan-Oglu nie uznawał nad sobą władzy żadnej w Widdyniu, wezyr bośniacki, pasza skadarski uznawali władzę sułtańską o tyle tylko, o ile się im to spodobało. Przykłady te nie mogły na Mustafę paszę nie oddziaływać i w umyśle jego nie zaszczepiać nadziei, mającej na celu nie samą tylko osobę jego własną, ale oraz i osobę syna, a po synie wnuka, mającej słowem na celu widoki dynastyczne, przedstawiające się z góry, jako sposób jedynie praktyczny rozwiązania kwestyi serbskiej tak, ażeby i Wysoka Porta zadowolnioną była i Serbowie powodów do niezadowolenia nie mieli. Nie chciał on iść w ślady Alego, Achmeta i Paswana: chciał jeno rodowi zapewnić namiestnikostwo dziedziczne, zdobyte godziwie i legalnie, z jednej strony za pomocą przywiązania ludu do swojej i syna swego osoby, z drugiej przez pozyskanie zaufania i względów sułtana. Że powodowała nim ambicya, to zaprzeczeniu nie ulega. Trudno jednak było w czasach owych, stojąc na czele paszaliu, opierać się podszeptom ambicyi, wołającej głosem wielkim na wielkorządcę każdego z Janiny, z Akki (St. Jean d'Acre), z Widdynia.

Czy Derwisz-bej wchodził w widoki ojcowskie? czy podzielał jego nadzieje? Nie wiemy. Nie wiemy nawet, czy ostrożny hadżi-Mustafa powiadał co synowi o nich. Zdaje się, że nigdy ani wspominał, a tylko tak rzeczy nastrajał, ażeby zamiar dojrzał

naturalnie, jak owoc na drzewie i przedstawił się w końcu, jako konieczność nie do uniknienia. Z tego powodu, tytuł *srbska majka*, przez Serbów mu nadany, cieszył go niewypowiedzianie. Upatrywał w nim zadatek na przyszłość i starał się potęgować zasługi, które mu takowy ściągnęły. Lepszego jak on namiestnika wymyślić nie sposób. I Wysokiej Porcie, i pozostającemu pod zarządem jego narodowi, i jemu nawet samemu było dobrze. Miał spokój — spokój taki, że zdarzało się niekiedy, iż zgromadzony w konaku mizlisz nie miał radzić o czem. Zdarzało się również nieraz, że pasza godzinami całemi siedział w salamliku sam jeden, tonąc w zamyśleniu, lub też wpatrując się w deski, sterczące na murze opasującym ogród mułły.

Deski te przykrość mu sprawiały, nie dlatego jednak, że oczom jego wykradały tajemnice haremove sąsiada, ale dlatego, że przypominały mu harem jego własny z braków złożony, że mu na myśl przyprowadzały niedostatek, w jakim się znajdował, który nie dozwalał mu nie tylko czynić załość gustom własnym, ale jeszcze ożenić i odpowiednio zainstalować syna, kipiącego zdrowiem i młodością. To ostatnie frasunkiem duszę jego napełniało. Nie było jednak na to rady, jedyna bowiem, jaka się nastreczała — obdzieranie rajów — przejmowało go wstrętem takim, że wołał syna poświęcić, aniżeli ręce brukać i sumienie gwałcić. Z tem się przed synem nie taił,

— Nie miej ty — powiadał mu nieraz — mnie za złe, że ci seraju nie daję... Nie chcę ci na wiano krzywdy ludzkiej dawać...

Derwisz-bej z twarzą uśmiechniętą a sercem wesołem przyjmował to tłumaczenie się ojcowskie.

— Nie łam tem sobie głowy, ojciec... — odpowiadał. — Czyto mi złe pod twoim dachem?...

— Dobremu wszędzie dobrze, synu kochany... — mówił ojciec. — Dlatego też, żeś dobry, żeś uległy, że rodzica szanujesz i położenie jego uwzględniasz, smutno mi, że nie jestem w możności przyprowadzić do skutku zamiaru pewnego, siedzącego mi tu...

Tu palcem sobie na czoło ukazał.

— Jakiego?...

— Gdybym ci mógł seraj urządzić, to dałoby się może do seraju twego wprowadzić perłę taką, jaka nawet w sułtańskim nie świeci haremie...

— I, nie myśl o tem, ojciec...

Taka w materyi tej, ze strony człowieka młodego i Turka przytem, obojętność miała w sobie coś nienaturalnego. Mustafę paszę byłaby niezawodnie nienaturalność ta w oczy uderzyła, gdyby obojętność syna nie przypadała do miary stanu interesów jego majątkowych. Przyjmował więc ją za dobrą monetę i Bogu dziękował za dziecko, nie sprawiające mu kłopotów najmniejszych. O przyszłości przeto myślał:

— Tak będzie, jak Bóg da...

Budował nadzieje swoje na podstawach niepe-

wnych bardzo: na wdzięczności u spodu i na sprawiedliwości w górze — i do chwili spełnienia takowych, chwili, której określić bliżej nie umiał, odkładał instalacją syna na gospodarstwie własnem, tymczasem trzymał go przy sobie w funkcyi czeladnika, doskonalącego się w rzemiośle rzadzenia.

Derwisz-bej szedł ojcu w ład w każdym względzie; w jednym tylko, w tym właśnie, w którym obojętność jego zadziwiającą się wydawała, podobnym był do cichej wody, co brzegi rwie.

Młody bej nie był bynajmniej obojętnym na wdzięki niewieście; nie był atoli łakomy na nie wzorem spółwyznawców swoich. Miał w duszy swojej coś poetycznego i rycerskiego, usposabiającego go do miłości, idealniejszej aniżeli ta, jaka się w świecie muzułmańskim praktykowała. Co więcej — młody bej kochał; kogo? — ideał. Na za pytanie to odpowiedzieć inaczej nie sposób. I on sam nie mógłby innej dać odpowiedzi, przedmiot bowiem miłości jego przedstawiał się mu w wyobraźni pod postacią hurysy, wyjętej żywcem z Koranu; w rzeczywistości zaś okrywała takowy feredzie od głowy do stóp i osłaniał jaszmak, z pod którego wyglądała para błyszczących, płomienistych, ogniami jakiemiś strzelających, jak węgiel czarnych, jak bezdnia głębokich oczów.

Derwisz-bej nie znał tej, którą kochał — nie widział jej w życiu nigdy. Słyszał jednak jej głos, który mu w uchu dzwonił pieśnią słowicza, czuł

na ręce swojej dotknięcie jej dłoni, dotknięcie miękkie i ciepłe, od którego mu, na wspomnienie samo, po ciele całem ognista przebiegała iskra i zostawiała po sobie słodkie, rozkoszne łechtanie.

Osobliwość tę opowiedzieć należy.

Było to w święto Bajramu.

W czasie Bajramu jest moment jeden, w którym oko, nad kobietą wschodnią czuwające, odwraca się od niej i pozostawia jej wolność absolutną. Niewolnica, za kratą urodzona i za kratą wychowana, na kroku każdym dozorowana i na kroku każdym powściągana, nie umie z wolności tej korzystać. Moment mija i ona wraca bez żalu do klatki złoczonej, nie wiedząc nawet, że miała chwilkę swobody.

Było to w święto Bajramu. Dżamije świeciły się od dołu do góry; na bramach i budowlach publicznych gorzały lampy różnobarwne; twierdzą oświecały od chwili do chwili ognie bengalskie; na Dunaju palono ognie sztuczne. Tłumy ludu tłoczyły się na placach i wałach, przypatrując się świetnej illuminacyi i napełniającym powietrze hukami i połykami migotliwymi racami, rakietami, gwiazdami, słońcami, bukietami, kołami i fontannami ognistymi.

W tłumie znajdował się i Derwisz-bej, zapatrzony i zasłuchany w te cuda, powtarzające się raz w rok tylko.

— Miły... — zadzwoniło mu w uchu.

Obejrzał się. Zdawało się mu, że nikt ze sto-

jących obok niego mężczyzn i kobiet nie mógł wyrazu tego wymówić, bez zwrócenia na siebie uwagi.

— Miły... — odezwał się głos ten sam po jakim czasie. Tym razem Derwisz-bej spojrział do góry, wydało mu się bowiem, jakoby wyraz ów z powietrza wprost mu w słuch spłynął. W górze, na pogodnym nieba szafirze iskrzyły się gwiazdy wszystkie. Iskrzyły się, migotały, pełgały i milczały.

— Dziwna rzecz... — rzekł młodzieniec sam do siebie.

— Miły... — zadzwonił głos po raz trzeci.

Derwisz-bej brwi zmarszczył. Obejrzał się dookoła po raz wtóry i oczy jego spotkały się z parą oczów jasnych, czarnych, dużych, gaszących sobą blaski i światła wszystkie, które tę noc bajramową podobną dniowi czyniły. Zgasiłyby one i światło dzienne, pomimo że przysłaśniał je jaszmak, nasunięty nad brwi w dwa podłużne, smukłe, od białego jak marmur czoła hebanową barwą odbijające łuki. Spotkał oczami swojemi oczy te i wzroku od nich oderwać nie mógł. Biła z nich potęga jakaś pociągająca.

Potęga ta przykuła najprzód wzrok młodzieńca do postaci niewieściej w tłum wmieszanej, następnie pociągnęła go za postacią tą, która się usuwała powoli, z ciżby gęstej szła w rzadszą, ze światła, w półświatło, z półświatła w półcień,

w półcieniu przybrała na się kształty jakieś fantastyczne, jakby sama cieniem była, zatrzymała się na chwilkę, pochwyciła młodego beja za rękę, pobiegła przodem — i stanęła.

Pierś jej wznosiła się oddechem krótkim a prędkim wskutek wzruszenia płuc biegiem szybkim, a może wskutek wzruszenia, albo też, co się najprawdopodobniejszem być wydaje, i zmęczenia i wzruszenia zarazem. Tak upłynęło chwil parę. Westchnęła raz i drugi. Rozwinęła jaszmak, rozpięła feredzie — wionęło od niej wonią jaśminu; rysów jednak jej oblicza ciemność widzieć nie dawała; postać zaś jej na tle nocy zarysowywała się nakształt sennego widziadła, które fantazyja stwarza i w uroki ubiera. Trzymała dłoń beja w ręku, cisnęła ją mocno.

— Kocham ciebie!... — rzekła, albo raczej, cisnęła z ust te wyrazy, jak się ciska kula z broni palnej.

Puściła dłoń młodzieńca, cofnęła się i znikła, jakby się w powietrzu rozviała.

Derwisz-bej poskoczył za nią. Puścił się pędem w kierunku, w którym wydało mu się że pobiegła i oparł się o parapet wałów fortecznych; puścił się wzduż wałów i o mało się nie rozbił, uderzywszy się piersią o działo, wsunięte wylotem w ambrazurę i spoczywające tułowiem na lawecie o małych kółkach; zwrócił się w kierunku przeciwnym, zwolnił kroku, rozglądał się i przysłuchiwał i znalazł się



nad urwiskiem, u stóp którego połyskiwał Dunaj powierzchnią metaliczną, odbijającą w sobie niebo i gwiazdy. W dali huczał głucho gwar ludu, obchodzącego święto Bajramu.

Derwisz-bejowi nie pozostawało nic innego, jak powrócić w tłum. Powrócił, miał jednak jeszcze nadzieję.

A nuż spotkam tam te czarne oczy...

Płonna nadzieja! Napróżno się oglądał, napróżno na jaszmaru każdym wzrok zawieszał. Widział oczów dużo, przypatrujących się osobie jego ciekawie; widział i oczy czarne, ale nie te.

Przyrównaliśmy wyżej wymienione przez nieznajomą wyrazy »kocham ciebie« do pocisku broni palnej. Porównanie to stosuje się do nich literalnie. Trafiły one młodzieńca w serce i utkwily w niem. Derwisz-bej rozkochał się w oczach czarnych.

Takim był istotny powód obojętności pozornej syna hadżi-Mustafy. Jak widzimy, nie była to obojętność, ale raczej maska.

Młody bej kochał i kochanym był, skoncentrowawszy całą uczucia potęgę w obrazie czarnych oczów i w dźwięku dwóch wyrazów owianych mgłą tajemniczości, rozogniającej wyobraźnię jego. Przedmiotu miłości swojej nie znał i nic o nim nie wiedział.

— Ona jednak jest tu... — powiadał sobie — tu, w Białogrodzie... Musi przecie wychodzić na miasto, musi bywać w dżamii... Gdyby się znaj-

dowała na krańcu świata, wziąłbym derwisza o-dzież na się i kij pielgrzymi w rękę i poszedł jej szukać, tu zaś spotkać się z nią muszę lada mo-ment, i poznam ją po oczach, i dowiem się, kto ona...

Chciał za punkt wychodni poszukiwań swoich wziąć miejsce to, na którym nieznajoma miłość mu wyznała. Cóż jednak! Miejsca tego odszukać nie mógł. Wówczas kiedy go za rękę ujęła i prowa-dziła, tak się był zapomniał, że nie widział nic, tylko ją. Nie wiedział więc i przypomnieć sobie nie mógł, ani któredy go prowadziła, ani gdzie się zatrzymała. Chodził, miarkował, rozmyślał; niby *mehendyz* jaki mierzył krokami w kierunkach ró-żnych odległości od punktu, w którym ją w tłumie zoczył: — wszystko to było nadaremnie. Nie mógł się domiarkować ani domierzyć. Jedyna pewność, jaką posiadał, było to, że się to stało w obrębie twierdzy. Z tego wynikało przypuszczenie, że czar-nooka nieznajoma w twierdzy ma mieszkanie. Przy-puszczenia tego jednak brać za pewność nie można było. Do twierdzy obchód świąteczny ściągnął wy-znawców proroka z miasta całego i z przedmieść nawet. Z wyznawcami proroka szli i chrześcijanie, zakon bowiem Mahometa nie wzbrania giaurom brać udziału w obrzędach i obchodach religijnych tureckich.

— Czy więc nie chrześcijanka to była?...

Ormianki, Greczynki i Żydówki nosiły w czasach

owych jaszlaki, jak Turczynki i chodziły w feredżiach, ale czarnych.

— Jakiegoż koloru była feredżie na niej?... — zadawał sobie często Derwisz-bej zapytanie.

I na to zapytanie odpowiedzieć nie umiał. Zdawało mu się, że feredżie była na niej kolorowa, ale: jakiej barwy mianowicie, żółta, zielona, czerwona, popielata? nie był tego pewny. Przy oświeceniu illuminacyjnem nie rozpatrywał się w kolorach okryć niewieścich, nie obchodziły go one zresztą; gdy zaś z czarnymi spotkał się oczami, wówczas oczy te tak uwagę jego całą pochłoneły, że na kolory stał się ślepy. Może więc nieznajoma i w czarnej była feredżii.

Bądźcobądź jednak znalazł rzecz jedną bardzo dla niego ważną: znalazł cel jakiś życia i cel ten dawał mu zajęcie, wychodzące poza sferę terminatorstwa w rzemiośle rządowem, w jakiej go trzymał ojciec. To mu czas skracало i urozmaicało. Kochał i szukał, nie zwierzając się z tajemnicą przed nikim. Bo i z czemżeto się zwierzać było? Któżby mu nie powiedział, że goni za marą?

---

## 8. Paswan-Oglu.

---

Jak przenieśliśmy się z Trstnicy do Białogrodu, tak przenieść się musimy z Białogrodu do Widdyńia.

Poznaliśmy się z jednym paszą; poznamyż się jeszcze i z drugim. Czytelnik się domyśla, że chodzi tu o Paswana-Oglu, postać historyczną, wyraziście na kartach dziejów państwa Ottomańskiego zapisaną, której ambicya inaczej się objawiła, aniżeli ambicya lojalnego i prawego hadži-Mustafy.

Paswan-Oglu był to potentat całą gębą, pan i władca absolutny paszaliu widdyńskiego, tem różniący się od paszów i władców, którzy stolice pozakładali sobie w Janinie, w Akka i w Kairze, że ci ostatni przeszli przez formalność nominacyi i następnie złamali zaręczoną wiarę; on zaś nominacyi nie brał, ani żądał — rzucił się do oręża, zaczął od rozbojów na czele szajki dobranej, zdobył Widdyń i założył państwo udzielne. Praw do tego nie miał żadnych; opierał się jednak na prawie. Ojciec jego był wielkorządcą sandżaku widdyńskiego i na wielkorządztwie tem zgromadził bogactwa ogromne, które zwróciły na siebie uwagę wielkiego wezyra. Ten wielkorządcę kazał ściąć,

a bogactwa jego na skarb publiczny zabrać. Postępek ten, sprawiedliwy z tego względu, że bogactwa te nie były gromadzone w sposób godziwy, niesprawiedliwy jednak z tego, że egzekucyi nie poprzedził sąd żaden i że restytucya nie poszła na korzyść pokrzywdzonych, posłużył Paswanowi za pretekst do odwołania się do prawa pięści. Poszedł w góry, ściągnął na głowę swoją religijne klątwy i oficjalne dekrety; otoczono go obławami jak bestyę drapieżną; tropiono, ścigano i dano mu sposobność wybicia się na potentata. Paswan przeto przeszedł w życiu swoim niemało, bywał — jak to powiadają — i na wozie i pod wozem: urodzony w dostatkach, wpadł następnie w nędzę, puchowe posłanie w pałacu zmienił na kamienne legowisko w Bałkanach, delikatne potrawy na chleb suchy; stawiał się osobą własną, igrał głową, aż w końcu wygrał proces, rozstrzygnięty na korzyść jego w najwyższej instancyi losu wojennego; porozrywał sieci obławne, porozbijał wojska rządowe, upokorzył wysoką Portę i zmusił ją do układow, mocą których zapanował w paszalicu z prawem nieograniczonem zwrócenia sobie zabranych na skarb bogactw ojcowskich drogą taką, jaka mu się wyda najkrótszą i najpraktyczniejszą. Mało brakowało, a byłby został założycielem państwa: brakowało tego tylko, ażeby następca jego utrzymać umiał ciągłość czynu spełnionego.

Paswan-Oglu uchodził za buntownika w świecie

oficyalnym. Za takiego podawała go Wysoka Porta; za takiego przyjmowały go dwory. Buntowniczość jego jednak nie budziła wstrętów oficyalnych i nie wywoływała skrupułów dyplomatycznych. Nie uznawano go lojalnie dlatego może, że się on o uznanie tego rodzaju nie starał; uznawano go jednak faktycznie, jako dwór, jako gabinet; wchodzono z nim w umowy, zawierano z nim układy i traktaty, którym Wysoka Porta sama pierwsza przykład dała; trzymano przy osobie jego, pod nazwą ogólnikową rezydentów i agentów, ambasadorów formalnych.

To też ogromna zachodziła różnica pomiędzy konakiem białogrodzkim, a pałacem widdyńskim. Tam cisza, tu gwar — gwar spraw ważnych, odnoszących się do najdrażliwszych kwestyi europejskich. Francuzi, Niemcy, Anglicy w osobach oficyalnych przedstawicieli interesów państwowych, spółubiegali się o względy szczęśliwego buntownika, panującego dlatego jedynie, że władzom prawowitym nie udało się ująć go i, jak złoczyńcę zwyczajnego, przekonanego o rozboje, rąbunek i kradzież powiesić. Nie udało się ramieniowi sprawiedliwości dosięgnąć go; więc on sprawiedliwość wykonywał z całym szykiem, z całą pompą i z całą powagą władzy najwyższej.

Był to mąż poważny wielce. Postawą swoją wydawał wojownika; żywe zaś i ruchliwe oczy strzelały wyrazem przebiegłości niezwykłej. Gdy na kim

wzrok zatrzymał, zdawało się, że go spojrzeniem na wylot przeszywał. Miał zwyczaj zadawać pytania i nie słuchać odpowiedzi na takowe, albo też zadawał zapytania kilku osobom naraz, przez co zmuszał je do odpowiadania razem: wówczas oko lewe w półprzymrużał i, prowadząc powoli oczami po odpowiadających, na każdym wzrok na chwilę zatrzymywał. O przeciwnikach swoich odzywał się zwykle w sposób drwiący i nie dobierał wyrazów, gdy mu chodziło o to, ażeby kogo na pośmiewisko wystawić. Umiał jednak być grzecznym i uprzejmym, łaskawym i wspaniałomyślnym; najlepiej wszakże odegrywać umiał rolę majestatu monarszego bez uciekania się w tym względzie do środków sztucznych na imaginację działających. Nie wkładał na głowę korony, nie brał do ręki berła i jabłka, nie okrywał się purpurą z gronostajami, nie zasiadał na tronie, nie układał żywych obrazów z siebie i stojących najbliżej osoby jego dostojników. Majestatyczność biła z niego samego najprzód, następnie z przepychu i okazu potęgi militarnej, jaką się otaczał, w końcu z pokory nabożnej, jaką wobec Allaha rozwijał z ostentacją widoczną. Przepych i potęga wobec ludzi, pokora wobec Boga stanowiły kontrast frapujący, który wydawał się naturalnym i odnosić kazał powód pomyślności Paswana-Oglu do woli bożej, przeciwko której człowiek słaby nie może nic. W ten sposób pasza Widdynia w mniemaniu ludzkim uchodził



za narzędzie Opatrzności, jeżeli język, którym przemawia mahometanizm, przełożymy na język, którym się chrześcijaństwo wyraża i odsuniemy na bok różne subtelności dyalektyczne, koziołkujące na szczudłach dogmatyzmu. Dowodziło to niemałej ze strony Paswana znajomości słabych stron umysłowości ludzkiej.

Przepych uderzał we wszystko, co stanowiło, — że się tak wyrazimy — oprawę władcy Widdynia: w ozdobności komnat złożonych, rzeźbionych, szmerem fontann bijących napełnionych, drogimi kobiercami wysłanych; w zbytku panującym w haremie; w mnogości służby, składającej się z rzezańców mówiących i rzezańców z poucinanymi językami, z mistrzów ceremonii, skoczków, błaznów, karłów, dragomanów, sekretarzy i posługaczy rodzaju wszelakiego; w piękności koni i drogości rynsztunków.

O potęgę świadczyły wojska, trzymane na stopie pogotowia wojennego ustawicznego. Płaszczyna nad Dunajem, rozlegająca się na północ od Widdynia, który sam na płaszczynie leży, bieliła się od namiotów, w których stało sześć tysięcy ludzi, nie licząc w to garnizonu w twierdzy i licznej straży przybocznej. Była to armia stała, podręczna, pobierająca żołd i żywność i obowiązana do ćwiczeń wojskowych. W obrębie obozu, urządzonego na wzór miasta, mającego dzielnice, ulice, place zborne i magazyny, na miejscu wyosobnionem a nad

płaszczyzną panującym, wznosił się namiot obszerny, zajmujący przestrzeń gmachu wielkiego, zdobny na zewnątrz w wykrawywane w zęby firanki, w kutas, frendzle, kity, złociste gałki i groty, w igrające z wiatrem proporce, wewnątrz zaś podzielony na komnaty, każda innego koloru materyą jedwabną obciągnięta: ta błękitna z gwiazdami złotemi, ta różowa z rzutkami błyszczącemi, inna zielona, inna żółta, inna znów fioletowa, popielata, paliowa etc. Namiotu tego część tylna opierała się o gród pełen kwiatów, cienia, grot, kiosków i fontann. Służył on paszy, który przemieszkować w nim lubił, dzieląc czas pomiędzy załatwianiem spraw politycznych, odbywaniem ćwiczeń wojennych i używaniem rozkoszy na otwartem powietrzu. Wówczas straż jego przyboczna rozbijała namioty jego a przestrzeń, dzielącą obóz od miasta, zmieniała się także w obóz, w którym rozbijali namioty swoje rezydenci dworów zagranicznych, handlarze, przekupnie, linoskoki, szarlatany i inna tego rodzaju zwlekanina, krążąca nakształt planet około słońca, posiadającego własność ronienia odprysków szczerozłotych. Kontyngensu zwlekaniny tej — smutno wyznać — dostarczała Europa ucywilizowana, której Paswan-Oglu okazywał przekąsne nieco względy, utrzymując że, gdyby pożył lat tyle, ażeby mógł skarbiec swój w stosunku jednego do sta pomnożyć, to całą Europę ucywilizowaną miałby u stóp swoich.

— Ci rezydenci i linoskoki, to rekonesans pod-

jazdowy... — powiadał. — Miałbym ja tu lepszych, gdybym mógł każdemu garściami złoto dawać... Nie mogę... Cóż robić!...

U progów jego stała warta; osoby jego warta nie odstępowała. Ostrożność ta potrzebną była, władca bowiem Widdynia wiedział dobrze, że związani traktatami przyjaciele jego stambulscy na życie jego zapatrywali się, jako na przeszkodę, za usunięcie której zapłaciliby drogo. Z tej przyczyny i przystęp do niego podlegał formalnościom pewnym, przez które przejść należało, zanim kto dostąpił zaszczytu oglądania dostojnego oblicza męża, będącego żywym dowodem kaprysów fortuny. Należało zrobić podanie o audyencyę i poddać się rewizyi. Zbrojni, nieznajomi zwłaszcza nie bywali dopuszczani przed oblicze Paswana-Oglu, z wyjątkiem osób uprzywilejowanych, do liczby których należeli rezydenci dworów zagranicznych. Pomędzy rezydentami faworów największych używał francuski, przedstawiciel generała Bonaparte, który podówczas zapisał już był na kartach historii 18 brumaire i przestąpił strzebel konsulatu na lat dieście. Paswan-Oglu uznawał siebie powinowatym duchowym konsula dożywotniego, okazywał dla niego sympatyę żywą, przeczuwał cel, do którego on zmierza, i w ducha skrytości pragnął rolę podobną w Turcyi odegrać. Z tej przyczyny rezydent francuski miał do niego przystęp najłatwiejszy. Pasza przezwiał go *monsieur Asab* (*asab* znaczy:

laufer) i pod nazwiskiem tym znał go dwór cały. I innym rezydentomponadawałprzezwiśka stoso-  
wne, jak naprzykład, niemieckiemu: *herr Pezewenk*;  
angielskiemu zaś, dla włosów zapewne rudawych  
i oczów kaprawych: *sir Bok*. Rezydenci francuski  
i angielski spoglądali na siebie wzajemnie, jak psy  
z dwóch podwórzy przyległych. Paswana-Oglu ba-  
wiła nieprzyjaźń ich, korzystał z niej jednak, za-  
sięgając rad ich oddzielnie w sprawach ważniej-  
szych.

— E, *monsieur*... — mówił do rezydenta fran-  
cuskiego w tym samym dniu, tylko o kilka godzin  
później, w którym hadzi-Mustafa miał rozmowę  
z Guszancem-Ali — coby Bonaparte powiedział  
na to, gdybym ja w Stambule porządek zaprowa-  
dził?...

— Powinszowałby ci, paszo, w imieniu rzeczy-  
pospolitej francuskiej...

— A kiedyż on już nareszcie królem się ogłosi?...

— Nigdy... Konsulat dożywotni jest godnością  
tak wysoką, że generał wyższej pożądać nie może...

— E!... — odstęknął Paswan-Oglu i ręką ma-  
chnął. — Jak dają, to brać trzeba i powściągać  
pożądania; ale, jeżeli się samemu bierze, to nie  
masz godności za wysokich...

— Honor, wasza wysokość, jest na ambicyę  
hamulcem...

Paswan-Oglu się roześmiał.

— Powiedz mi jednak, *monsieur Asab* — rzekł

po chwili — czyby Bonaparte nie przeciwko temu nie miał, gdybym sobie paszalik trochę powiększył?..

— Wasza wysokość zadaje mi pytanie drażliwe.. Waszej wysokości nie tajno jest, że rzeczpospolita francuska pozostaje z Wysoką Portą w stosunkach przyjaźni, a zatem pochwalićby nie mogła..

— Ech!.. — przerwał pasza i ręką machnął. — Wysoka Porta taka słaba, że jej przyjaźń trzech par nie warta... Myślę, że Bonapartemu przydałby się przyjaciel nad Dunajem, w którego rękę prowincye takie, jak Elflak (Wołosza), Bohdan (Mołdawia), Silistri (Bułgarya), jakąśby korzyść niosły...

— Wysokość więc wasza zamierza... — zaczął Francuz.

— Nic ja nie zamierzam.. Pytam tylko... Gdybym nie pytał, nie miałbym z tobą o czem gadać...

— Jestem na rozkazy waszej wysokości..

— Gdyby mi przeto zacheiało się wojować, to w którą stronę radziłbyś mi uderzyć?..

Francuz namyślił się na chwilę i odpowiedział:

— Chyba na Serbię..

Paswan-Oglu odprawił Francuza i dał audyencyę czekającemu na takową rezydentowi angielskiemu:

— Co ty myślisz, sir, gdybym ja wojnę jaką rozpoczął?..

— Rząd jego królewskiej mości, pana mego miłościwego, życzy waszej wysokości jaknajlepiej...

Wiedzieć potrzeba, że w owym czasie polityka

gabinetu angielskiego niechętną była dla Turcyi, która z Francją w dobrych pozostawała stosunkach.

— Życzy mnie dobrze dlatego, że życzy Turcyi źle...

— Nie dlatego, lecz dla zalet wielkich umysłu i serca, jakie waszą wysokość ozdabiają...

— Więc nie miałby za złe, gdybym wyprawę jaką urządził?...

— Wasza wysokość pojmuje, że to zależy od wyprawy... jaką?...

— Jakąkolwiek... Nudzić mnie już bezczynność zaczyna...

— Wasza więc wysokość zamierza... — zaczął Anglik.

— Nie zamierzam ja nic... Pytam tylko... Gdybym nie pytał, nie miałbym z tobą o czym gadać...

— Jestem na rozkazy wysokości waszej...

— Gdyby mi przeto zachciało się wojować, to w którą stronę radziłbyś mi uderzyć?...

Anglik zamyślił się na chwilę i odpowiedział:

— Chyba na Serbię...

Paswan-Oglu uśmiechnął się.

— Przez wzgląd jednak na życzliwość wysoką, jaką król mój względem osoby waszej wysokości żywi, spodziewać się śmiem, że wysokość wasza rząd jego królewskiej mości pana mego miłościwego uprzedzić raczy, jeżeli co postanowi we względzie wyprawy wojennej.

— Hm., *bakałym*... W każdym razie nastąpi to nie prędko...

Rozmówił się z reprezentantami innych dworów i wyrozumiał, że dyplomacya zapatruje się na Serbię, jako na zgangrenowany państwa Ottomańskiego członek, którego odcięcie nie przyniesi uszczerbku ani Turcyi ani Europie. Co zaś się tyczy losów Serbii i przyjaciele i nieprzyjaciele Wysokiej Porty obojętnymi się okazywali. Nie widzieli w niej narodu, tylko prowincją turecką, o której sądzili wedle traktatu sistowskiego. Kiedy ją dwór austriacki tak tanim kosztem Turcyi zwrócił, to nie wielką być musi wartość onej. Paswan-Oglu, wysondowawszy w tej materyi dyplomacyę, puścił tę kwestyą w niepamięć, wyprawiał polowanie wielkie, po polowaniu dał ucztę i zamówił skoczków, kuglarzy i cyganów na tak długo, póki śniegi nie spadną. Rezydenci przygotowali byli depesze do rządów swoich, z doniesieniem o domniemalnych władcy Widdynia zamiarach; lecz nie wyprawiali takowych, w przekonaniu, że zamiary, jeśli jakowe istniały, poszły w zapomnienie. Pasza, zdawało się, oddał się całkowicie zabawom i rozkoszom na długo, zakreślił bowiem pewien rodzaj programu na lata koniec i jesień całą i niepodobna było przypuszczać, ażeby zimową porą co przedsiębrać miał. Nie przypuszczał tego nikt, ani nawet Guszanc-Ali, który na czwarty dzień po wyjeździe z Białogrodu do Widdynia przybył i nazajutrz po przybyciu posłu-



chanie miał — posłuchanie poufne w obecności dwóch niemych, którzy paszy nie odstępowali, ile razy miał do czynienia z ludźmi tego rodzaju, co bulukbaszi kirdżalich.

E?... — zapytał tego ostatniego. — Widziałeś się z mułłą?...

— I z mułłą i z hadži-Mustafą... i sam się sobie dziwię, że stoję przed tobą z głową na karku...

— Hadži cię pojmał...

— Pojmał i...

— I wolno cię puścił... — przerwał Paswan-Oglu. — Kazał ci, żebyś mi się od niego pokłonił...

— *Sen bilir*, pasza-effendim... — odparł zdziwiony Guszanc-Ali — chyba ci tę wiadomość gołąb przyniósł...

— Cóż mułła-Jusuf?..

Zapytany recytować począł z pamięci wiadomości, których depozytorem był. Wiadomości te odnosiły się do pogotowia wojennego, w jakim znajdował się wielkorządca Serbii, i składały się z cyfr i dat, obejmujących ludzi, konie, broń, amunicję, pociągi, odległości, stan dróg, stan umysłów, słowem wszystko, co stanowi siłę zbrojną i wpływa na zmobilizowanie takowej. Paswan-Oglu słuchał tego w milczeniu, a z uwagą i nie przerywał, aż Guszanc-Ali powtarzać zaczął to, co mu mułła jako rzecz najważniejszą, w więzieniu zalecił. To ostatnie, zdawało się, że najmniej Paswana obchodziło. Rozpytywać począł o zdrowie hadži-Mustafy

i o stan wody na Dunaju. Następnie odprawił Gu-  
szanca-Alego z niczem i wyszedł przed namiot  
w celu zajęcia przygotowanego dla niego siedzenia  
pod baldachimem, przed którym trupa wędrownych  
cyganów, cygank i cyganiąt dawała widowisko ta-  
neczne. Zasiadł, skinieniem głowy i uśmiechem po-  
witał ciało dyplomatyczne, zgromadzone w kom-  
plecie wielkim, i zwrócił baczną uwagę na tane-  
czników i tanecznice, dopuszczających się przy od-  
głosie bębenka skoków, rzutów i kontorsyi takich,  
jakie jeno dziczy przystoją i które gwałciły naraz  
wszystkie prawidła estetyki, przyzwoitości i moral-  
ności. Wyznawcy proroka lubią widowiska podobne.  
Pasza bawił się szczerze. Żołnierstwo wyległo z obo-  
zu i otoczyło baletników półkolem gęstem, w któ-  
rem od czasu do czasu grzmiał śmiech homery-  
czny i rozlegały się chórem klątwy wielkie, ozna-  
czające zadowolenie, a zastępujące oklaski.

Zdawało się więc, że Paswan-Oglu, oddawszy  
się całkowicie zabawom, zaniechał na ten raz za-  
miarów wszelkich, a przynajmniej odłożył takowe  
do wiosny na rok następny. Ajenci tajemni, których  
Wysoka Porta w Widdyniu trzymała, donieśli o tem  
do Stambułu; rezydenci zagraniczni porozsyłali do  
dworów swoich zapewnienia o pokojowem władcy  
Widdynia usposobieniu; starszyzna jańczarska, z którą  
w swoim czasie czytelnika zaznajomimy, sarkała  
po cichu, widząc spełnienie pragnień swoich odkła-  
danem od roku do roku.

Aż poranku pewnego, o dnia świtaniu, uderzyły nagle w obozie bębny i piszczałki; na placach zbórnych wionęły *bajraki* i buńczuki; z namiotów wysypało się żołnierstwo. Wschodzące słońce oświeciło kolumny piechoty i oddziały jazdy, uszykowane i czekające. Przed namiotem Paswana-Oglu stał koń osiodłany, a opodal nieco długi szereg mułów objuzonych, z boku zaś hufiec straży przybocznej. Pasza w namiocie palił nargile i pił kawę, dając od czasu do czasu rozkazy krótkie służbie, która z takowymi w różnych rozbiegała się kierunkach i powracała co chwila, nosząc raporty lub też przyprowadzając osobistości rozmaite. Pasza przemawiał krótko; ludzie się przed obliczem jego mieniali i z kolei wszedł do namiotu wiekiem pochylony starzec, chudy i słuszny, ubrany w kaftan ciemny, który mu niżej kolan spadał, opasany pasem skórzanym i za nakrycie głowy mający kołpak z wojska w kształcie stożka, u góry ściętego. Paswan-Oglu skinieniem głowy ukazał starcowi miejsce obok siebie na dywanie, a gdy ten usiadł, natychmiast zapytał:

— Cóż?.. gotowiście?..

— Paszo-effendim — odparł zapytany — nie rozumiem zapytania twego...

— Szedłeś przez obóz i widziałeś?..

— Widziałem wojska twoje, bielące się jako śniegi, i widok ten oczy moje stare radował...

— I nie domyślasz się, że wojska moje wystąpiły nie na to tylko, ażeby radość oczom sprawić?..

— Rozumiem!.. — zawołał starzec, dłonie chude składając i oczy do góry wznosząc. — Czemużeś nie uprzedził mnie dzień przedtem, a przynajmniej wczora wieczorem?.. Czarne nasze czety stałyby w chwili tej obok twoich białych szyków...

— Kobieta gada, mąż czyni... — odparł Paswan-Oglu.

— Prawda twoja, paszo-effendim... Powiedzże mi tylko, w którą pochód twój zwrócisz świata stronę?..

— Zapytaj, stary, o to rozumu twego i idź z Bogiem...

— *Aferim...* — rzekł starzec, wstając. — Dziś na nocleg wojsko twoje stanie samo, ale z noclegu w pochód dalszy nie wyruszy bez jańczarów...

Paswan-Oglu jeszcze kilka rozkazów dał, jeszcze kilka spraw załatwił, wstał, wyszedł pomalutku przed namiot i przy pomocy sług, z których jedni strzemiona trzymali, drudzy stopnie mu podstawiali, inni osobę jego podtrzymywali wsiadł na konia, który kark wygiął, grzywę najeżył, wspiął się na tylnych nogach i poszedł spokojnie. Był to arabszyk czystej krwi, lekki, rączy, ognisty, a przytem jak jagniątko łagodny. Gdy pasza na konia wsiadł, wnet w obozie całym odezwały się bębny, piszczałki i surmy, aż zawrzało od dzikiej muzyki, w której

pisk żałosny łączył się z hukiem grzmotowym. Nagle ucichło. Pasza poprzedzany przez laufrów i buńczucznych, otoczony przez służbę pieszą i konwojowany przez hufiec jeźdźców, objeżdżał obóz, czyniąc przegląd wojska i wydając rozkazy. Gdy się przegląd skończył, wojska ruszyły, hufce oddzielne szły jedne w prawo, drugie w lewo, rozchodziły się w strony różne; część zaś jedna udała się do miasta i w przystani czynić poczęła przygotowania do przeprawy przez Dunaj.

Ani w Widdyniu, ani w najbliższem Paswana-Oglu otoczeniu nikt domyślić się nie mógł, co za znaczenie i jaki cel miało ruszenie wojska z obozu. Rezydenci zagraniczni głowy tracili, tworząc przypuszczenia rozmaite i usiłując rozwiązać zagadnienie. Klucz zagadki daćby mógł kierunek pochodu, gdyby można było w kierunku tym rozpatrzyć się, główną siłę rozpoznać i dowiedzieć się, którą ona udała się drogą. Zdawało się, że wojska rozeszły się we wszystkie świata strony: na południe ku góróm, jakby ku miastu Dzibra zmierzały z zamiarem przerzucenia się przez grzbiet Bałkanów w dolinę Niszawy; na wschód z biegiem Dunaju, jakby sylistryjski paszalik na widoku miały; na północ, na Dunaju brzeg lewy, jakby celem ich było opanowanie Wołoszczyzny; na zachód jakby przedmiotem wyprawy była Serbia. Nikt zrozumieć nie mógł. Rezydenci dowiadawali się, co zrobił z sobą pasza. Paszę widziano na wszystkich na-

raz drogach, zaręczano przytem, że powrócił około południa, byli zaś i tacy, co utrzymywali, że się nie ruszał wcale. Z powikłania sprzecznych pogłosków nie sposób było prawdy wysnuć. Ostatecznie zaś ćwieka w głowy reprezentantów dyplomacyi wbił powrót wojsk do obozu nad wieczorem.

Cóż znaczyło to wszystko?.. — powiadali Francuz, Anglik, Niemiec i inni.

I jednozgodnie, bez porozumienia się z sobą, każdy z osobna zakonkludowali, że była to przechadzka militarna, przedsięwzięta w celu rozprostowania nóg Arnautom. Przygotowani kurjerzy, którzy dworom ponieść mieli doniesienia o jakiejś wyprawie wojennej, pojechali z depeszami, zawierającymi zapewnienie, że Paswan-Oglu nie zamyśla tym razem o żadnych krokach zaczepnych.

Gdzież Paswan-Oglu? Rezydenci, pragnąc posiadać pewność zupełną, kołatali o audyencyą, szukali paszy w namiocie i w pałacu, i znaleźli go i tu i tam. Widzieli go na oczy własne, pomimo że audyencyi Francuzowi nawet nie udzielił, a to dlatego, że wypoczywał. Zdaje się jednak, że sam on rozumiał potrzebę uspokojenia przedstawicieli dyplomacyi i pozwolił rezydentom oglądać z daleka osobę swoją, która w chwili, gdy ci oglądali ją w Widdyniu rozwaloną na dywanie i palącą nargile, siedziała rozparta i paliła nargile, ale nie na dywanie i nie w Widdyniu, lecz w lektyce, na drodze, prowadzącej z Widdynia do Niegotyna przez

najbliższą od pierwszego z dwóch tych miast na Timoku przeprawę. Przed lektyką biegły laufry i postępowali buńczuczni; lektykę otaczała służba liczna; z tyłu prowadzili saisy konie wierzchowe, kapami pookrywane; dalej szła straż przyboczna, która zamykała sobą pochód długiej, na drodze wyciągniętej kolumny, mogącej liczyć około dwóch tysięcy ludu zbrojnego.

Kolumna ta przedstawiała widok zasługujący na to, ażeby mu słów parę poświęcić.

Wojsko Paswana-Oglu składało się z Arnautów zaciężnych, stanowiących żywioł bodaj czy nie najbitniejszy ze wszystkich, jakie wchodzą w skład narodów, podlegających berłu sułtanów tureckich. Dzielność i odwaga są cechami ich charakterystycznymi; postać zaś Arnauty jest cech tych wcieleniem żywem; wzrost nie przechodzący miernego, budowa odznaczająca się szerokością w plecach, wydętych nieco; chód lekki i poskoczny; wyraz twarzy budzący niedowierzanie; ubiór przytem składający się z chodaków, z fustaneli u bogatszych, zastępowanej koszulą u uboższych, z huby białej z wylotami i z feza małego, przylegającego do głowy okrytej włosem, o tyle tylko przyszytych, ażeby na ramiona nie spadał, — nadają Arnautom wyraz drapieżności, czyniącej z nich żołnierzy strasznych. Widok ich zwłaszcza, gdy się znajdują w ruchu, przypomina nieco panterę, tem mianowicie, że z familią kocią spólny mają chód na pal-



cach. Zdaje się, jakby się skradali, w celu skoczenia na zdobycz. W marszach niezmordowani, na trudy wytrwali, w pożywieniu niewymyślni i na małym poprzestający, w strzelaniu od dzieciństwa wprawni, o życie własne niedbali, życie cudze za nic nie wazący, do podstępów sprytem wrodzonym obdarzeni, wojnę w gromadzie, czy też pojedynczo, mający za jedyne od Boga im wyznaczone, zajęcie: oto ludzie, z których Paswan-Oglu wojsko sobie sformował i których tak wsławił, że na wschodzie spółubiegano się o nich. Do czasów naszej sięgających pamięci gospodarowie wołoski i mołdawski nie mieli innej siły zbrojnej, jeno Arnautów zacieźnych.

Bieliło się od nich na drodze i z daleka wydawaćby się mogło, że to nie wojsko maszeruje, ale owiec trzoda ciągnie płaszczyznami, rozlegającemi się w kącie, wytworzonym przez Dunaj, zaginający się ku południowi, i Timok, podążający ku północy, gdyby nie połyskujące do słońca lufy strzelb długich, przez ramiona żołnierzom przewieszonych. Strzelby gwintowane stanowiły główne ich uzbrojenie; zamiast ładownic, mieli różki na proch i torebki skórzane na kule, u pasa zawieszzone; każdy przytem posiadał nóż za pasem, a u tego i owego widać było obok noża pistolet. Torba włosienna na żywność zastępowała tornister, niepotrzebny im zupełnie, albowiem nie mieliby co w nim nosić, z powodu, że ubranie całe składało się z tego, co było na nich; co się

zaś bielizny tyczy, zmienianie takowej uważali za zbytek, znamionujący zniewieściałość. Koszula jedna służyła im tak długo, póki sama z ciała nie opadła, co gdy nastąpiło, wówczas dopiero starali się o drugą. Niezbędną część ubrania ich stanowił trzos, którym pod zwierzchnią odzieżą biodra przepasywali: był to skład zarobków uciulanych na służbie i zdobytych na wojnie i rozbojach. Grosz do trzosa wrzucony przeznaczonym był na nieogładanie światła dziennego, aż w górach rodzinnych, pod tą strzechą, z pod której Arnauta ze strzelbą na ramieniu i z trzosem próżnym w świat ruszył. Nie liczyli też nigdy przed powrotem do domu skarbów, które na sobie nosili. Składali póty, póki miejsca starczyło; gdy zaś takowego zabrakło, rzucali służbę, wojnę i rozboje, wracali, żenili się i o to się starali, ażeby synów z gwintówką dobrą i trzosem nowym w świat wyprowadzić.

Z wojskiem, z takich złożonem żołnierzy, wybrał się Paswan-Oglu na wyprawę wojenną. Jakimże wyprawy tej był cel? Ażeby cel rzeczywisty poznać, potrzebaby przenikać umieć tajemne paszy myśli, które on tak głęboko krył, że wydawało się, jakoby sam świadomości onych nie posiadał. Nie przyznawał się nigdy do żadnych celów ni zamiarów, z wyjątkiem tych, które powodzenie uwieńczyło. I teraz ciągnął z wojskiem do Serbii — po co? Po zdobycie i przyłączenie do posiadłości swoich paszaliku tego. Takby się zdawać powinno.

Mało jednak wojska wziął. Lecz czy potrzebował więcej? Jakie siły hadži-Mustafa mógł naprzeciw niemu postawić? Spajów? — w jakiej liczbie? Paswan-Oglu wiedział, że hadži-Mustafa, gdyby Serbią jak cytrynę zdusił, nie wydusiłby z niej spajów dwa tysiące; gdyby mu się zaś to i udało, pozostawała jeszcze do porównania wartość żołnierzy z rzemiosła i żołnierzy z piernatów i haremów wyciągniętych i na koń wsadzonych. Porównanie to wypadło całkowicie a z góry na korzyść Paswana-Oglu. Zachodziło jeszcze i to przypuszczenie, iż wielkorządca Serbii, postawiony w ostateczności, pod broń raję powołać może. Przypuszczenie to, ile razy na myśl Paswanowi-Oglu przychodziło, tyle razy uśmiech na twarz jego sprowadzało. Czy on raję serbską miał za nic? czy też inny взгляд jaki radość mu sprawiał?

Paswan-Oglu wojska wziął z sobą niewiele i to piechotę samą. Artyleryi nie było wcale, jazdy zaś tyle tylko, co w przybocznej straży, pięćdziesiąt do sześćdziesiąt koni. Wozu ani jednego; amunicję dźwigały na grzbietach muły, nawykłe do chodzenia po górach. Kilkadziesiąt mułów w kolumnie oddzielnej niosło zapasy żywności i sprzęty obozowe, lecz nie dla wojska przeznaczone. Był to dwór militarny paszy, pozostający pod dowództwem osobnego oboźnego, a składający się z namiotnych, szatnych, podczaszych, kucharzy, kawiarzy, fajkarzy, urzędników do rozpalania i utrzymywania ognisk, do

czuwania nad miednicami, do czuwania nad kubkami, do noszenia ręczników, z pościelniczych, łowczych, sokolniczych etc. etc. Prowadzono na smyczy charty, niesiono na berłach sokoły i postępowano w cichości a w porządku za lektyką, w której Paswan-Oglu na puchowych poduszkach rozparty, oddawał się to dumaniu, to drzemaniu.

Arnauci szli krokiem posuwistym, a tak szybko, że muły nie mogły podążać na równi z nimi. Z tego powodu zatrzymywano się w ciągu dnia razy kilka, zanim zatrzymano wojsko na nocleg, który wypadł w szczerem polu, u źródeł bezimiennej jakiejś rzeczutki, sączącej się środkiem łąk, bujną okrytych trawą. Rozbito dla paszy namiot wspaniały; żołnierze pozakładali ogniska; o zachodzie słońca odbyto namaz wieczorny; rozstawiono strażę i otoczyła uciszony obóz noc spokojna, gwiazdzista, wonna, rozkoszna, rozbrzmiała hymnem sennym przyrody, śpiewanym przez przepiórki, chróściele, koniki polne i muszki powietrzne.

Obóz spał i pasza spał. Noc upływała. Już na wschodzie rumienić się poczęła jutrzeńka. Jeszcze chwila, a zabrzmi pobudka, gdy wtem na łańcuchu wart zewnętrznych słyszeć się dały okrzyki alarmowe. W oka mgnieniu wojsko całe pod bronią stanęło. Obóz gwarem się napełnił.

— Co tam?... — odezwał się głos paszy z za płócien namiotowych.

— Pokazało się coś!... wojsko jakieś!... — odpowiedział oboźny.

— To dobrze... Niechże wojsko to spocznie...

Nieopodał od obozu zatrzymały się trzy hufce piesze, złożone każdy z ludzi dwustu do trzystu, poubieranych w długie koloru ciemnego kaftany i w wojłokowe na głowach kołpaki, a uzbrojonych w strzelby, jatagany i pistolety. Zatrzymały się, przez chwilę powstały i nagle znikły — rzekłbyś, że się w ziemię zapadły, a to ludzie w wysokiej posiadali trawie. Każdy nogi pod siebie podgiął, na przód się pochylił i zasnął. Musieli być bardzo znużeni, kiedy ich tak nagle taki mocny opanował sen. Spali, aż rozbudziła ich wrzawa bębnów i piszczałek, witająca wsiadającego na koń Paswana. Zerwali się, uszykowali i ruszyli. Przed każdym z hufców szedł wódz, a przed każdym z wodzów niesiono buńczuk z końskiej włosieni, zamiast gałki lub grota, łyżką u góry zakończony. Na przodzie kroczył starzec słuszny i chudy — starzec ten sam, co dnia wczorajszego powiedział Paswanowi-Oglu:

— Dziś na nocleg wojsko twoje stanie samo, ale z noclegu w pochód dalszy nie wyruszy bez jańczarów...

---

## 9. Narady wojenne.

---

Wieść o wkroczeniu Paswana-Oglu rozeszła się po Serbii szybko, niesiona na skrzydłach strachu, który mknął z miasteczka do miasteczka, z osady do osady, przeskakiwał przez góry nieprzystępne, wił się przez doliny, płynął z biegiem rzek kierujących się ku Dunajowi i równocześnie prawie zakołatał do chałup sielących, do domów spajowskich i do konaków urzędniczych nad Dunajem, nad Morawą, nad Kołubasą i nad Driną. Zła wieść — powiadają — przychodzi zawsze za prędko. O tej jednak powiedzieć należy, że doszła wszędzie nie za prędko, ale w sam czas; gdy zaś wpadła w słuch Mustafie-paszy, on jej wiary nie dał.

— Bajka... — rzekł — to być nie może...

— Tak ludzie gadają... — były słowa agi białogrodzkiego, naczelnikującego zaptim.

— Mam wiadomości pewne; Paswan-Oglu o Serbii nie myśli...

Wiadomości owe pewne posiadał pasza ze źródła bardzo pewnego, które jednak w błąd tym razem wprowadzone było. Przypomina sobie czytelnik słowa Piotra Bulgara, odnoszące się do przed-

miotu tego. Piotr był w Białogrodzie; z Białogrodu pojechał do Widdynia i z Widdynia powrócił znów do Białogrodu. Podróż jego miała handlowe na celu interesa; poza nimi jednak ukrywał się cel polityczny, zależący na tem, ażeby na miejscu zbadać i przeniknąć zamiary Paswana. Bulgar posiadał w Widdyniu konneksye i stosunki rozległe bardzo; umiał nawet stać się potrzebnym Paswanowi samemu, któremu pośredniczył w wymianie produktów surowych, jakimi w znacznej części haracz do skarbcza jego wpływał, na gotówkę, a mianowicie na obrączkowe holenderskie dukaty, które pasza lubił wielce. Sprowadzał przytem dla niego klejnoty i materye jedwabne z Wiednia, co otwierało mu przystęp do osoby paszy i stawiało go wobec niego na tej stopie poufałości, jaka zazwyczaj zachodzi pomiędzy potentatem a tym, co bądź potrzeby jego zaspakaja, bądź też słabościom dogadza. Z tego powodu i Paswan-Oglu zawiązywał niekiedy z Piotrem rozmowy, wychodzące poza zakres interesów handlowych, i Piotr odważał się niekiedy zapytaniem jakimś, odnoszącem się nie do dukatów holenderskich ani też do klejnotów i tyftyków, potężnego paszę zaczepić.

W czasie ostatniej swojej w Widdyniu bytności Piotr badał, nasłuchiwał, łowił — rzecz można — uchem szmer każdy i stawiał się przed paszą trzy razy. Za trzecim razem Paswan-Oglu sam go zaczepił:



- Cóż w Wiedniu słyhać?...
- A cóż, effendim!... Niemcy się cieszą...
- Nie mają czego...
- Ty wiesz, effendim...
- Nie mają czego, powiadam ci...
- Ty wiesz, effendim...
- Jeśli ci co w ręce wpadło, to trzymaj;  
a jeśli sam to oddajesz, toś głupi... Czy nie tak?...
- Prawda twoja, effendim... wielka prawda...
- Niemcy dobrze zrobili, że precz sobie poszli,  
ale nie dla siebie... toć się i cieszyć nie mają czego...  
A cieszą się powiadasz?...
- Ewet, effendim...
- Hm... Cóż tam oni powiadają o mnie?...
- Dziwią się tobie, effendim... mają cię za człowieka wielkiego...
- Hm... mają mnie za wielkiego człowieka...
- I za mądrego...
- I za mądrego... Pokazałbym im mądrość,  
gdyby mieli byli do czynienia ze mną, a nie z rachatłukomowymi wezyrami, których przeciwko nim padyszach stawiał... Cóż powiadają więcej?...
- Powiadają to samo, co ty effendim, powiadasz...
- A widzisz!.. o!.. Dałbym ja im był!..
- I boją się... — rzekł Piotr, przybierając minę tajemniczą.
- Czego?..

— Żebyś effendim, paszaliu białogrodzkiego nie zagarnął....

— I!.. — machnął Paswan-Oglu ręką od niechcenia. — Mam ja z widdyńskim kłopotu mało...

Piotr Paswana podszedł; Paswan jednak pochwycić się nie dał. Trafiła kosa na kamień. Przebiegły Bulgar skorzystał z ciekawości paszy i podsunął mu wiadomość zmyśloną, w celu wymiarkowania wrażenia, jakie ona na nim sprawi. Dlatego wzrok wyteńczył i uwagę całą zestrzelił na obliczu Paswana; temu jednak, żeby oczy zamigotały, żeby żyłka jaka drgnęła!.. Domyślił się snadź, do czego słowa tajemnicze Piotra zmierzały, dodał bowiem:

— Myślę już o tem tylko i o to się tylko staram, żeby nikt nie zaczepiał mnie... Et!.. Czego mi potrzeba więcej?..

Następnie zmienił treść rozmowy i, z daleka obchodząc, przyszedł do zapytania:

— Czyś ty wprost z Wiednia do Widdynia przyjechał?..

Zapytanie to, gdyby zadaniem było natychmiast po odpowiedzi na wiadomość, odnoszącą się do zamiarów paszy na paszalik białogrodzki, byłby Bulgar poznał, że podstęp jego celu chybił. Wysłute atoli z treści rozmowy, nie mającej z zamiarami polityczno-wojennymi nic wspólnego, nie wzbudziło podejrzenia najmniejszego. Piotr więc odpowiedział:

— Nie wprost, effendim; byłem w Białogrodzie...

— Jakże się ma hadži-Mustafa?...

— Chwała Bogu, effendim...

— E!.. — odezwał się pasza, popierając dźwięk głosu wyrazistym głowy gestem. — Gdyby był na świecie człowiek drugi taki, jak hadži-Mustafa, toby świat miał się czem chwalić przed Allahem... Dobry człowiek...

Kręcił głową i cmokał językiem.

— Co za człowiek!... Tacy jak on nie rodzą się już...

Temi słowy do reszty Piotra przekonał, że o zbrojnym nachodzeniu Serbii ani myśli. Piotr rozmowę tę od słowa do słowa hadži-Mustafie powtórzył, dodając, że zasięgnął języka od starego Focicza, wielce niezadowolonego z roli, jaką jańczarowie pod opieką Paswana-Oglu odegrywali.

Stary Focicz był-to ów starzec słuszny, a chudy, który szedł przed hufcami jańczarskimi, gdy te na pierwszym noclegu z wojskami Paswana się złączyły.

Hadži-Mustafa więc jak najśluszniesze miał powody do nazwania bajką wieści o wkroczeniu paszy Widdynia, gdy mu aga wieści tej udzielił.

— Ty wiesz... — odrzekł aga. — Ja, effendim, powtarzam, com od ludzi słyszał...

— Ludzie gadają o tem?...

— Nie gadają o czem innem...

Pasza się zadumał. Przyszedł mu na myśl Gu-

szanc-Ali, który do odwiedzania mułły-Jusufa mógł mieć pobudkę jedną z trzech: albo ochotę własną, płynącą z gorączki macenia wody, trawiącej popolicie takich jak on ludzi; albo natchnienie staro Foczicza, sprawującego interesa jańczarskie; albo nakoniec polecenie Paswana-Oglu. To ostatnie wydawało się mu najmniej do prawdy podobnem. Ale...

Hadži-Mustafa zatrzymał się nad »ale«.

Zawołał mizlisz.

Starce się zeszli i pod ścianą poważnie zasiedli.

Każdy był głęboko zadumany, milczący i smutny, z wyjątkiem mułły, którego oczy błyszczały rozradowaniem tajonem. Pasza zagaił obrady zapytaniem:

— Wiecie?..

— Wiemy... — była odpowiedź jednogłośna, skinieniem głów wyrażona.

Jednego tylko mułły głowa, zamiast podać się nieco w tył, pochylić się na przód, zamiast oczy zmrużyć, jak to wszyscy uczynili, kiwała się w prawo i w lewo, a oczy, zdawało się, z orbit ku hadži-Mustafie wybiegały. Oznaczało to, że mułła nie wie o niczem, pyta i objaśnień żąda.

— Gadają ludzie, że Paswan-Oglu z wojskiem do Serbii wkroczył...

Członkowie mizliszu wszyscy skinieniem potwierdzającym głowy pochylili.

— Czy to wiarę dawać należy natychmiast temu, co ludzie gadają?..

Członkowie mizliszu, składającego się ze spajów, którzy stanowili większość, i z czorbadżich gmin chrześcijańskich, którzy figurowali dla formy, zrozumieли powód zapytania tego. Dlatego jeden z nich odezwał się:

— Co ludzie gadają, to wygadają...

— Trzeba się pierwszej dowiedzieć, przekonać...

— odparł mułła. — Trzeba kogo na miejsce posłać...

Turcy, jeden po drugim cmokali i głowami w tył rzucali. Oznaczało to, że się nie zgadzają na wniosek mułły. Ale dlaczego? Wytlómaczył to hadżi-Mustafa.

— Jeżeli to nieprawda, co ludzie gadają, no... to się dowiemy o tem i bez posyłania na miejsce... Jeżeli zaś prawda, to Paswan-Oglu prędzejby pod Białogrodem stanął, aniżeli by posłaniec powrócił: ten bowiem ostatni musiałby jechać tam i napowrót, podczas kiedy tamten ciągnie w kierunku jednym...

Głowy radców pochyliły się uznaniem słów tych.

— Cóż więc robić?.. -- stanęło zapytanie samo przez się, które z ust Mustafy-paszy wypłynęło.

Odpowiedzią na zapytanie to było milczenie.

Hadżi-Mustafa czekał. Mułła-Jusuf odchrząknął,

lecz nie nie rzekł. Radców paru ustami ruszyło, lecz bez wydania głosu.

— E, Skinder!... — zagabnął pasza jednego z najdalej siedzących. — Co robić?..

— *Sen bilir, effendim*... — była odpowiedź zagabniętego.

Zapytał następnego.

— *Sen bilir, effendim* (ty wiesz, panie)... — powtórzył następny.

Zapytał trzeciego, czwartego i t. d., każdy dał odpowiedź tę samą. Zbieranie zdań zakończyło się na dostojniku najwyższym, na basz-hodży, mulle-Jusufie — i ten, z dodatkiem tylko odsapniętego westchnienia i złośliwego uśmiechu, nie inaczej odpowiedział.

Co ta odpowiedź znaczyła? Nic może? O, nie! Miała ona znaczenie głębokie, to mianowicie, że znamionowała zbyteczność narad w warunkach organicznych państwowości ottomańskiej, w której zarodkiem, początkiem i celem wszystkiego była jednostka. Jednostkę ową reprezentował hadżi-Mustafa, do niego więc należało mieć zdanie. Na to był on namiestnikiem padyszacha. Na to miał głowę na karku.<sup>4</sup> Na to zresztą nad głowę tą wisiała groźba stryczka, i groźba ta niejednemu z radców, co możeby się zdobyć potrafił na zdanie jakieś, usta zamykała. Ten nie chciał mieszać się do rzeczy, która do niego nie należała; ów lękał się obarczać sumienia odpowiedzialnością, odno-

szącą się do losów człowieka takiego zacnego, jak hadži-Mustafa; każdy więc pomyślał, że najlepiej w razie takim na Allaha się spuścić, rzecz całą na paszę zdać i na to, co on postanowi, czekać.

— *Allah ekber...* — mruknął jeden.

Narada ciągnęła się długo; zaczęła się około południa i trwała jeszcze, gdy już słońce minęło na niebie punkt, oznaczający trzy ćwierci drogi jego dziennej, od wschodu zrobionej. Wiadomości przez ten czas otrzymywane, potwierdzały wieść pierwotną. Ostatnia przyniosła pewność zupełną, przyniósł ją bowiem goniec z Kladowy przez tamecznego kiehaję wyprawiony, — była więc oficjalną, ale ogólnikową. Goniec nie umiał podać szczegółów bliższych i dokładniejszych.

— Wszedł — powiadał — Paswan-Oglu z wojskiem...

— Kiedy?.. — pytał pasza.

Zapytany nie umiał dokładnie odpowiedzieć.

— Z jakimi siłami?..

— Z wielkimi...

— Cóż poczyna?..

— Pałą, rabują... lud z dobytkiem w góry ucieka...

— W którą kierują się stronę?..

— Idą przed siebie, jak szarańcza...

— Cóżto za wojska?.. czy dużo jazdy?.. czy jest artylerya?.. czy są jańczary?..



— Jam nie widział, effendim... Ludzie mówią o jańczarach i kirdżalich...

— A o Arnautach?..

— I o Arnautach mówią... Popłoch wielki, wszyscy uciekają... Kiedym w nocy z Pekskiej planiny na wschód patrzył, widziałem na niebie łuny wysokie...

- Nieszczęście... nieszczęście... — szeptali Turcy i patrzyli paszy w oczy, jakby wyczytać w nich chcieli otuchę.

Hadzi-Mustafa był spokojny, a przynajmniej jeżeli niepokój w duszy jego panował, to tego po sobie poznać nie dawał. Przekonawszy się, że daremnie jest odwoływanie się do rady notablów tureckich i chrześcijańskich, postanowił radzić sam. Zamiast więc zapytywać o zdania, dawał rozkazy, mające na celu działanie odporne. Pchnął najprzód gońców do każdej z osobna nahii z zaleceniami do kajmakanów, ażeby niezwłocznie powołali spajów pod broń i wyprawili ich do Białogrodu, ażeby natychmiast w stanie obronnym postavili twierdze i palanki, w obwodach ich położone. Niedosć na tem. Do rozporządzeń tych ogólnych dodał jeszcze i szczegółowe. Domyślając się, że Paswan-Oglu nie może mieć czego innego na widoku, jeno zdobycie Białogrodu, a wiedząc, że do Białogrodu dwie ma do wyboru drogi: jedną krótszą i niewygodną przez góry brzegiem Dunaju, drugą dalszą i wygodniejszą na Zajczar i Tiupryą, dał właściwym

władzom rozkazy, tyczące się utrudniania pochodu wojskom najeźdźnika, rozporządzając z wielką rzeczą znajomością, gdzie należy czynić zasieki, gdzie niszczyć drogi, gdzie psuć przeprawy. Do Smyderewa, do Pożarewca, do Tiupryi wyprowadził gońców z poruczeniami specjalnemi, i miał już mizlisz odprawić, gdy we drzwiach izby obradowej pokazał się, jakby zaklęciem z pod ziemi wywołany, starzec siwobrody.

Widok przybysza uśmiechem zadowolenienia o-promienił oblicze hadži-Mustafy.

Starzec przybywać musiał z daleka, był bowiem kurzawą przysypany. Przystąpił próg i odsłonił drugiego przybysza, który się za nim we drzwiach ukazał. Z poza tego drugiego wystąpił trzeci, z poza trzeciego czwarty, dalej piąty i szósty.

Czytelnik domyśla się zapewne, że byli to Mehmed-bej i pięciu synów jego. Tak, w rzeczy samej. Onito przybywali: ojciec na czele, synowie porządkiem starszeństwa wieku za nim; weszli na schodki, pozrzucali obuwie przy baryerze; członkowie mizliszu rozeszli się i oni zajęli miejsca tak, że starzec zasiadł obok paszy, mającego po drugiej stronie mułłę, który na przybyłych wzrokiem takim spoglądał, jakim się na wroga patrzy. Mułła widocznie nie rad był gościom tym.

— *Salamalelkiem...*

— *Alelkiemsalam...*

Powitanie odbyło się według ceremoniału zwy-

czajnego i zabrało czasu sporo, zanim Mehmed-bej mógł do rzeczy przystąpić.

— E — rzekł — naradzasz się, paszo-effendim... To dobrze... Kto o drogę pyta, ten nie błądzi... Cóż więc?..

Hadži-Mustafa opowiedział w krótkości rezultat narad, albo raczej postanowień, jakie sam powziął, narady bowiem nie doprowadziły do rezultatu żadnego.

— E, *pek ii...* — rzekł Mehmed-bej, odchrząknawszy. — Bardzo dobrze... Tobie, paszo, rozkazywać, nam słuchać... Tak jest... Przeciwno temu mówić niema co... Tylko... Ale... Czyby się nie znalazło co jeszcze lepszego?..

Pasza gestem odpowiedział, że bynajmniej nie myśli, żeby się coś jeszcze lepszego znaleźć nie miało.

— Ja stary... — ciągnął starzec. — Jam widział wiele i słyszał wiele w życiu mojem, toć słowo moje przydać się może na co... O starych-to powiadają, że dobrzy do parady, i jam też z Szabca tu przybiegł po to, ażeby dorzucić słowo jedno-drugie do tego, co się robić ma...

— Mehmed-beju, słowo twoje wiele waży... — wtrącił pasza.

— Otóż ja myślę, że powinniśmy iść na spotkanie Paswana-Oglu...

Radcy głowami skinęli i ramionami wzruszyli na znak, że gotowi są zdanie to podzielać; mułła na starca przeszywającym patrzył wzrokiem.

— Tak, niema co... — tłumaczył Mehmed-bej.  
— Powinniśmy iść, tu bowiem nie tylko chodzi o to, ażeby orężną odeprzeć napaść, ale także i o to, ażeby rajom pokazać, że w spajach jest siła...

Starzec rozumiał siłę moralną, nadającą klasom społecznym wartość polityczną, siłę taką, jaką posiadała niegdyś szlachta, stanowisko której odpowiadało pod względami pewnymi stanowisku, jakie w organizmie owoczesnej serbskiej społeczności zajmowali spaje. Reprezentowali oni politycznie kraj, zastępowali go wobec sułtana, byli onego organem naturalnym, w mniemaniu własnem i w oczach władzy zwierzchniej; jako taki przeto organ, wykazać potrzebowali wartość swoją dodatnio. Potrzeba ta odnosiła się szczególnie do rajów, rozchoconych wypadkami ostatnimi do występowania w życiu politycznem samoistnie. Należało więc nie dać im do tego okazji.

— O!.. — ciągnął starzec dalej. — Raja jak zobaczy, że my nie tylko z za murów strzelać umiemy, ale że i w polu otwartem siebie i jej bronić potrafimy, to będzie przed nami czoło do ziemi chyliła nie dlatego tylko, że tak zakon każe... Po mojemu więc, przygotowywać się należy do obrony swoją drogą, a swoją w pole wyciągnąć i przeciwko wojskom Paswana-Oglu szczęścia spróbować...

— Przeciwno wojskom prawowiernym... — wtrącił mułła kiwając się lekko.

— Pozwólmy więc lepiej na to, ażeby wojska te raja z paszaliku wyrzuciła... — odparł Mehmed-bej z akcentem niecierpliwości.

— *Ołmas... Jokter...* — rzekł mułła głową w tył rzuciwszy, co znaczyło: »to być nie może«.

— Może być co innego, to i to być może... — były słowa starca. — Przejdźno się, mułło-effendim, po nahiach i popatrz rajom w oczy!.. Ja... ja, Mehmed-bej (tu się starzec dłonią po piersi bił), co mam spaiłyk jeden z największych i posiadam szacunek rajów, ja spotykam Srbina, jedzie konno, pistolety za pasem, i nie tylko z konia nie zsiada i pistoletów nie okrywa, ale jeszcze powiada mi, niby równy równemu: *ur-ałłach...* Krew mi na to do głowy uderza, ręka po pistolet sięga, strzeliłbym i zabił jak psa, ale... *ołmas...* Upokorzyć się potrzeba, bo raja nas działek lat temu potłukła... Mamyż się teraz upokarzać bardziej jeszcze i pozwalać, ażeby nas broniła?.. Nie!.. Zginać raczej!.. Ot, jak tylko dowiedziałem się że Paswan-Oglu wkroczył, natychmiast puściłem *haber* pomiędzy spajów, że przyszedł czas, żebyśmy pokazali, żeśmy coś warci, sam zaś wsiadłem na koń z synami i (słowa następujące starzec z zapalem mówił) przybyłem we dwadzieścia cztery kopyta do tratowania po Ar-nautach Paswana-Oglu...

— I po jańczarach... — wsunął mułła — po

jańczarach, o których w księgach stoi napisano więcej, aniżeli o spajach.

Starzec ramionami sierzdźcie rzucił i odparł:

— To już snadź tak Ałłach chce: albo my, albo jańczary!... albo spaiłyki, albo dachije!.. Ałłah był przed padyszachem, padyszach przed spaiłykami, a spaiłyki przed dachijami...

»Dachije« były to okręgi administracyjne, na jakie jańczary dzielili prowincyą, w celu ułatwienia sobie pobierania z takowej dochodów, do jakich pretensye rościli. Był to podział na podziały; wybierali punkta, jakie się im najdogodniejszemi wydawały, i osadzali w takowych załogę pod dowództwem subaszów, którzy w imieniu korporacyi jańczarskiej zarządzali udziałkami swoimi niezależnie od władz rządowych, kajmakanów i mudirów, i bez względu na prawa spajów. Łatwo więc wyobrazić sobie, jakie samo wyrazu tego, »dachije«, brzmienie miało znaczenie dla urzędników, dla spajów, szczególnie zaś dla rajów!

Mehmed-bej, mówiąc o tem, kto był przed kim, miał zapewne na myśli porządek chronologiczny organizacyi państwowej, tak jak ją sobie Turcy wyobrażali. Ałłach dał ludziom padyszacha, ten zaś sformował państwo i zaprowadził w niem porządek, w którym nadzielenie wiernych ziemią (*timare*, *spaiłyki*) poprzedziło organizacyą milicyi z jeńców wojennych, nazwanej *jeni-czeri* (nowe wojsko). To ostatnie, jak wiadomo, nastąpiło za Amurata I

(1362), czy też za Bajazeta I (1389). Starzec miał za lepsze i za bardziej prawowite to, co dawniejsze, i w zatargu pomiędzy spajami a jańczarami uważał za rzecz słuszną, ażeby jańczary spajom ustąpili.

Że zdanie jego przypadło członkom mizliszu do przekonania, to rzecz naturalna. Mizlisz w dziewięciu dziesiątych częściach swoich składał się ze spajów, a obrońcą jańczarów był w nim jeden tylko mułła. Obrona ta byłaby skuteczną, gdyby stronę mułły trzymał pasza, od którego zależała decyzja ostateczna, bez względu na większość głosów, które wobec niego, namiestnika sułtańskiego nie mogły mieć znaczenia innego, jeno doradcze. On atoli przychylił się do zdania większości, wyrażającej się za pomocą kiwania głowami, oznaczającego potakiwanie Mehmed-bejowi. Hadži-Mustafa nie wyrzekł nic; zamknął posiedzenie i zatrzymał Mehmed-beja z synami u siebie na noc.

— Będiesz gościem moim...

— Dziękuję ci, effendim... Rozkaz twój prawem dla mnie...

— Cóż?.. — zapytał pasza gościa, gdy pozostali sam na sam. — Żle?..

— Nie dobrze... Ale... wszystko w mocy Ałła-ha... Chodzi o to tylko, żebyśmy się jak najrychlej w sile zgromadzili i raję wyprzedzili...

— E?.. — wstrząsnął pasza głową w sposób pytający.



— Jak potoku z góry, tak rai nie wstrzymać... gromadzi się...

— Co mówisz!..

— Com słyszał i... widział..

Wyraz ostatni po krótkim namyśle z przyciskiem wymówił.

Mustafa-pasza głową kiwał.

— Myślałem zrazu — były słowa starca — że należałoby dać rai nakaz cicho siedzieć, ale... a nużby nakazu nie posłuchała!.. Byłoby jeszcze gorzej...

— Byłoby gorzej... — powtórzył pasza.

— Nie pozostaje więc nic innego, jak tylko tak pospieszyć, ażeby rai do poczucia krwi nie dopuszczać...

— Tak... — A jeśli Paswan-Oglu spajów pobije?.. — zagabnął ostrożny pasza.

— Ha!.. — odparł starzec, wznosząc oczy do góry. — Allah wielki i sprawiedliwy, a sprawiedliwość po stronie naszej... Jeżeli on, wielki osądził, że ma być nam koniec, to niech będzie koniec... Po nas zostanie raja do obrony paszali ku... Niechże ona broni paszali ku, niech broni siebie, ale nie nas...

W tej treści toczyła się rozmowa pomiędzy dwoma tymi zacnymi ludźmi, z których jeden reprezentował prawość urzędową, drugi czystość pierwiastku rycerskiego w państwie ottomańskim. Toczyła się rozmowa do zachodu słońca. Gdy to

za góry zapadło, w salamliku zabrzmiało wołanie muezzina z poblizkiego minaretu i wnet pasza i bej zsunęli się z dywanu, stanęli do wschodu twarzami zwróceni i pogrążyli się w cichą modlitwę, którą odmawiali przyklękając, ręce i oczy do góry wznosząc, dłonie składając i oczy zamykając.

— Ech, będzie, co Allah da; a czego nie da, to nie będzie... — odezwał się Mehmed-bej modlitwą pokrzepiony.

Pasza w dłonie klasnął, kazał podać światło, wieczerzę i przywołać pięciu synów gościa i Derwisch-beja. Po chwili rozkaz jego spełniony został, co do wszystkich punktów z wyjątkiem jednego. Wniesiono światło i okrągły niski, białym obrusem okryty stolik, który postawiono na środku izby. Pięciu synów Mehmed-beja zasiadło na podłodze dokoła stolika, obok ojca i gospodarza domu. Syna jednak tego ostatniego nie było.

— Derwisch-bej, gdzie jest?... — zapytał niewolnika.

— Nie wiem, effendim... — była odpowiedź zapytanego. — Szukaliśmy go w konaku i za konakiem...

— Hm... — mruknął pasza i brwi zmarszczył. — Przecież się nigdzie nie podział...

— Może się w mieście, za wałami, zabawiał...

Pasza ramionami ścisnął z nieukontentowaniem na myśl, że jeśli tak jest w rzeczy samej, to dla syna jego warta będzie musiała rozkaz przełamać

i bramę po zachodzie słońca odmykać. Wolałby, żeby tego nie było. Sam jednak uznawał słuszość domysłu niewolnika, z powodu niepodobieństwa, jakie zachodziło co do pobytu Derwisza-beja o tej porze w twierdzy gdzieindziej jak w konaku.

— Dawajcie jeść...

Służba przyniosła wody do mycia rąk i serwety do obcierania takowych. Gospodarz i goście przemywali palce nad miednicą miedzianą, okrytą pokrywą wyrzynaną w dziurki podłużne i posiadającą z wierzchu podstawkę na mydło; każdy dostał serwetę osobną, którą kolana osłonił; następnie wniesiono blat wielki mosiężny, obstawiony dokoła połamanym gorącym chlebem; postawiono blat ten na stoliku i rozpoczęło się wnoszenie miseczek z jadłem, które szybko zmieniano. Do *czorb* (polewek), których kilka rodzajów w ciągu wieczery podawano, były łyżki okrągłe drewniane; potrawy zaś twarde i sypkie brano palcami z jednej wspólnej miski. Mnogość dań i rozmaitość takowych europejskiego kucharza w zdumienieby wprowadziła. Wniesiono i odniesiono półmisków, a raczej miseczek — dawano bowiem wszystkiego potrosze — ze trzydzieści przynajmniej. Podano pod koniec misę dużą a na niej, w stożka kształcie, pilaf dymiący się oparem, na którym się gotował. Znako-mite to jadlo. Zalecamy je smakoszom, z tym dodatkiem, że potrzeba na nie na Wschód jechać, tam bowiem tylko umieją je przyrządzać. Tam

również i jeść pilaf oryginalnie umieją, układając z czterech palców rodzaj łyżki, za pomocą której nabierają ryż sypki i niosą go do ust bez uronienia ziarenka jednego. Wieczernię zakończyły słodycze: hałwy, rachatlukumy, makarony cukrzane, ciasta w miodzie i sokach smażone. Do picia: woda i rodzaj lemoniady buzą zwanej.

Pod koniec wieczery zjawił się nagle Derwisch-bej.

Oryginalnem było zachowanie się jego. Wszedł, obuwia nawet nie zrzucił, stanął przy wieczerzających i w boki się rękami wziął. Ojciec spojrzał mu w twarz i od jednego oka rzutu dostrzegł na niej rozplómiwienie takie, że nie mógł onego przypisać czemu innemu, tylko wpływowi napojów przez proroka zakazanych.

— Pijany... — pomyślał sobie.

Przypuszczenie to tem było do prawdy podobiejszem, że Derwisch-bej stał i sam się do siebie uśmiechał.

Paszę wstyd przejął. Młodzieńcowi nie zdarzyło się nic podobnego nigdy: trzebaż było, ażeby wypadek ten spotkał go w obecności starego Mehmed-beja, człowieka szanownego i przepisów Koranu surowo przestrzegającego. Lękał się więc ojciec do syna odzywać. Udawał, że go nie widzi i czekał, przewidując, że się sam zdradzi ze stanem, hańbę na muzułmanina ściągającym. Szczęściem goście, wieczerzą zajęci, nie zwracali na zjawisko to uwagi.

Derwisz-bej przez chwilę powstał i odszedł. Pasza odetchnął, jakby mu się ciężar z duszy zwałił.

Niebawem jednak młody człowiek znów wszedł, ale w stanie całkowicie zmienionym. Zrzucił pantofle przy baryerze, zbliżył się do stołu, usiadł, pozdrowił ojca i gości... paszę w zdumienie wprowadził.

— Przecież — pomyślał sobie — wytrzeźwić się w minut kilka nie mógł, a zatem pijany nie był...

Był jednak zadumany. Coś mu się więc przytrafić musiało.

Hadži-Mustafa nie uważał za rzecz stosowną, brać syna wobec gości na indagacyą. Ograniczył się więc zapytaniem, odnoszącem się do stanu żołądka jego. Derwisz-bej odpowiedział, że nie głodny.

— Czyś jadł co?...

— Nie głodnym; nicbym jeść nie mógł...

Po wieczerzy wszczęła się na nowo rozmowa o wypadkach wojennych przewidywanych.

— A!... — odezwał się Derwisz-bej tonem takim, jakby co sobie przypomniał nagle. Paswan-Oglu wszedł w dwa tysiące Arnautów; jest z nim osiemset jańczarów, którym przewodzą: Mehmed-aga, Aganli i Kiucziuk-Ali...

Hadži-Mustafa wypatrzył się na syna wzrokiem, który mówił: skądże masz wiadomość tę? Nie pytał jednak, pozostawał bowiem jeszcze pod wpływem pierwszego wrażenia. Młodzieniec mówił dalej:

— Nie ma ze sobą ani jazdy, ani artyleryi...

— O!.. — zawołał Mehmed-bej. — Kiedy tak, to nie bardzo on straszny!... Jam obliczał jego na tysiący pięć przynajmniej... No, to chodzi o to tylko, ażeby się spieszyć i co najprędzej w pole wyruszać... W półtora tysiąca, w tysiąc koni radę mu damy... Trzeba tylko czatami go otoczyć, tak ażeby zawczasu wiedzieć, w którą się on obróci stronę: czy uderzy na Tiupriją, czy na Pożarewac?..

---

## 10. Sprzymierzeńce niepożądani.

---

W południowej od Białogrodu stronie rozlega się podniesiona znacznie nad poziom wód płaszczyzna, zwana Wraczar. Płaszczyzna ta tem pamiętna, że Turcy, tępiąc w Serbach uczucia patryotyczne, dokonali na niej czynu, godnego figurować obok środków, przedsiębranych przez Niemców, w celu wytępienia patryotyzmu w Czechach. Logika tępielstwa tego rodzaju do jednych zwykle i tych samych doprowadza rezultatów: podając ogień, jako środek najskuteczniejszy.

— Ognia!... — wołają ci, co się mają za narzędzie Opatrzności dziejowej — ognia!... Zakładajmy stosy! wyprowadzajmy w górę płomień, iskry, dymy!... niech z dymem idą świętości pokonanych!... niech w płomieniach niszczeją zarodki ich uczuć!...

Ogień jednak nie niszczy, lecz przetwarza. Nie wiedzieli snadź o tem Niemcy, paląc książki czeskie; nie wiedzieli o tem Turcy, skazując na stos całopalny kości patrona Serbii, świętego Sawy,



i rozsiewając na wiatr popioły. Dzieło to polityki głębokiej dokonaniem zostało na polach wraczarskich. Turcy do sumy krzywd dorzucili jedną więcej, figurującą w dziejach w znaczeniu psoty żakoskiej, nie będącej w stanie zmienić koryta, którem płynie logika dziejowa. I Niemcom się rzecz podobna z bibliotekami czeskiemi przytrafiła! Sądzili, że zabili naród, a oni tylko zohydzili siebie.

Na polach wraczarskich, na których przed laty duch psotliwości złośliwej podkładał ogień pod kości patrona Serbii, w epoce powieści naszej ciągnęły się szeregami namioty białe, zdobne w symbole wiary świętej islamu. Nad każdym namiotem wionął proporzec czerwony; na każdym proporcu odbijał półksiężyc złocisty. Przed szeregami namiotów stały szeregi koni, uwiązanych za nogi do wbitych w ziemię kołków. Konie maści różnej, ale wszystko dzielne i zrebce same — kręciły się niecierpliwie, rozglądały się, uszami strzygły, gdy zaś zarżał jeden, wnet inne głos podchwytywały i formował się chór rżenia końskiego, który budził echa w dolinie Topczidere, w wąwozach Rakowicy i na stromych spadkach Awali. W chórze tym było coś imponującego.

Któżto porozbijał namioty i poustawiał szeregi koni?

Pytanie to moglibyśmy bez odpowiedzi pozostawić: któż bowiem z poprzednich powieści niniejszej

rozdziałów nie domyśli się, że byli to spajowie, co na wojnę wystąpili!

Poeci mają niektóre porównania trafne, których często używają. Jednem z takich jest lampa co dogorywa, oznaczająca, przez roztoczenie w ostatniej zgaśnięcia chwili wielkiego kręgu światła, potęgę konającą.

Spajowie wystąpili świetnie, na dzielnych koniach, w bogatym ubraniu, w uzbrojeniu, którego szczegół każdy na osobny zasługiwałby opis. Kapało z nich od złota i kamieni drogich. Tkwiła w wystąpieniu takim racya polityczna. Chodziło o spółzawodnictwo z rajami, o zaćmienie ich, o oślepienie okazem majestatu klasy, zagrożonej przez nich w stanowisku swoim. Bez zmagania się przeto, bez narad uprzednich, instynktowo niemal, spaja każdy, otrzymawszy powołanie do szeregów, wziął konia najdzielniejszego, włożył na niego i na siebie co posiadał najkosztowniejszego, i tak wyruszył. Na to nie potrzeba było i narad. W ludach najdzikszych i najucywilizowańszych — z rzadkimi, bo dającymi się na dwóch palcach policzyć wyjątkami — działanie na wyobraźnię za pomocą koni, rzędów i strojów używane jest, jako sposób najskuteczniejszy na wzbudzanie uszanowania w motłochu. Dzicy stroją się w pióra około bioder i na głowie i w kolczyki w nosie; ucywilizowani w mundury złotem szyte, w gwiazdy na piersiach i w płaszcze gronostajami podbijane; lord - mer

miasta Londynu, występując paradnie, używa nie samych tylko koni w pozłocistych szorach i czubach, ale oraz jeleni i małp. Nie dziw przeto, że spajowie tureccy, mając te same cele na widoku, co patryarchalni przedstawiciele pokoleń indyjskich i lord-mer miasta Londynu, wybrali się na wojnę w złocie i kamieniach drogich.

Z kraju na prawo, nieopodal od drogi prowadzącej z Topczidere do Białogrodu i równolegle do takowej, stało w jednym rzędzie trzy namioty, odznaczające się przepychem szczególnym. W pierwszym przebywał Mehmed-bej z synem najmłodszym, w drugim syn najstarszy z przedostatnim, w trzecim dwaj synowie średni. Namioty nie były wielkie — zwyczajnie wojenne — ale za to z białego jak śnieg płótna, ze szlarkami i frendzlami, słup zaś, na którym się rozpinały, kończył się u góry gałką, złożoną, na której się wznosił półksiężyc z zaostrzonymi, ku niebu zwróconymi rogami. Saisy opatrywali im konie. Oni dniami całymi siedzieli, przy płótnach otwartych, na kilimkach wzorzystych, palili fajki lub nargile, pili kawę i czekali. Sielacy, co drogą przechodzili, widząc ich, powiadali z uszanowaniem, bojaźnią pewną podszytem:

— Mehmed-bej i pięciu synów jego...

Mehmed-bej i pięciu synów jego czekali. Dnie po dniach mijały, czas się im dłużył; starzec się niecierpliwił. Wojownicy ściągali się powoli, pomimo że nieustannie przybywały namioty szare. Liczba

atoli ogólna wzrastała bardzo powolnie, a to z tej przyczyny że spajowie do wybrania się takiego, z jakim występowali, potrzebowali czasu niemało. Przybywali dworno i zapaśnię, ze służbą i żonami. Te ostatnie przyjeżdżały we wozach dużych, okrytych baldachimami i osłoniętych firankami, złoconych, malowanych, skrzypiących straszliwie i ciągnionych przez bawoły, w jarzma rzeźbione zaprzężone i w kutasy sute przyozdobione. Wóz taki nazywa się *haraba*. Są to haremy przenośne. W obozach przystosowują je do namiotów i prawowierny oddawać się może spoczynkowi takiemu, do jakiego go koran upoważnia. Sam Mahomet bez żon wypraw nie robił. Wodzowie tureccy, przed zaprowadzeniem reform, nie umieli się bez haremu obchodzić. Spajowie więc wychodząc na wyprawę wojenną sumptem własnym, uważali się za upoważnionych do zabrania ze sobą małżonek, a to jeżeli nie dla czego innego, to dla samego nadania sobie akcentu mężów poważnych. Służby więc było mnóstwo, jak ciurów w dawnych wojskach polskich; tabor ściągał się ogromny, a wojowników liczyło się niewiele. Liczba ich wszakże powiększała się z dniem każdym, z godziną każdą.

Tak upłynął tydzień jeden cały i drugiego połowa.

Szczęściem Paswan-Oglu nie posuwał się w głąb kraju. Zwiady widziały wciąż wojska jego w Krajinie, przenoszące obóz z miejsca na miejsce, na-

stawiające się raz do przejścia przez góry, znów do okrażania na Zajczar i jakby oczekujące na ruchy, jakie hadži-Mustafa przedsięwzięmie, ażeby się do takowych zastosować. Wiadomości inne domyślać się kazały innych przyczyn opieszałości Paswana-Oglu. Donoszono o niezgodności, panującej pomiędzy wodzami jańczarskimi. Mechmed, Aganli i Kiucziuk-Ali nienawidzili jeden drugiego; i gdyby nie stary Foczicz, ojciec pierwszego z nich, który umiał nadwerężaną często harmonię przywracać, przychodziłoby nieraz do krwawych pomiędzy hufcami jańczarskimi zatargów. Czy tak było w rzeczy samej? a jeżeli tak było, czy wpływało to na plany wojenne Paswana? Na pytanie to nikt stanowczo odpowiedziećby nie umiał. Nagi fakt wyrażał się w ten sposób, że zwłoka w posuwaniu się naprzód ze strony Paswana arcyprzymyślnie oddziaływała na spajów, dając im czasu podostatkiem do zgromadzenia się w siłach stosownych.

W konaku wrzała czynność. Hadži-Mustafa od rana do wieczora załatwiał sprawy różne, których było mnóstwo ogromne, ze względu na to, że każdy do obozu na Wraczarze przybywający spaja stawiał się niby korpus wojska oddzielny: każdy przeto uważał sobie za obowiązek paszy *salam* oddać, *sawa* - albo *akszam* - *alachajresen* jemu powiedzieć i kawy się u niego napić. Z każdym trzeba było pogadać. Szczęściem jeszcze, nie przybywali oni z planami kampanii, więc pod tym przynajmniej

względem pasza spokój miał. Ba! gdyby na miejscu spajów była brać nasza, nie przywoziłaby może małżonek ze sobą, ale za to... ileż planów! Co to tego, bywało w pospolitem ruszeniu każdym i przy okazji każdej! Spajowie tureccy różnili się pod tym względem od praojców naszych. Obeszło się bez planów kampanii.

Nie obeszło się jednak bez kłopotów, które w postaci drażliwej bardzo nasuwały się paszy ze strony rajów. Knieziowie i kmetowie przybywali jeden po drugim i ofiarowali usługi orężne narodu w obronie praw sułtana, oświadczając się przytem dla tronu z przywiązaniem nazbyt szczerem, ażeby zmyślonem być mogło. Nie wypadało ich szorstką zrażać odmową. Hadżi-Mustafa dziękować musiał każdemu z osobna.

— My jednak podziękowalibyśmy tobie, paszo-effendim -- powiadał niejeden — gdybyś dozwolił nam krew za cara naszego przelać...

— Car będzie wiedział o ochocie waszej... Zre-sztą... oręża... niema...

— Iii... o to niech cię głowa nie boli...

Pasza słowa te mimo uszów puszczał.

— Nie potrzeba, ludzie dobrzy... — perswadował. Obejdzie się bez pomocy waszej... Pełnicie służbę waszą względem cara inaczej...

— No, jak?... — dopytywał ten i ów.

— Płacicie *poriez*, dajecie *kuliuk* i szarwarki, robicie swoje... Niechże spaje robią swoje!... Oni

od tego, żeby było komu głową w potrzebie nakładać... Tak być powinno i bez tego nie byłoby porządku... *Kowacz* kuje żelazo, *abadźi* odzież szyje, *czizmar* obuwie robi: cóżby to było, gdyby *kowacz* zechciał obuwie robić, *abadźi* żelazo kuć a *czizmar* *haliny* *prawić*!... Niech więc spajowie idą na *duszmara*, wy zaś pozostawajcie przy zajęciach waszych spokojnie: dacie tem dowód przywiązania do cara lepszy, aniżeli gdybyście kilku *Arnautów* lub kilku *jańczarów* ubili...

— Oj, *majko* ty nasza, *hadźi-Mustafo*!... — odpowiadali knieziowie i kmetowie. — Jak ty oto *lepo zborisz*!... Słuchać cię miło... Jednakże coś i ja powiem tobie — rzekł jeden z dostojników gminnych. Posłuchajno i ty czegoś. Czy człowiek, *kowacz*, *abadźi*, *czizmar*, spaja i raja, jednakowo jeść i pić nie potrzebuje?...

Pasza odpowiedział głowy skinieniem, potwierdzenie oznaczajacem.

— Czy nie potrzebuje on jednakowo jednego i tego samego powietrza do oddychania?

— Tak... — pasza na to.

— Czy nie potrzebuje każdy jednej i tej samej *otaczbin*y do życia po ludzku...

— Tak...

— Otóż widzisz, *paszo-effendim*, zły to porządek, co jednemu każe płacić, kuliuczyć i w ziemi się grzebać, a drugiemu głową nakładać.. Powinaby być jedna dla wszystkich miara...



Mustafa-pasza nie miał na to odpowiedzi innej, tylko odwołanie się do Pana Boga. Naturalnie, panem Bogiem gębę chłopu zamknął. *Sic deus vult*, powiedział — po turecku. Sielak się przekonał, ale ramionami wzruszył i głową pokręcił.

Takie i tym podobne rozprawy miewał pasza ustawicznie; powściągał jak mógł humor wojowniczy Serbów, tem bardziej że dochodziły go słuchy, jako się naród rusza. Donoszono mu o kupach zbrojnych, pokazujących się tu i ówdzie, o czetach po stu, po półtorasta ludzi, ciągnących pochodem formalnym aż z Podrinia, aż z Maczwy. Stawiało go to w położeniu kłopotliwym. Co miał czynić? Wydać nakaz nie ruszania się Serbom? Anużby nie posłuchali! Kwestyę tę wytoczył na mizliszu i ku wielkiemu zdziwieniu swemu usłyszał z ust mułły radę umiarkowaniem nacechowaną a z jego własnem zdaniem zgodną.

— Dać im pokój... — były słowa mułły. Dwóch robót razem robić, dwóch wrogów naraz zaczepiać nie można... Trzeba pierwszej skończyć z jednym...

— *Ewet!*... — podchwycił Mehmed-bej — tylko prędko... tylko prędko...

Minęło dni dziesięć, minęło dni piętnaście. Obóz na Wraczarze rżał chychotem żrebców tureckich, aż słuchać lubo było, szczebiotał głosem hurys, wyglądających błyszczącym oczkiem z poza firanek harab, aż się około serca słodko robiło, kurzył się

dymem ognisk i pachniał wonią tiutiunu i tumbeki że się człowiekowi wydawało, jakby się znajdował w przedsionku siódmego nieba, w którym najwerniejsi z wiernych nic innego nie robią, tylko szczerbiotu hurysek słuchają i fajki palą.

Nie mogło jednak trwać tak do świata skończenia. Obliczenie wojowników ten dało rezultat, że jest ich mniej jak dwa tysiące, więcej jak tysiąc. Dokładność pod tym względem była niepodobną, a to z tego powodu, że Turcy zdolnymi są w wielu względach, tylko nie we względzie rachowania. Omer-pasza (mówimy o generalissimusi z 1853—56) nigdy nie wiedział, ile ma wojska pod sobą. Na półwieku przed nim świadomość podobna stanowiła zadanie nie do rozwiązania. Obliczało się w przybliżeniu; na dwa tysiące, tysiąc mniej, tysiąc więcej, rzeczy nie stanowiło.

Setni stanęło osiemnaście, ale to dlatego, że znajdowało się osiemnastu *delich*, którzy przy szwadronach tureckiego pospolitego ruszenia pełnią funkcję podwójną: błaznów i doboiszów. Pierwsza zależy na tem, ażeby żartami i ubiorem zabawiali wojowników — stroją się więc dziwacznie, w pstre barwy i w kołpak śpiczasty z piórkami, świecidełkami, zwierciadełkami i lisim ogonem; druga zależy na wybijaniu taktu pałeczkami na deszczulce, którą przed sobą na kuli przedniej od siodła lokują. Było ich osiemnastu; więc, ażeby nikt krzywdy nie miał, podzielono jeźdźców na osiemnaście mniej

więcej równych części, nad każdąznaczono setnika, każdemu setnikowi dodano jednego deliego do boku i po upływie dwóch z górą tygodni obozowania na Wraczarze ruszono w pochód. Miano wyjść o świcie. Dopiero około południa wojsko stanęło pod bronią w linii jednej, setnia obok setni, z buńczukami przed frontem, ze sztandarami w odstępach, w pogotowiu do przeglądu.

Przegląd czynił hadzi-Mustafa.

Wyjechał na białym koniu z czerwoną grzywą i czerwonym ogonem. Gdy na środek poskoczył i konia osadził, pochyliły się ku niemu buńczuki, wionęły sztandary, pomrukiem pozdrowienia odezwali się rycerze. Przejechał w prawo, nawrócił, przejechał w lewo, na środku znów konia osadził i przemówił gromkim głosem, przypominając wojownikom Allaha na niebie i jego na ziemi namiestnika, padyszacha, zalecając posłuszeństwo staremu Mehmed-bejowi i powierzając im syna, którego na miejscu swoim wysyła, ażeby za padyszacha życie hazardował. Derwisz-bej nie miał dowództwa osobnego, funkcję jednak, jaką sprawował, przyrównałby można do funkcji szefa sztabu przy wojsku regularnem. Po przemowie, hadzi-Mustafa szablą skinął. Setnia od prawego zwróciła się w prawo; inne wykonały zwrot ten sam; dobosze-błazny zakłatali i wojsko ruszyło.

Za wojskiem pociągnął tabor długi skrzypiący.

— *Ur-attach!*... — zawołał pasza na syna.

Poszli.

Ślicznym był wojska tego pozór! Stroje różnobarwne, złotem i srebrem szyte, oręże błyszczące, zawoje i kity oczy zrywały. Nie wiedziałeś na kim wzrok zatrzymać. Każdy niejako żołnierz prezentował się osobno, nie tak jak w armiach mundurowanych, co to, gdyś widział jednego, widziałeś wszystkich. Na czele starzec białobrody, marsowego oblicza, herkulesowej budowy, na brudno-kasztanowatym koniu, co niósł go tak lekko, jakby piórko miał na grzbiecie. Obok młodzieniec smukły i szykowny na siwym ogierze, przebierającym nogami jak tancerka w balecie. Za nimi wężem długim kolumna jeźdźców, połyskująca światłami, mieniająca się barwami, falująca się posuwistym ruchem rumaków i szczękająca chrzęstem oręża, piękna i groźna.

Mehmeda-beja oblicze promieniło zadowoleniem.

Derwisz-bej był zadumany.

Moglibyśmy zapytać: o czym on dumał? O czymże, jak nie o czarnych oczach, które dwa tygodnie temu znów mu się pokazały i znów tajemniczo — i o słowiczym głosie, który dwa tygodnie temu znów mu w słuch śpiewem rajskim wpłynął, ale już, nie jak dawniej, dwoma wyrazami, tylko potokiem słów i cyfr:

— Paswan-Oglu wszedł w dwa tysiące Arnautów; jest z nim osiemset jańczarów, którym prze-

wodzą: Mehmed-aga, Aganli i Kiucziuk-Ali... Niema z nim ani jazdy, ani artyleryi...

Mówiła idąc, szła płynąc niby, ukazawszy się zajętemu wieściami wojennemi młodzieńcowi tak nagle i niespodzianie, jakby ją o zmroku wieczornym wiatr z obłoka zwiął.

— Kto ty?... skąd ty?...

Zapytania te w powietrzu zabrzmiały, lecz odpowiedzi na nie nie było. Postać niewieścia, coby takową dać mogła, usunęła się w uliczkę odludną, dzielącą ogród paszy od ogrodu mułły i w uliczce tej znikła. Derwisz-bej puścił się był za nią w poгон, lecz nadaremnie. Zdawało się, że nie była to istota, którąby dognać i ująć można, że feredzie, jaszmak i meszty służyły jedynie do przebierania się istocie bezcielesnej, pokazującej się i znikającej, jak ogień na bagnie.

Znikła w odludnej uliczce, którą Derwisz-bej pędem na wylot przebiegł i pędził dalej w linii prostej, aż uderzył się piersiami o przedpiersie wału fortecznego. Stało się mu to samo, co za pierwszym razem w czasie świąt Bajramu.

— A!... — w czoło się dłonią uderzył.

Domyslił się, że i za pierwszym razem czarnooka znikła w uliczce odludnej.

Domysł ten należał do rodzaju ćwieków, wbijających się w mózg ludzki, od których w myślach powstaje zamęt, podobny do tego, jaki sprawia wichor, co na drodze kurzawą i liśćmi kręci.

Nie dziw przeto, że dwa tygodnie temu, młodzieniec wydał się pijanym.

Nie dziw, że gdy myśli w głowie nieco uporządkował i o wypadkach rozmowę usłyszał, wnet powtórzył dosłownie wyrazy, które mu nieznajoma w słuch wlała.

Nie dziw nakoniec, że dwa tygodnie później, idąc na wojnę i opuszczając miejsce, w którem miłość w tak dziwny do serca jego zakołatała sposób, w zadumę wpadł. U boku mu szabla krzywa w jaszczurowej pochwie zwisała; z za pasa mu głównie perłami wysadzone pistoletów wyglądały; pod nim koń lotny, to szedł spokojnie, to niekiedy na tylnych nogach przysiadał a przednie w powietrze wznosił, jakby się miał ponad ziemię wzbić i z rycerzem po obłokach cwałować; za nim szwadrony, na widok których serce się radowało; wszystko to do fantazyi recerskiej głośno przemawiało i umysł młodzieńczy w najwyższym stopniu zająć było powinno; on jednak był zadumany — czarne oczy czarodziejki po nieznanych jakichś ścigał przestworach.

Nie dziwmyż się mu. Młodość ma prawa swoje. Dodać jednakże jak najprędzej należy, że zaduma nie opanowała umysłu Derwisza-beja samowładnie. Znikała ona powoli, w miarę jak się wojsko od stolicy oddalało. Na pierwszym przestanku jeszcze znać ją dobrze było, na noclegu trochę mniej; na-  
zajutrz rano wystąpiła silniej niż dnia wczoraj-

szego, lecz zato krócej trwała; w dniu trzecim panowanie jej ustąpiło ostatecznie na przeprawie przez rzekę Morawę, a to z tego zapewne powodu, że się Derwisch-bej skąpał niechcący w zimnej wodzie. Koń jego na prom wchodzić nie chciał. On go naglił, zrazu łagodnie, cmokając i klaskając; widząc jednak, że to nie skutkuje, zniecierpliwiony spał siwego ostrymi rogami strzemion szerokich i ten chlusnął z miejsca kilku susami, przez prom wichrem przeleciał i na drugiej onego stronie wraz z jeźdźcem do rzeki wskoczył. Plusk się rozległ ogromny, bryzgi skoczyły, woda się rozstąpiła i zwarła, pokrywając sobą na chwilę konia i rycerza, którzy jednak wnet spłynęli i na brzeg przeciwny bez pomocy promu się dostali. Derwisch-bej wypłynął, ale miłosna jego zaduma utonęła — zaduma tylko, powiadamy wyraźnie. Można przecie kochać się bez roztargnień.

Nie będziemy podawali czytelnikowi dziennika pochodu. Skreślimy raczej w krótkości, przez hadzi-Mustafę pomysłany a przez Mehmed-beja wykonywany, plan operacyj wojennych, plan, który zresztą nastęrczał się sam przez się.

Wprost przez góry prowadzić jazdy nie można było, więc manewrować ona musiała w sposób taki, ażeby zwabić przeciwnika w okolice otwarte. W tym celu pociągnęła w górę Morawy, odsłaniając przez to Białogród, do którego Paswan-Oglu, gdyby się chciał najkrótszą dostać drogą, prze-



chodźby musiał przez postawione w stanie obronnym Pożarewac i Smyderewo. Potrzebowałby zatem szturmować i zdobywać dwa te miasta, co dałoby jezdzie czas wrócić się i atakować go w pomyślnych dla niej warunkach. Gdyby jednak pasza Widdynia nie dał się w tę matnię wciągnąć, w takim razie nie pozostawało co innego, jeno posuwać się ostrożnie ku Niegotynowi i szukać zaczepki.

Owóż, skończyło się na tem, że Paswan-Oglu zwabić się nad Mławę ani nad Morawę nie dał i jazda spajów, po dziesięciu dniach macaniny, znalazła się na teatrze działania nie bardzo dla niej dogodnym, w obliczu nieprzyjaciela, który, jak się zdawało, czekał na nią niby kot na ptaka zaczajony. Trzeba było postępować z ostrożnością jak największą, stawiając kroki, jak ślepy co laską się poprzedza i gruntu próbuje. Zdarzały się wprawdzie płaszczyzny, na które, gdyby piechota wystąpiła, to jazdaby ją na kopytach rozniosła; lecz przejścia od takiego punktu jednego do drugiego przedstawiały niebezpieczeństw pełno. Zamieniły się więc usposobienia dusz pomiędzy starym Mehmed-bejem a młodym Derwisz-bejem. Ten ostatni, jak był zadumany na początku pochodu, tak obecnie, wobec ustawicznej groźby śmierci, wyglądał z poza krzaków i kamieni, odzyskał swobodę umysłu i humor jak najlepszy; gdy przeciwnie staremu wodzowi, tak wesołemu w chwili ruszenia

z obozu na Wraczarze, chmura troski na czole osiadła. Frasował się starzec. Stawał tu, przechodził na inne miejsce, cofał się, wysyłał zwiady i podjazdy. Zwiady przynosiły wiadomości niekoniecznie zgodne co do podań. Według jednych Paswan znajdował się w Brza-Palance, według drugich w Kladowej. Podjazdy ucierały się z kirdżalimi, którzy się po pustej wałęsali krainie, i dostawały języka, który jednak na nic się nie przydał, albowiem kirdżałowie żadnych pewnych i dokładnych dać nie umieli objaśnień: dlatego też zapewne nie wdawał się z nimi starzec w koro-wody długie; każdemu przyprowadzonemu zadawał pytań kilka i natychmiast wieszać go kazał. W ten sposób wyekspedowanych na tamten świat zostało około tuzina rabusiów i przyszło do tego, że już ich nie prowadzono przed wodza, jeno egzekwowano bez wyroku. Jak tylko kirdżali — na gałąź z nim!...

— Na gałąź z nimi!... — rozległy się razu pewnego wołania od ognisk, gdy powracający z rekonesansu podjazd prowadził przez obóz dwóch ludzi, siedzących wierzchem na jednym koniu.

Wołanie to sensu nie miało, jak na toż bowiem, na obszarze, na którym obóz założono, drzew nie było na lekarstwo. Pomędzy Niegotynem a Dunajem rozlegają się płaszczyny bezleśne, bujną trawą pokryte. Dlatego też jeden z podjazdu odpowiedział:

— Na gałąź?... gdzież ją wziąć?...

— Jednego możnaby i na krzaku powiesić!..

— A drugiego?...

Jeden z nich był to człowiek wzrostu małego, drugi chłop ogromny. Zachodziła tu jeszcze i ta okoliczność, sprzeciwiająca się egzekucyi doraźnej, że jeden z jeńców był kirdźali niewątpliwy, drugi zaś Serb najprawdziwszy. Pojmano ich razem, na jednym koniu i, jak pojmano, tak przyprowadzono, nie wiedząc, bez decyzji Mehmed-beja, co zrobić ze skojarzoną w ten sposób parą. Serb i kirdźali — ogień i woda: dwójca ta była rzeczywiście tak dziwną i niepojętą, że stawienie jej przed obliczem wodza stało się rzeczą konieczną.

— El... — krzyknął Mehmed-bej, gdy ich związanych, z daleka zoczył. — Ciebie, mało, pociągnęło, jak wilka do lasu?...

Słowa te stosowały się do człowieczka wzrostu małego.

— A coś pociągnęło ciebie?...

Zapytanie to odnosiło się do olbrzyma.

— My pobratymi... — odpowiedzieli głosem jednym.

— Powinniście więc byli w domu razem cicho siedzieć...

— *Kauga...* — była ich odpowiedź.

— Cóż z tego!... Tobie zapachniała *placzka*... — rzekł do małego. — A coś ciebie *kauga* obchodzi?.. zapytał słusznego.

— Nie wiem ja — odpowiedział zapytany — co mnie ona obchodzi, szli inni, więc i mnie się zachciało...

— Z nim?... — ukazał gestem na małego.

— Bo on mój *pobro*, bo on ma oręż, a ja, jak widzisz, nic... Więc zmówiliśmy się *barabar*, wsiedliśmy na konia jednego i szukamy, jakby to zdobyć oręż, żebym się i ja uzbroić mógł...

— Z kimże idziecie?... — zapytał starzec małego.

— Jakto, z kim?... On ze mną a ja z nim...

— Jakiej trzymacie się strony?...

— Jak się zdarzy... prawej, lewej... schodzimy ludziom z drogi, a ciągniemy do Brza-Palanki, słyszeliśmy bowiem, że tam Paswan-Oglu taborem leży...

— Do niego więc?...

— Nie do niego, a na niego... — odparł wielkolud.

— We dwóch?...

— To dlatego tylko, że ja z gołemi rękami... — odrzekł chłop duży pokornie. — Potrzeba mi więc najpierw puszkę zdobyć; a że słyszę, u Arnautów Paswana-Oglu puszkę wszystkie gwintowane więc...

Mechmed-bej z odpowiedzi tych przekonał się, że jeńce ani w intencji nawet grzechu takiego nie popełnili, ażeby na śmierć zasługiwali. Nadto, obaj byli mu znani osobiście. Wielkolud był to Urun-Mirko, o którym była już w ciągu powieści niniej-

szej wzmianka ; człowieczek zaś wzrostu małego był to nie kto inny, jeno Arnauta ekskirdźali, z którym zabraliśmy znajomość poprzednio. Wiemy, że wiązało ich pobratymstwo, skutkiem którego ochota Arnauty do rabowania Serbów, gdyby się w nim i obudziła, była z góry zneutralizowaną. Mirko nie mógł iść za pobratymem przeciwko braciom. Z drugiej znów strony, skrupuł podobny nie wiązał Arnauty w odniesieniu do spółziomków jego, znajdujących się w szeregach Paswana i w drużynach kirdżałskich. Jemu to wszystko było jedno. Względy te nasunąć się musiały Mehmed-bejowi do umysłu, kazał bowiem jeńców rozwiązać i z pod straży ich uwolnić.

— Ale, Kondo... — rzekł do Arnauty poufale — musisz do obozu Paswana-Oglu dotrzeć i z wiadomościami dokładnemi powrócić... Mirko tu zostanie, ażeby było komu głową za ciebie odpowiadać...

— E... — odrzekł Arnauta — *ii...* Jutro nad wieczorem spodziewaj się mnie z powrotem...

Kondzie, po pozbyciu się z siodła towarzysza, nic nie było łatwiejszego, jak przybrać rolę kirdźalego i w roli tej zwiedzić otwarcie, bez ściągnięcia na siebie podejrzania ze strony wojsk Paswana, Brza-Palanę i Kladowę. Pojechał, zwiedził i nazajutrz wieczorem był z powrotem w obozie, przywożąc wiadomość dokładną o stanowisku nieprzyjaciela. Wiadomość ta tego była rodzaju, że Mehmed-bej, nazajutrz posunął się naprzód z za-

miarem atakowania przeciwnika. Nagliło go do tego względów wiele, najbardziej jednak ten, że Paswan-Oglu powołać mógł posiłki z Widdynia i wziąć go we dwa ognie. Tego się stary wódz lękał, postanowił więc spróbować szczęścia i, w najgorszym razie, cofnąć się w porządku, zadośćuczyniwszy honorowi wojskowemu.

Obóz pozostał pod przykryciem pięciu setni i służby, która, w otwartem polu nie przydatna do niczego, mogła jednak z poza wozów dać nieprzyjacielowi odpór chwilowy.

Ruszyli więc spajowie naprzód spiesznym pochodem, chcąc się szybko przepchnąć przez dzielące ich od nieprzyjaciela wąwozy. Marsz wymagał dnia całego. Więc się nad wieczorem zatrzymali, nocowali koni nie rozsiodlując; spodziewali się wraz ze wschodem słońca spaść Arnautom na karki.

Noc upłynęła w ciszy uroczystej, zwyczajnie jak noc przed rozprawą krwawą. O świcie oddział, ledwie zadniało, na nogach już był; jeźdźce konie opatrywali i na namaz jeno czekali, ażeby zamunsztuczyć, spopreżyć i Arnautom »Ałlach!« na dzień dobry huknąć, gdy w tem w pobliżu zabrzmiało naprzód wystrzałów pojedynczych kilka, po których nastąpił wnet ogień rześisty strzelaniny, prowadzonej sposobem ognia rotowego.

Zdumienie Mehmed-beja i podkomendnych jego było nie do opisania.

Namazu nie czekali, zamunsztuczyli, spopreżyli, na koń wsiedli i... iść dalej nie śmieli.

— Co to znaczy?... — pytał każdy.

— Czy nie jańczary pobili się między sobą?... Czy się nie pobili jańczarowie z Arnautami?...

— Konda!... — zawołał Mehmed-bej. — A Konda!... *Ne war?*... dowiedz się!...

— Chcesz, beju, wiedzieć?... — odparł wezwany. — Powiem ci bez dowiadywania się... Raja na *jurisz* idzie,...

— Raja!?... — krzyknął starzec zgrozy tonem. — Co?... jak...

— Przekradali się górami i lasami, zbierali się w gromadę coraz to większą i widać, że się już w ilości dostatecznej zebrali, kiedy... oto... odezwali się...

Starzec milczał przez chwilę, brwi groźnie marszcząc i ustami ruszając, jakby rozmawiał sam ze sobą i... rozkaz do odwrotu dał.

— *Babo*<sup>1)</sup>!... — przyskoczył Derwisz-bej. — Co to!... wracamy?

— Nie mamy tu robić co... Niech się psy jedzą!... — odrzekł starzec z przyciskiem gniewnym.

Poszli, oddalając się od huku bitwy, który się to wzmacniał, to słabł, aż około południa scichł zupełnie.

Wieczorem spajowie do obozu z wyprawy po-

---

<sup>1)</sup> *Baba, babak* — dziad, dziadunio.



wrócili. Mehmed-bej postanowił czekać na wypadki, ażeby do takowych kroki swoje dalsze stosować; tymczasem zaś przedsięwziął środki ostrożności spotęgowanej; kazał urządzić tabór, otaczając obóz wozami, strażę podwoił i całą uwagę wyteżył w stronę Kładowej, przygotowując się do jednego z dwóch: albo do rozprawy ze zwycięskim Paswanem-Oglu, co mu się wydawało rzeczą niechybną albo też do karcenia rajów, gdyby, co przypuszczał zaledwie, udało się im nad wojskami Paswana górę utrzymać i pretensye jakoweś z tej racyi rościć. Czekał więc na rezultat bitwy, co tak niespodzianie spadła i tak go mocno zdziwiła i zgorszyła.

---

## 11. Słówko jedno.

---

Czekał — doczekał się.

Zwrócony był czołem ku północy — zaatakowany został od południa. Co przewidywał, to się stało. Paswan-Oglu przywołał z Widdynia posiłki, które, jak się zdaje, wchodziły do obmyślnego przez niego planu operacji wojennej. Zdaje się, przewidział, że Mehmed-bej podzieli siły swoje, część w obozie zostawi, a z częścią przeciwko niemu wystąpi: atak bowiem obozu spajów przypadł w tym momencie, w którym Mehmed-bej, gdyby nie powrócił, byłby pod Kładową zatrudniony, i posiłki widdyńskie nie tylkoby obóz zdobyły, aleby jeszcze jazdę w wąwozach zamknęły. Starcowi zimno mroźne poza skórą przebiegło, gdy o możliwości wypadku podobnego pomyślał. I tak jednak położenie jego do nader świetnych nie należało. Z taboru wprawdzie mógł nieprzyjaciela w oddaleniu trzymać; mógł jednak oblężonym i ogłodzonym zostać, a nie sposób było ruszać, z obawy napadu w pochodzie.

W położeniu podobnem wszyscy na świecie wodzowie szukają ratunku w radzie wojennej. U-

ciekł się do takowej i Mehmed-bej. I cóż? Rezultat narady był ten, że w razie ostatecznym wojownicy się przebiją, a tabor zostanie. Dowiedziawszy się o postanowieniu tem, Derwisz-bej pomyślał:

— Gdyby owa, czarnooka, tu się znajdowała... o! nie zgodziłbym się na przebijanie się bez niej...

Dzień upłynął. Wojska z Widdynia przybyłe miały wciąż spajów na oku, czyhając, zdaje się, na pierwsze ich ruszenie się i alarmując ich powtarzanemi często demonstracyami.

W nocy demonstracye dziwny jakiś przybrały charakter. Przeniosły się z południowej strony na północną i w ten się wyrażały sposób, że kupy zbrojne, raz mniejsze, znów większe, co moment na obóz napadały. Strzelanina trwała całą noc, niewiadomo, przeciwko komu: czy przeciwko tym wojskom, co z Widdynia dniem przedtem nadciągnęły, czyli też przeciwko tym, co pod Kładową obozem stały? Dzień wątpliwość usunął. Pokazali się jańczarowie. Poznano ich po ubraniu ciemnem.

— Więc to Paswan-Oglu... — rzekł starzec. — pobił rajów i do nas się bierze... Konda!... a, Konda!... — zawołał.

Chciał go snadź na zwiady wyprawić.

— Konda!.. — podchwycono w obozie.

Nadaremnem jednak było wołanie. Konda znikł niby kamfora.

— Mirko!.. gdzie Mirko!.. Mirko głową za *pobra* odpowiada!..

I Mirka nie było.

Machnął starzec ręką i posterunki obchodzić począł, zachęcając do czujności i odwagi, zalecając dobre celowanie i zapowiadając atak nieprzyjacielski niezwłoczny, tem pewniejszy, że w dali nowe ukazały się kolumny.

Jakoż w rzeczy samej ruszyły hufce do ataku, jańczary na przedzie, wprost na obóz spajów; lecz o dziwo! nie doszedłszy na odległość strzału rusznicy, wzięły w prawo, obeszły śpiesznym chodem obóz dużem półkolem i poszły dalej; kolumny zaś owe, co się w dali ukazały, wykonały manewr ten sam, tylko ze strony przeciwnej, i w oczach spajów, rozwinąwszy się szybko w szyk bojowy, rozpoczęły ogień rzęsisty.

Rozpoczęły ogień, ale nie przeciwko spajom.

Spajowie stali się widzami bitwy zawziętej, napełniającej powietrze hukiem i dymem. Rozwijała się ona, niby w panoramie. Przeciwnicy jedni drugim kroku nie ustępowali.

Nie potrzeba było Kondy, ażeby Mehmed-beja powiadamiał, ktoto byli przeciwnicy owi. Rozpoznał starzec sam, co się dzieje, i wpadł w gniew wielki — tem większy, że w pierwszej chwili nie wiedział, co począć: czy pozostać widzem obojętnym? czy też wystąpić i wziąć w bitwie udział?

Pozostać widzem obojętnym? A nuż Paswan-Oglu rajów pobije, zwróci się siłą całą na spajów

i ich zniesie? A nuż raje zwycięstwo otrzymają i spajom powiedzą: uratowaliśmy was?..

Wziąć w bitwie udział? — po czyjej stronie?.. I to zapytanie przyszło staremu bejowi do głowy. Kazał zamunштuczyć, spoprężyć, wsiaść na koń; jazdę z obozu wyprowadził i jeszcze się wahał. Powody sprzeczne sprawiły mu w głowie zamęt. Prowadził szyki — nie wiedział na kogo; wiedział tylko, że wdanie się spajów przechyli szalę zwycięstwa na stronę jedną. Na którąż przechylić je trzeba? Tego rozstrzygnąć nie umiał.

— A! niech Allah sądzi... — rzekł sam do siebie.

Dobył szabli, podniósł ją w dłoni prawej do góry, zamknął oczy i, rzuciwszy koniowi cugle na przednią od siodła kulę, podniósł jeszcze w górę i rękę lewą i krzyknął:

— Za mną!...

Koń pod Mehmed-bejem, jak wichur, naprzód się pomiótł, na wyścigi z Derwisch-beja ogierem siwym. Oba konie okryły się kitami ogonów i sadyliły, jakby ze skór własnych wydrzeć się chciały; a jeźdźce na nich, jeden starzec z rozwianą na wiatr białą brodą, z wyciągniętymi ku niebu rękami, z szablą nagą w dłoni prawej, prosty jak świeca, drugi młodzieniec naprzód pochylony, z okiem rozognionem, z nozdrzami rozdętymi, z jataganem w rękach i krzywą szablą w garści: przedstawiali widok godny pędzla Kossakowego nawet. Spaje za

nimi z kopyta się porwali. Zadudniła głucho ziemia. Wichrem gnana chmura nie tak szybko po niebie płynie, jak garnęła się przez pola ta migocząca światłami i barwami jazda. Chwilka jedna — i już konie we krwi brnęły.

— Allah!.. — krzyknął Mehmed-bej i oczy otworzył.

Spaje tratowali i rąbali Arnautów Paswana-Oglu.

— Tak chciał Allah... — były słowa starca. — Stało się wedle woli jego... No!..

Niedługo trwała bitwa. Jazda odrazu spędziła z pola nieprzyjaciela, który w bezładnej ucieczce ratunku szukał. Arnauci i jańczarowie pojedynczo i kupami biegli, panicznym gnani strachem, biegli od rana do wieczora; wieczorem z wyjątkiem trupów i rannych, co na pobojuwisku pozostali, na gruncie serbskim ani jednego nie było nieprzyjaciela. Spaje w połączeniu z rajami odnieśli zwycięstwo zupełne.

Spaje stali taborem; raje założyli obóz opodal, pod górami.

Mehmed-bej powrócił najpierwszy. Jak tylko oczy otworzył, natychmiast szablę spuścił, cugle ujął, ściągnął, kasztana osadził, przepuścił mimo siebie nawałnicę jazdy, co huraganem pędziła, głową pokiwał, westchnął, szablę do pochwy włożył i do obozu odjechał.

— Stało się... — powtarzał. — Pytałem się

rozumu nie mojego... Tak snadź Allah w księdze przeznaczeń zapisał...

Nie mógł się jednak głębokiemu obronić smutkowi — smutkowi, z którego dokładnie sprawy przed sobą zdać nie umiał. Słyszał okrzyki tryumfu: — nie cieszyły go one bynajmniej i, co się pociechy tyczy, znajdował takową w tem tylko, że odpowiedzialność całą za następstwa zwycięstwa, odniesionego głównie za przyczynieniem się rajów, zwał na Pana Boga.

Zapewne! Pan Bóg to sprawił. Mehmed-bej miał prawo tak myśleć, zamknął bowiem oczy, nie mógł więc widzieć, że narzędziem woli bożej był w tym razie Derwisz-bej. Młody bej jechał na równi ze starcem i koń tego ostatniego poszedł wraz z koniem Derwisza-beja, który, pozostając pod wrażeniem wytkniętego w Białogrodzie celu wyprawy, zamiast w prawo na rajów, wziął się na lewo, na Arnautów Paswana-Oglu. Gdyby nie to, jazda spajów byłaby przeleciała środkiem pomiędzy stronami walczącemi. Derwisz-bej więc był sprawcą zwycięstwa mimowolnie. Stary wódz jednak nie wiedział o tem, był więc tego głębokiego przekonania, że tak Allah pokierował.

I gotów był wołać, jak zawołał »Ojciec zadżumionych« Słowackiego:

„O, Allah! akbar Allah! jesteś wielki!...”



Tak mu tryumf ten ciężył! Uważał go jako karę boską i przeczuwał w następstwie nieszczęścia jakieś. Siedział w namiocie pochylony i milczący. Cybuch od zgasłej przed paleniem fajki na kolanach mu leżał, filiżanka z kawą nietkniętą obok stała; kiedy go sługa o jadło zapytał, odpowiedział przecząco gniewnem głowy wstrząśnieniem; pierwszego z synów, co z pościgu powrócił, nie zapytał o innych, czy żyją, czy nie ranni; Derwisz-beja, zdającego relacyą z rezultatów bitwy, zbył milczeniem. Pierwszy raz przemówił nad wieczorem, gdy ujrzał przed sobą Kondę i Mirka. Mirko uzbrojon był od stóp do głowy, za pasem cztery pistolety i dwa kindżały, w ręku długa jańczarka, przy boku szabla. Widok tego ostatniego gniewem starca zapalił. Wybuchnął, klątw kilka z ust rzucił, westchnął i rzekł:

— Tak Ałlah chciał...

Pomilczał przez chwilę i zapytał:

— Czegoż wy chcecie ode mnie?..

— Starszyzna serbska chce ci, beju, czołobitność złożyć...

— Starszyzna serbska?.. — podchwycił starzec... — Nie znam innej, tylko kmetów, co mi strzemię trzymają, gdy do wsi przyjeżdżam...

— Tu jest ta, co prowadziła sielaków i waroszanów w obronie praw carskich...

— Nie znam jej i znać nie chcę... — odparł, gniewem kipiąc.

Umitygował się jednak. Wąsy dłonią rozgarnął i spokojnie przemówił:

— Pójdźcie do rai i powiedźcie jej ode mnie, niech się spokojnie po domach rozejdzie, jeżeli nie chce biedy na głowę swoją nawołać... Co się stało, to się stało... Tak Allah chciał... Ja wiedzieć o niczem nie chcę i ze starszyzną żadną gadać nie będę... To nie do mnie zresztą, ale do hadżi-Mustafy należy.., Niech się do niego z powinną udadzą głową... Ale niech oręż schowają, bo, na Ałłaha! źle będzie... Jutro spajowie rozjeżdżają się; oczy ich nie powinny, wedle zakonu, widzieć rai uzbrojonej... Idźcie i powtórzcie jej to wszystko ode mnie, od Mehmed-beja...

Na *dictum* tak wyraźne nie było co odpowiadać. Konda i Mirko, jak przyszli, tak odeszli, niosąc starszyźnie serbskiej słowa nie te, jakich się spodziewała zapewne.

Serbowie stanęli obozem, jak rzekliśmy wyżej, opodal od taboru tureckiego. W obozie ich nie było ładu wiele, ani porządków zwykłych u wojowników z powołania, ani jednakowości, znamionującej wojsko. Ludu na oko wydawało się dużo — ile jednak? — nikt nie liczył. Serbowie owocześni liczenie ludzi, lub zapisywanie do rejestrów uważali za obelgę. Ubranie przedstawiało rozmaitość wielką: jedni w siermięgach i chodakach, drudzy w cienkiej odzieży, niektórzy w strojach bogatych i w płaszczach czerwonych, niektórzy znów w mun-

durach kroju niemieckiego, a byli i tacy, co mundurowy strój łączyli na sobie z ubraniem wieśniaczem, lub mieszczzańskim. Dzielili się na *czety*, niejednakowe co do liczby ludzi: jedne po głów dwadzieścia, drugie po dwieście i więcej. Pod względem uzbrojenia panowała dowolność jak najzupełniejsza, najwięcej jednak widać było rusznic tureckich, zdobycz wojny ostatniej, wydobytą z przechowania.

Czetowodze stanowili starszyznę, w bezpośredniej z *wojnikami* pozostającą styczności. Trudno oznaczyć, jak się starszyzna ta wytworzyła: nikt jej nie wybierał i nikt nie mianował, istniała jednak na podstawie i wyborów i nominacji — wyborów domyślnych i nominacji domyślnej. Czetowodza stawał jako punkt środkowy oddziału; około niego gromadzili się ochotnicy i formowała się jednostka bojowa, stanowiąca korpus oddzielny i samoistny. Korpusy podobne zbierały się, łączyły; dowództwo obejmowali tacy, których uważali za najgodniejszych, i ci formowali radę wojenną nieustającą, która sprawowała funkcję wodza naczelnego, jednego w osobach kilku. Była to właściwa starszyzna, ozdobiona w tytuły rozmaite. Ten się mianował bulukbaszą, ów bimbaszą, inny pułkownikiem lub kapetanem, inny znów harambaszą lub po prostu kmetem, albo knieziem. Harambaszowie posiadali tytuły swoje od hajduczenia, kmeto-

wie i kniezie od sprawowania urzędów w gminach i nahijach.

Pięciu ich było. Serbowie rozsypani na dużej przestrzeni, na której ani jeden nie wznosił się namiot, spoczywali przy ogniskach; niektórzy rany opatrywali. Starszyczna zajmowała miejsca poczesne pod drzewem, którego konary namiot naturalny tworzyły. Pięciu ich było, pomiędzy nimi dwóch z widzenia nam znanych: Stojan, który na sławie w Trstnicy kołu przewodniczył, i ów, co to przyjechał na czele dwunastu jeźdźców i przemówieniem swoim koniec zabawom położył. Siedzieli w kółku, milczeli i fajkę kurzyli. Czemu nie spoczywali? Jeżeli komu, to im spoczynek się należał, oni bowiem podwójną — i wojników i wodzów — pełnili funkcją, pełnili ją z duszy całej, więc zmęczeniu być musieli podwójnie. Nie spoczywali jednak. Meteor świetny, który się im podczas bitwy pod postacią szarży tureckiej pokazał, przejął ich zachwytem i czcią, i wydało się im, że ze strony ich należy się złożyć Mehmed-bejowi czołobitność. Wydawało się im to słusznem i koniecznem. W tym celu wyprawili do obozu tureckiego Kondę i Mirka, ażeby staremu bejowi wizytę ich zapowiedzieli; na powrót posłańców swoich czekali. Ten był powód, dla którego, wzorem innych, nie wyciągali się przy ogniskach, każdy przy czecie swojej, ale zebrani razem siedzieli, milczeli i dla skrócenia sobie czasu czekania fajki kurzyli.

Nawiasem przy tej okazji powiedzmy, że zdolność czekania stanowi jeden z wydatniejszych rysów charakteru, spólnego Turkom i ludom pod ich panowaniem pozostającym. Zdolność to przejęta. Serbowie przyswoili ją sobie i posiedli w stopniu wysokim. Odbija się ona w życiu politycznem narodu i w życiu powszedniem pojedynczych onego członków. Umieją niecierpliwość stłumić w sobie i pokazać na zewnątrz oblicze obojętne a spokojne, jakby ich następstwa wyglądane nie obchodziły bynajmniej.

I w tym razie starszyzna, pomimo że czas jej długim się wydawał, czekała cierpliwie na powrót posłańców.

Powrócili nareszcie. Nie przystąpili jednak do zbadania sprawy odrazu. Pierwej usiedli, fajki nałożyli, zakurzyli i, zaciągnawszy się parę razy dymem, do rzeczy przystąpili. Głos zabrał Konda:

— Ot, idźcie spać...

— No?.. — zapytał obojętnie z wodzów jeden.

— Stary was na oczy widzieć nie chce...

Człowiek w czerwonym płaszczu i bogatej odzieży, ten sam, co sławę u Radiwoja przerwał, w majkę zaklął.

— Hm... — odezwał się jeden. — Coś w tem jest...

— Hadži-Mustafa nie byłby taki hardy...

— Cóż dziwnego!.. — odezwał się inny. — Hadži-Mustafa, choć to niby nie pozwalał rai

zbrojno występować, w duszy jednak rad był temu; słyhać nawet, że radził bydlu sprzedawać, a puszkę kupować...

— Któż to słyszał?.. — zapytał człowiek wiekiem najstarszy.

— Ludzie gadają... a co ludzie gadają, to prawdą być musi...

— Niekoniecznie... bo i dlaczegóżby gadać miał hadži-Mustafa inaczej, a Mehmed-bej inaczej!..

— Dlatego, że hadži-Mustafa od cara, a Mehmed-bej od siebie samego, albo raczej od spajów... — była odpowiedź, nie pozbawiona pewnej racjonalnej podstawy, zwłaszcza zapatrując się na takową z punktu widzenia ludu prostego, nie mającego za zwyczaj dość jasnego o wiązaniach państwowych pojęcia.

— To ty myślisz, że Mehmed-bej z carem nie trzyma?.. — rzekł ten sam, co radę hadži-Mustafy w wątpliwość podał.

Uwaga ta zakończyła dyskusję przypadkową, nie zakończyła jednak narady. Pozostawało rozwiązać nastroczającą się samą przez się kwestyą: co robić dalej? Do narady w tym względzie za punkt wychodni posłużyły powtórzone przez posłańców słowa Mehmed-beja.

Słowa te oburzyły wodza w czerwonym płaszczu.

— Co!.. — zawołał — do domów się rozejść i oręż schować!.. i znów i wciąż przed Turczyńcem czoło chylić?

Nastała chwila milczenia, które przerwał Stojan:

— Ot, podobno racyi nie ma nikt, tylko jeden Radiwoj Raicz... Prawda, brak jemu jednej nogi, jednej ręki i wszystkich zębów, ale za to nie brak oleju w głowie...

— At!.. — machnął ręką wódz wiekiem najstarszy i, jak się zdaje, najrozważniejszy. — Każdy sądzi wedle siebie... Tobie (tu zwrócił się do człowieka w czerwonym płaszczu) przykrzy się w płaninach; chciałbyś z godnością swoją wystąpić móżdż otwarcie... Ty (te słowa do Stojana wystosował) za pobratymem ciągniesz... Z Radiwoja przemawiał do Turczyna... Tymczasem, rozważywszy dobrze, nie lepszego do czynienia nie pozostaje, jak rozejść się po domach, jeżeli taka wola carska...

Człowiek w czerwonym płaszczu, widocznie harambasza hajducki, ramionami z oznaką niecierpliwości ścisnął.

— Cóż począć?.. — zapytał wiekiem najstarszy. — Czy na Widdyń iść?..

Harambasza gestem odpowiedział, że nie wie.

— Czy pozostać pod bronią w Krainie?..

— Ano...

— Któż wojowników ma karmić i odziewać?..

Znów harambasza odpowiedział, że nie wie.

— Więc cóż?..

— Czy ja tam wiem co!.. Do was, do knieziów i kmetów radzić i wiedzieć należy... To rzecz nie moja... Hajdukowanie i radzenie nie idą ręką w rękę...



— Oto mądre słowo!.. — podchwycił preopinant.

— Jam jeszcze nie wypowiedział wszystkiego...  
— odparł hajduk.

— Tyś nie powiedział tego, coś powiedzieć był  
powinien, i nie odzywaj się więcej słowem jednym...

— wmieszał się Konda.

— No?... — zapytali razem knież i harambasza.

— Tyś powinien był powiedzieć tak: kiedy się  
tak dobrze zaczęło, nie zatrzymujmyż się w poło-  
wie drogi, idźmy za rozbitkami śladem i nie myśl-  
my o jutrze...

— Gdzieżbyśmy więc zaszli?.. do Widdynia?..

— No! a choćby i do Widdynia!.. krzywdaby  
nam była?.. Wy może nie wiecie, że w Widdyniu  
jest spichlerz wielki z zasiekami ogromnymi, a w za-  
siekach tych złota pełno... Dostańmy tylko spichlerz  
ten, a nie będzie nas głowa bolała...

— Boga mi, prawdę mówi... — wsunął Mirko

— I jabym od tego nie był... — dorzucił ha-  
rambasza.

— Czemużeś nie powiedział od razu?... — za-  
pytał Konda, rad, że poparcie zdania swego znalazł.

— Bo mi spichlerz na myśl nie przyszedł...  
Człowiek ma na głowie tyle!..

— Ot, nie gadalibyście *budałasztiny* (głupstw)!..  
— rzekł wódz wiekiem najstarszy, głową poważnie  
kiwając.

— U niego *budałasztiną* nazywa się spichlerz

z zasiekami złotem zasypanemi!.. — podchwycił Konda. — Myślisz, że to nieprawda?..

Wódz ramionami ścisnął.

— Jam w Widdyniu przecie był..

— I ja był.. — poparli Kondę razem Mirko, harambasza i paru innych.

— I na własne spichlerz ze złotem widzieliście oczy?..

— Widzieć nie widzieli, aleśmy słyszeli..

— Od takich, co widzieli?..

— Nie od takich, ale od ludzi... Ludzie gadają... Zresztą, któż nie wie, że Paswan-Oglu posiada bogactwa takie, że im liczby niema!..

— Aleście widzieli na oczy własne wały około grodu?..

— No?..

— I na wałach działa?..

— Tak...

— I przy działach strażę, co się od godziny do godziny mieniają?..

— Więc cóż z tego?..

— To, że przyjść nam pod te wały z puszkami naszemi byłoby to samo, co przyjść z rękami gołemi...

Racya zanadto była jasna i dowodna, ażeby replika jakowaś na powodzenie liczyć mogła. Konda więc cofnął wniosek swój, co wyraził w ten sposób, że ramionami ruszył, fajkę wydmuchnął i nową nałożył.

— *Majka niegowa!*.. — odezwał się jeden —  
żebyżto kto bodaj »*fala*« (dziękuję) powiedział!..  
Człowiek się bił, głowę na kule nastawiał!..

— Widziałeś rzecz taką — podchwycił inny —  
o której będziesz miał wnukom do opowiadania!..

— Jaką?..

— Spajów, jak na *jurisz* lecieli!.. Mnie się wydało, że to nie wojsko, ale zawierucha błyskawicowa... Bre, bre!.. Cóż to było!..

Hajduk załajał w matkę i ojca, z tym jednak akcentem, co to z najwyższą pochwałą najwyższy admiracyi stopień wyraża.

— *Majkę* ich!.. *otca* ich!.. Junacy!.. Niema co!.. Ale — dodał — i momki moje potrafiliby tak samo, byle ich jeno więcej było...

— To się rozumie... — zawtórowali wszyscy chórem.

— A na to — kończył hajduk — potrzeba, ażeby Serbowie pod bronią pozostali i własnych wojników mieli... Jeżeli się rozejdziemy, to nic z tego nie będzie... Sielacy wrócą do roli i bydła, waroszenie do handlu i rzemiosł i znów sami tylko hajducy sławę junacką podtrzymywać będą...

— To prawda... — była konkluzya, na którą się zgodzili wszyscy i która to sprawiła, że starszyzna postanowienia nie powzięła żadnego.

Tem mniej do powzięcia postanowienia jakiegoś skłonny był ogół. »Noc radę podaje« — powiada przysłowie. Noc przeminęła, dzień zaświtał, słońko

boże wytoczyło się na niebo, i cóż to słońko oglądało? Oto tabór turecki rozwiązał się. Wojsko rozbiło się na pierwiastki. Jeździec każdy, co wczora wojownikiem był, zmienił się w podróżnego, który ciągnął do domu; wierzchowce kapami okryte prowadzili saisy w rękę, rycerze zaś bądź piechotą obok postępujących wolno harab szli, bądź też jechali na koniach do chodzenia skrocza nałożonych. Spajowie z ostentacją pewną, bodaj czy nie umyślną, przybrali pozór pokojowy. Serbowie jednak w obozie pozostali.

Czy pozostali na rozkosz? Bynajmniej. Okolica, zniszczona przez wojska Paswana-Oglu i doniszczona przez kirdżalich, których — powiedziawszy nawiasem — w bitwie nie było, nie przedstawiała resursów nie tylko do rozkoszy, ale do życia nawet. Gdyby zaś i przedstawiała resursa jakie, to nie było sposobu korzystać z takowych. Kupić? — za co? — jeżeli kto posiadał pieniądze, to w ilości tak małej, iżby mu nie starczyło na długo do opędzania głodu; brać zaś przemocą nie wypadało — byłoby to obdzierać swoich. Wojownicy, na wojnę spiesząc, przekradli się przez góry i lasy, nie mieli więc ze sobą pociągów, ani koni jucznych z zapasami żywności i ze sprzętami obozowymi. Każdy, co za potrzebne uważał, niósł na sobie; a że się każdemu wydawało, że proch i kule stanowią artykuły ważniejsze, aniżeli chleb i sól, więc się zapatrywał w pierwsze, co się zaś drugich tyczy,

na Opatrzność się spuszczał. Opatrzność jednak nie dopisała. W obozie chłodno nie było; słońce przygrzewało w dzień, na noc zaś las poblizki paliwa dostarczał podostatkiem. Było za to głodno, straszliwie głodno. Wojownicy żywili się sposobem cudownym: owocami leśnymi, korzonkami, ziołami, korą, niekiedy zwierzyną upolowaną w lesie, niekiedy rybami łowionemi w Dunaju, zresztą oszukiwali żołądki wodą i snem. Pili tak, że niektórzy czuli ruszające się w brzuchach żaby; spali tak, że im oczy popuchły. I czekali na natchnienie, któreby im do powzięcia postanowienia dopomogło.

Nie zadziwi to zapewne nikogo, jeżeli powiemy, że nie wszyscy zgodzili się na heroizm czekania — na heroizm, który, ściśle rzecz biorąc, nie zobowiązywał z ochotników żadnego. Honor nawet nie wkładał na nich obowiązku pozostawania w szeregach dłużej nad to, jak się komu podobało. Nie wiązało ich nic. Z dobrej woli przyszli: komu przeto wola szepnęła: »idź«, zebrał się i odszedł.

— Wstawaj!.. a!.. pobro!.. — zawołał Konda na Mirka o dnia świtaniu nazajutrz po bitwie.

Mirko wstał, oczy przetaił, ziewnął szeroko i uśmiechnął się.

— Czego się śmiejesz?..

— Bo mi się śniło, że siedział w zasieku,

w tym spichrzu, o którym wczora była mowa, i dukaty przesypywał jak *żyto!*..<sup>1)</sup>.

— Siedziałbyś, pobro mój, i przesypywał, gdyby starszym był ja, albo ty... A to... a!..

Machnął Kondą ręką i splunął.

— A takem siedział na dukatach!.. tak mi dobrze było!.. — mówił Mirko i wyciągał się, aż mu kości w krzyżach trzeszczały.

— Chodźmy...

— Dokąd?..

— Jużci nie do Widdynia!.. Do Widdynia nie można, chodźmy więc do Białogrodu...

Wielkolud strzelbę opatrzył, pas poprawił, na broń za pasem okiem zadowolenienia spojrzął i przyłączył się do przyjaciela, który wziął od razu kierunek w góry, prowadząc konia za uzdę.

Tak jak ci dwaj, z innych atoli pobudek, postąpili sobie inni. Jednego interesa, drugiego gospodarstwo, innego stosunki rodzinne do domu wzywały. Nikt opuszczenia szeregów nie uważał za czyn uwłaczający godności rycerskiej lub obywatelskiej; pod tym względem pozostawioną była wolność zupełna każdemu; z wolności tej atoli nie korzystało tylu, iluby, biorąc na uwagę panujący w obozie niedostatek, korzystać było powinno.

---

<sup>1)</sup> Żytem Serbowie nazywają pszenicę: żyto zaś po serbsku *raź*.

Mniejsza część odeszła, większa pozostała — pozostała: z jakich powodów? w jakim celu?

Zagadka ta rozwiązaćby się dała zapomocą klucza dyplomatycznego.

Była to demonstracya orężna, poczęta w poczuciu samouznania samoistności narodowej. Demonstratorowie nie zdołaliby się z tego dyplomatycznie wytłómaczyć. Uznawali się jednak narodem samoistnym wobec sułtana, za którego w mniemaniu własnem krew przelewali i od którego z tej racyi nie chcieli czego innego, tego tylko, żeby im powiedzieć kazał: „*fała*“.

Chcieli tylko podziękowania, niczego więcej.

Mała rzecz. Nieprawdaż?.. Gdyby im atoli sułtan podziękować kazał, to tem samem uznałby samoistność ich narodową. Stawała się więc rzecz ta wielką... dyplomatycznie: stawiała bowiem napowrót fakt, zniweczony lat temu czterysta i następnie zalewany krwi potokami; w wątpliwość podawała, osłabiała, piętnem bezużytności znaczyła wszystko, co się przez cztery wieki robiło, w celu zatracenia faktu tego na korzyść ottomańskiej racyi stanu.

Oto słówko jedno: »*fała*« czem brzemienne było!

I dla tego słówka kupa ludu, usunawszy się z okolicy otwartej w podgórska, postanowiła czekać o głodzie na natchnienie jakieś.

Starszyzna nie rozchodziła się nigdy z rady



nieustającej, która się odbywała zapomocą nieustającego milczenia. Wojewodowie fajki kurzyli i głowami kiwali; gdy zaś któremu kiszka się mocniej skręciła, lub w żołądku coś niby pisnęło, zaklął w matkę, w ojca, w świętych tureckich, we wiarę Mahometa i spać szedł. Starszyczyna ta bowiem była czysto chłopska, podzielała więc los ogólny na równi ze wszystkimi. Cierpieli głód momki, cierpieli harambaszowie, pułkownicy, bulukbasze, bimbasze, kapetanowie, kniezie i kmetowie. Wzdychali, nosami czmychali, kichali, klątwy ciężkie sypali i czekali.

Tak upłynął dzień, drugi, trzeci, czwarty.

Powiadają, że dni dziewięć o głodzie wytrzymać można. Wojownicy jednak nasi na tę próbę wystawieni nie zostali.

Na piąty, czy na szósty dzień, zjawił się w obozie Piotr-Bulgar. Nie wszyscy go znali, wszyscy jednak, zoczywszy postać nową, przybywającą ze świata, który, zdawało się, zapomniał o zwycięzcach Paswana-Oglu, otoczyli go i kupą ciekawą do miejsca nieustających posiedzeń starszyczyny odprowadzili. Piotr zasiadł, każdego pozdrowił i o powodzenie pytał.

— Ach! nie pytaj, ale gadaj!.. — odezwał się Stojan.

— Dobrze mówisz, bracie Stojanie... Ja bo do was nie z czem innem, jeno z gadaniem przyjeżdżam...

— Wolałbyś był z chlebem przyjechać... —  
ktoś się z kupy wyrwał.

Piotr uśmiechnął się na to nieznacznie.

— Wysłał mnie hadži-Mustafa...

Zatrzymał się, jakby się namyślał.

— No?.. — zapytał ze starszyny jeden.

— Z pozdrowieniem i z... podziękowaniem...

Wyraz ostatni spadł, jak spada dzieciom podarunek noworoczny. Tłum zaszumiał nagle, zawrzał pomrukiem radości. Rozpromieniły się oblicza głodem zmarszczone. Każdy coś mówił; powstał zgiełk, który był zgiełkiem, jaki wywołuje zazwyczaj zwiastowanie nowiny wesołej. Gdy ustał, Piotr znów głos zabrał.

— Hadži-Mustafa prosi was, żebyście się do domów rozeszli...

— *Otiemo!.. otiemo!..* — odezwały się okrzyki.  
— To co innego!.. To po ludzku!..

— A że o głodzie — ciągnął Bulgar dalej — wracać wam trudnoby było, więc idźcie naprzód na brzeg Dunaju, tam znajdziecie statek z żywnością i winem... Posilcie się na drogę, nabierzcie sobie w torby i w czutry i... i z Bogiem!..

— Żiwio hadži-Mustafa!.. — powstał krzyk jeden, wielki.

Ręce się do góry podniosły, czapki w powietrze wyleciały; a że bez strzelania nie umieją Serbowie uciechy objawiać, więc huknęły wystrzały

na cześć Mustafy-paszy. Niektórzy z radości wielkiej płakali i, płacząc mówili:

— Darmoż to go majką przezwali?.. No, majka prawdziwa!.. Drugi *sałę*-by przysłał, ale komuby to na myśl przyszło, że tam gdzieś za górami ludzie głodni być muszą i nakarmić ich potrzeba.... Człdek syty o głodnym nie myśli, tylko majka myśli!..

Ruszyli hurmem na brzeg Dunaju, a idąc strzelali i okrzyki wydawali:

— Żiwio hadži-Mustafa!.. żiwio majka srbska!..

---

## 12. Punkt jasny i punkt szary.

---

Bez przesady rzecz można, że okrzyk radości, wydany w obozie za górami — miejsce bowiem, w którym odbywała się akcja wojenna przeciwko Paswanowi-Oglu, jest niejako, w odniesieniu do Serbii, przyczepkiem zagórskim pod względem topograficznym, a nawet i pod względem etnograficznym przyczepkowy nosi charakter — bez przesady rzecz można, że okrzyk ten odbił się w Serbii całej. Naród otrzymał satysfakcją honorową. Stało się coś, co miało podobieństwo niejako do słynnego w dziejach naszych: »Król z narodem, naród z królem« — z tą jedynie różnicą, że sułtana zastępował namiestnik, i z tą jeszcze, że słówko *fała* nie nosiło na sobie stempla oficjalnego. Znaczenie jednak właściwości tej ostatniej było podrzędne. Stempel oficjalny nie posiada doniosłości żadnej, jeżeli takową czerpie z siebie samego, nie zaś z siły rzeczy. Czy to nie widzieliśmy traktatów, konstytucyi, przyznań, nadań, poręczeń najoficyalniejszych, idących w poniewierkę, wnet po ostygnięciu laku, co do wyciśnienia pieczęci stempłowej służył? Stanowiło więc to rzecz bagatelną; główna zaś na tem zale-

żała, że miłość i zaufanie, jakie hadži-Mustafa dotychczas posiadał, spotęgowały się w stopniu najwyższym. Oto był stempel!

Serbowie w matkę mu klęli i powiadali:

— Oto człowiek!...

Odzywali się o sułtanie z uszanowaniem i mówili:

— Oto car!...

Zauważyć należy, że tytułowali sułtana nie sułtanem, ale carem, co bez znaczenia nie jest: nadając mu bowiem tytuł ów, stawiali go temsamem na równi z Duszanem i Lazarem, bohaterami, reprezentującymi w pojęciu ludowem samoistość narodową. I to więc było dyplomacją, ze stanowiska chłopskiego, dyplomacją, która, biorąc rzeczy ze strony formalnej i nie zaglądając w głąb takowych, dogadzała wszystkim i każdemu i stanowiła sama w sobie dla państwa prognostyk jak najpomysłniejszy. Głąb rzeczy atoli inną była w odniesieniu państwowem, inną w narodowem. Z wierzchu jednak widać tego nie było, i wogóle zapanowało zadowolenie powszechne.

Zadowolenie to, rzecz dziwna, podzielał taki nawet mułła-Jusuf. Zacierał ręce, uśmiechał się, okiem mrugał i powiadał:

— *E... ii... czok ii...* (dobrze, bardzo dobrze).

Mehmed-bej, który markotny bardzo do Białogrodu przybył, odjechał do domu w humorze lepszym. Hadži-Mustafa uspokoił starca pod względem

następstw, wytłómaczywszy mu, że posiadając miłość i zaufanie, będzie posiadał jeszcze ze strony narodu rzecz jedną, niesłychanie ważną: posłuszeństwo — posłuszeństwo dobrowolne.

— Takie — zapytał starzec — że jak każesz rajom na Wraczar broń wszystką znieść, stos z niej ułożyć i stos ten podpalić, to oni to zrobią?...

— Może... — odparł pasza po chwilce namysłu. — *Bakałym...* Jeżeli pożyję, to do tego doprowadzę...

— Allah wielki... — rzekł starzec. — Co on zechce, to się stanie, i onto na czele paszali ku postawił ciebie, ażebyś prowadził i doprowadził... E... *bakałym...*

Do zadowolenia ogólnego przyczyniało się niemało zachowywanie się spajów po powrocie do domów z wyprawy wojennej. Spajowie — uwzględniając różnice, na uwzględnienie zasługujące — byli, pod względem stanowiska polityczno-społecznego, podobieństwem dalekiem szlachty polskiej. Wyobraźmyż sobie na ich miejscu szlachtę naszą. Coby to było wrzawy i przechwałek!... Chłopsstwo, raje — w kąty poszło; o udziale, jaki ono w czynnościach wojennych wzięło, niktby ani nie wspominał; sława cała i zasługa cała zostałyby na wyłączny rachunek jazdy zabrane i do niebiosów podniesione; o motłochu, co pukał, ktoby tam gadać chciał!... Szlachcice tureccy zachowali się inaczej. Nie gadali wprawdzie o motłochu, ale nie gadali

i o sobie, i w sposób ten zostawili lubiącym się (na równi z nami) chwalić Serbom pole, swobodne do wyzyskiwania sławy wojennej na koszt próżności ich narodowej. Swoboda ta sprawiała zadowolenie wielkie. Języki w ruch poszły, fantazja zaigrała; opowiadania spiętrzyły w krótkim czasie czyny świetne tak wysoko, że te w obłokach ginęły; mehany nie wypróżniały się z ludu gwarzącego, wykrzykującego, śpiewającego, lub też gęślarzy słuchającego.

Gęślarze opowiadali o bitwach najślawniejszych, o bitwie na Kosowem polu na przykład, i z kolei powtarzali rozmowę na pobojoisku dziewczynki z młodym Pawłem Orłowiczem, chorążym cara Lazara, kąpiącym się w krwi własnej, ciekącej mu z odciętej nogi, z odciętej ręki i z rozrąbanej piersi. Dziewojka szuka trzech bohaterów: Miłosza Obylicza, co jej płaszcz w upominku zostawił, Iwana Kosandżicza, co jej pierścioneł podarował, i Miłana Toplicy, który wraz z branzoletą ze złota szczerego dał jej przyrzeczenie pojęcia jej za małżonkę. Pieśń mówi:

Paweł Orłowicz dziewczynce na to:

»O, siostró droga, dziewczę z Kosowa,

Widzisz te dzidy, dzidy bojowe

W kupie najwyższej oraz najgęstszej;

Tam ich junacka krew popłynęła,

Płynęła z piersią końską na równi.

Na równi z piersią strzemion dosięgła,

I aż junakom pasy broczyła«.



Przy ustępie tym rzadko który ze słuchaczów, co w wyprawie wojennej udział brał, powstrzymać się mógł, ażeby następującej nie uczynił uwagi:

— Tak samo i tam było...

Stojan o ślepcę Michaja po hanach wszystkich się dopytywał, powracając z Krainy do rodzinnej swojej Maczwy. Chciał mu rozpowiedzieć, co to się na Krainie działo, w tej nadziei, że starzec pieśń z tego ułoży i na gęśli ją wyśpiewa. Ślepiec Michaj jednak zawieruszył się gdzieś. Ponoś pociągnął do Starej Serbii na praznik.

— Szkoda... — mówił Stojan do harambaszy w czerwonym płaszczu. — Mam dla ślepcy-Michaja słów kilka takich, co to aż się proszą, żeby je w pieśń wstawić...

— Cóżto za słowa?... — zapytał harambasza.

— Słowa te są takie:

„Stojan Czupicz we krwi po kolana,  
A koń pod nim istny sokół siwy...”

— To ty, *pobro*, na siebie wymyślił słowa takie piękne, a o mnie zapomniałeś...

— Nie zapomniał ja i o tobie... Wymyślił ja i na ciebie... Słuchaj:

„Dżurt jak machnie szablą w prawo, w lewo,  
To się z szabli tylko iskry sypią:  
Nie iskry-to, ale turskie głowy”.

— Co?...

— *Liepo*... Boga mi, *liepo*... — odparł haram-

basza, o którego imieniu dowiadujemy się z wierszy, przez Stojana dla ślepego gęślarza przygotowanych. — Gdybyś ty oślepił, tobyś się na gęśli *swirać* nauczył i nie potrzebaby się za Michajem oglądać...

— Wolę ja, niech Michaj *swira* i śpiewa... — była odpowiedź Stojana. — Niech *swira* i śpiewa o mnie i o tobie, tak jak się śpiewa o Obyliczu, o Kosandżiczu, o Jugowiczach...

— Jugowiczów to chyba teraz zastąpią: Mehmed-bej i synowie jego... — podchwycił Dżurt.

— Turcy?... ha!... — nie podobąło się to Stojanowi, dodał jednak: — Ale wszak i kralewicz Marko turskiej był wiary... Byłe tylko pieśń była, to już tam... jakoś... co się wiary tyczy... Mehmed-bej junak, Boga mi! junak... więc chociaż on nie chciał z nami gadać, ale to nie przeszkadza, ażeby o nim pieśń mówić nie miała... Nie chciał gadać, na to on Turczyn i spaja...

I poezya więc godzić się poczynąła z istniejącym rzeczy stanem. Słowem, zadowolenie było ogólne, powszechne, zupełne, pomimo wyjątków tak nieznacznych, że takowe nie mogły stanowić tego, co się nazywa pospolicie odwrotną medalu stroną. Na sformowanie odwrotnej strony medalu było wyjątków za mało, istniały więc jakby na to jedynie, ażeby dowieść prawdziwości przysłowia, co powiada, że niemasz reguły bez wyjątków.

Były więc i wyjątki.

Czytelnik, którego zajmują wypadki w powieści niniejszej przedstawione, zauważyć musiał nieobecność osobistości jednej, której wyprowadzenie na teatr powieściowej akcji zapowiadało rolę ważniejszą. Osobistością tą jest Miłosz Stoicewicz. W akcji wojennej nie było go. Gdzież był? W domu siedział.

W domu siedział, i kiedy rówiennicy jego z wyprawy wojennej powrócili i opowiadaniem o czynach bohaterskich świat napełnili, zesmutniał, zgryzł się i pierwszy raz w życiu matce wyrzuty gorzkie czynił.

— Nacoś ty mnie, matko, zatrzymała?... Co ja wart teraz?

— Synku mój miły... — odpowiedziała Anka. — Jam poszła za sercem swoim macierzyńskim... Jam miała przecucie... Gdybyś był poszedł, nie byłbyś powrócił.

— Ach! albożby nie lepiej było, gdybym nie powrócił, jak teraz, kiedy oczów na ludzi podnieść nie śmiem...

— Gołąbku mój! sokole mój!... cóż cię onieśmiela?...

— Inni głowy nastawiali, a ja?...

— Tyś matki starej posłuchał, matki, co miała was siedmioro i jedno jej tylko pozostało...

Anka oczy rękawem obtarła. Ubocznym sposobem przypomniawszy synowi, że jej życie winien dwa

razy: raz go na świat wydała, drugi raz z rąk tureckich wydała.

Miłosz zamilkł, lecz smutnym być nie przestawał. Ciężyło mu to, że nie podzielał z innymi niebezpieczeństw i sławy. Ciężyło mu to dla wielu względów, a szczególnie przez wzgląd na Milicę, z powodu której stawało mu często w myśli za pytanie:

— Co ona o mnie myśli?...

Inni się bili, on w domu siedział. Czemuż nie poszedł? Czy posłuszeństwo dla matki tak mu w duszę wrosło, że powściągnął w sobie poryw rycerski, który wszystkich jego znajomych i przyjaciół w pole wywołał?...

Dla odpowiedzenia na pytania powyższe cofnąć się musimy do tej chwili, w której na sławie u Radiwoja pojawił się Dżurt na czele junackiej drużyny swojej i rzucił pomiędzy biesiadników wiadomość o najściu ziemi serbskiej.

Wiadomość ta spadła jak piorun z pogodnego nieba. Sława rozprzegła się. Radiwoj nie mógł i nie śmiał gości zatrzymywać, którzy byliby się nie rozeszli, gdyby nie to, że Dżurt, nie dawszy objaśnienia bliższego żadnego, odjechał. Wnet za nim skoczył Stojan, krzycząc z podwórza:

— Ej, *pobro!*... zaczekaj trochę! rozmów się z ludźmi!...

— Nocuję w mehanie!... — była hajduka odpowiedź. — Pociągnąłbym dziś dalej, ale konie zmę-

czone!... Człowiekby wytrzymał; nad bydlęciem jednak litość mieć trzeba... Co bydlę, to nie człowiek...

Odpowiedź tę słyszeli wszyscy i powzięli od razu — z powodu maksymy ostatniej — wysokie o rozumie harambaszy wyobrażenie. »Co bydlę, to nie człowiek«.

— Wielka prawda... — powiedział ten i ów.

Człowiek, co taką wiadomość przyniósł i taką prawdę wygłosił, stał się pociągającym podwójnie. Opuścili więc Trstniczanie gościnną Radiwoja zagrodę i hurmem udali się do mehany. Poszli tam starzy i młodzi, bitkiem nabili izbę gościnną, w której na poczesnem miejscu siedzieli hajducy, posilając się podawanem im przez mehandżego jadłem i popijając z dużego dzbana. Dżurt rozповідаł.

Harambasza niewiele więcej dodać umiał do tego, co na podwórzu Radiwoja powiedział. Dodał jednak te szczegóły, że duszmanem, co na serbską ziemię najechał, jest Paswan-Oglu z jańczarami, i że przeciwko nim występują spaje, powołani do szeregów przez hadži-Mustafę.

— A my?... — ktoś z tłumu zapytał.

— Co?... my?... — odparł harambasza.

— Czy nas kto powołuje?

Zanim harambasza z odpowiedzią na zapytanie to się zebrał, w izbie rozległ się głośny śmiech.

— Kto się zaśmiał?...

— Ja...

Ów »ja« był to Konda-Arnauta, którego w ci-  
żbie nie widać było.

— Czego!..

— Z zapytania: czy nas kto powołuje?... Kto  
powołuje kruki na żer?... Jest *kauga*, jest i powo-  
łanie...

— Dobrze mówi... — odezwał się harambasza.—  
W kim junackie bije serce, na tego palcem kiwać  
nie trzeba... Przytem hadżi-Mustafa powołał spajów,  
bo tak zakon turski każe; nie słysząc jednak, żeby  
rajom zakazał ziemi swojej od duszmana bronić...  
A jeżeli i zakazał, to... *majka niegowa!*... Ktoby się  
go tam o pozwolenie prosił!... Nie będziemy go  
o drogę na Krainę pytali!...

Wyrazy hajduka padały w umysły słuchaczy,  
niby ziarno dobre w rolę żyzną, przyjmowały się,  
kiełkowały i wnet zdźbłem strzelały, zdźbłem pod  
postacią postanowienia wybrania się na wojnę,  
powziętego niezwłocznie przez wszystkich młodych  
i przez niektórych starych. Trstniczanie posiadali  
tradycję wojenną, która ich niejako zobowiązywała.  
*Noblesse oblige*. Wspomnienia o jańczarach i popeł-  
nionych przez nich okrucieństwach, połączone ze  
wspomnieniami zaszczytnej służby we frajkurach,  
stanowiły bodziec, obok którego namowa hajducza  
była dodatkiem, zbytecznym prawie. Młódź zwłasz-  
cza, co w r. 1789 nie doszła jeszcze była do orę-  
ża, uważała okazyą tę, jako umyślnie dla niej przez  
Opatrzność zesłaną. Młodzi takiej pokolenie całe na

nogach stało i chciwem uchem wyraz każdy hajduka chwytalo, połykało i w postanowienie przeobrażało, tak, że gdy Dżurt z towarzyszami na spotkanie się udał, nie chodziło jej o to, czy iść? — ale o to, kiedy iść? Byli tacy, co zamierzali naza jutrz o dnia świtanu postanowienie do skutku doprowadzić. Zamiar ten jednak musiał na niczem spełznąć, boć przecie trudno ruszać na wojnę wprost ze sławy. Wprost ze sławy pojechał jeden tylko: Konda-Arnauta — ten jednak pozostawał osobą swoją w ustawicznym pogotowiu wojennem; ale i ten nawet ruszył wprawdzie wprost ze sławy, nie wprost na wojnę atoli, wyjechał wraz z hajdukami o dnia świtanu i odstał od nich na drodze.

— A dokąd to?... — zapytał jeden.

— Muszę *pobra* ze sobą zabrać...

— Nie trafi sam?...

— Trafiłby, ale niema ani puszki, ani kindżała, ani noża nawet...

— Cóż to za *pobro* taki?...

— Uzun-Mirko...

Hajducy śmiechem choralnym buchnęli, jeden zaś z nich następującą uczynił uwagę:

— Jedź po niego, jedź... Dobraliście się... On wielki, ty mały; we dwóch będziecie tyle znaczyli, co dwóch ludzi wzrostu zwyczajnego...

— Poradź mu tylko, żeby przysiadł, jak będą



do was strzelali; a jak wy strzelać będziecie, to niech ciebie na ręce bierze... — dorzucił drugi.

— A jeszcze lepiej, usiądź ty Mirkowi na kark, jak na konia, zrobi się z was człowiek jeden o czterech rękach...

Tak hajducy żartowali z Arnauty, obojętnego na pociski dowcipu, a w tej samej chwili w Trstnicy w *kuti* niemal każdej, czyniono przygotowania do wyprawy wojennej.

Miłosz około północy wracał z mehany do domu. Gdy szedł, ziemi pod sobą — jak to powiadają — nie czuł. Zdawało się mu, że myślał; nie myślał jednak wcale, tylko mu fantazyja płomienne jakieś w wyobraźni kreśliła obrazy, obrazy, w których widział siebie bohaterem, zbawcą Serbii, niosącym sztandar jakiś wielki i stojącym ze sztandarem tym przed Radiwojem.

— Masz!... widzisz?... — słowa te mówił on niby do męczeńskiego kaleki.

— Widzę... dobrze... — odpowiadał Radiwoj.

— Tego chciałeś?...

— Tego...

— Więc nie przeszkadza już nic?...

Zamiast odpowiedzi, Radiwoj zawołał:

— Milico!...

Wyszło dziewczę z powiekami spuszczone, z purpurowym na twarzy rumieńcem.

Miłoszowi serce w piersiach tłukło się, jakby dekę piersiową rozbić chciało. Dla uspokojenia się

więc, wypędził z wyobraźni obraz, który go nazbyt wielką napawał rozkoszą, ale nie zdołał miejsca pustką zostawić. Natomiast wcisnął się wnet obraz inny: scena straszna, krwawa — ojciec ścinany, braciszkanie i siostrzyczki małe o słup roztrzaskiwane. Miłosz wchodził właśnie do domu i zatrzymał się mimowolnie przede drzwiami. W domu panowała cisza głucha. Matka spała. Pierwszą młodzieńca myślą było zbudzić ją i oznajmić jej natychmiast o powziętem postanowieniu. Wstrzymał się jednak.

— Niech śpi... do rana niedaleko... — rzekł sam do siebie. — Wybranie się czasu nie zabierze dużo...

Rzucił się na posłanie w ubraniu; oka przez resztę nocy nie zmrzążył i wstał, jak tylko pierwsze krzatanie się usłyszał. Najraniej wstawała Anka; z nią więc zeszedł się odrazu, wiedząc, gdzie jej szukać. Matka bohatera naszego rozpoczynała dzień każdy od rozpalania ognia na kominku; następnie szła do studni po wodę i, kociołek nad ogniskiem zawiesiwszy, domowników budziła. Młodzieniec udał się do studni, która na podwórzu była. Anka zdziwiła się, zoczywszy go.

— Co?... — zapytała — tak rano?...

— Rano, matko, bo mi pilno... Jadę... Jadę na wojnę!...

Wyrazy ostatnie wymówił z uniesieniem, do opisanego trudnem.

Oblicze kobiety bladością się okryło. Spojrzała na syna z wyrazem żalu głębokiego w oczach; przez chwilę słowa rzec nie mogła i po upływie dopiero minuty, jeżeli nie więcej, na zapytanie się zdobyła:

— Na wojnę?...

— Miłosz w krótkości opowiedział rzecz całą. Przez czas opowiadania jego Anka się uspokoiła nieco; postawiła wiadra na kamieniu, skrzyżowała ręce na piersiach, westchnęła razy parę i, ścisnąwszy ramionami, rzekła:

— Co wiedzieć mogę ja, kobieta!... Tyś mi syn, tyś mi opiekun... Dzieckiem nie jesteś, wiesz więc, co i dlaczego robisz, matkę opuszczając...

— Czyżbym cię ja opuszczał, gdyby nie wiadomość!...

— Wiadomość... od hajduków... — podchwyciła kobieta, nadając wyrazom akcent znaczący.

Chciał coś Miłosz odpowiedzieć, gdy ona zapytała nagle:

— Cóż Radiwoj na to?...

Zapytanie to zdziwiło młodzieńca — zdziwiło i zaniepokoiło. Wydawało się jemu, że zdanie Radiwoja co do wojny, wątpliwości najmniejszej nie ulega; gdy jednak matka zapytanie powyższe dała, zrodziła się w umyśle jego obawa, ażeby ojciec Milicy nie uczynił objekcyi jakiej, podkopującej postanowienie, na podstawie którego zbudował dla siebie gmach szczęścia i sławy.

— Cóż Radiwoj!... — odparł i głowę spuścił, niby winowajca, na gorącym schwytany uczynku.

Anka, nie mówiąc nic więcej, nabrała wody, odeszła od studni, zawiesiła kociołek nad ogniskiem, pobudziła domowników i znikła z zagrody. Nie było jej przez ciąg pół godziny conajmniej. Miłosz nie wiedząc dobrze, co ze sobą robić, usiadł na przyzbie przed domem i, oparłszy łokcie na kolanach, a czoło na dłoniach, pogrążył się w zadumę. Czy myślał o czym? — o niczem. W usposobieniu podobnem nie do myślenia człowiekowi młodemu. Czuł tylko, że przed chwilą znajdował się niby w niebie, upajał się marzeniami złotymi i na marzenia te matka dmuchnęła, jak się dmucha na płomyk świecy, w celu zgaszenia takowego. Byłyż marzenia jego płomykiem owym? On je miał za płomień, wysokim słupem w niebo bijący i bodaj czy nie na świat cały widny. Zgasiłaż je matka? Nie; zachwiała jednak. To go w zadumę wprawiło. Siedział. Chciał się z Radiwojem widzieć. Zamierzał już iść; lecz się powstrzymał, niewiedzieć dlaczego. Chciał się pierwiej z matką rozmówić. Podniósł z dłoni głowę. Anka właśnie przed nim się zatrzymała i, zatrzymawszy się, odrazu zaczęła:

— Nie, synku mój, ty mnie nie opuścisz jeszcze....

— Matko!... — zawołał Miłosz, wstając.

— Ty mnie nie opuścisz dla zabawy, za którą

głową zapłacić możesz.. Baw się, ile zechcesz, ale inaczej, nie zapominając o tem, żeś u matki jeden...

— Matko!... — przerwał Miłosz. — O jakiej to mówisz zabawie?... To wojna! wojna w obronie ziemi naszej, którą duszmann najechał!..

— To zabawa, synku!...

— Matko, wojna!...

— Zabawa!... — zawołała kobieta głosem z rozpaczą graniczącym, nie mając snadź nic innego, tylko wyraz ten, do odprowadzenia syna od zamiaru. — A ja, ja... rodzicielka twoja... mam prawo nie puszczać cię na zabawę, co śmiercią grozi...

— Ale maszże prawo na wstyd mnie wystawiać?...

Na zapytanie to nie odpowiedziała Anka wprost, tylko, pochwyciwszy Miłosza za rękę, drugą ręką poczęła go z podwórza wytrącać, przemawiając do niego z gorączkowym naciskiem:

— Idź do Radiwoja! idź!... idź!... Idź i rozmów się z nim!... Niech ci Radiwoj wytłómaczy!... Idź!... Myślisz może, iżby ci on dziewczkę dał, gdybyś z wojny tej zdrów, cały i sławny wrócił?... Idź, spytaj go!...

Wytrąciła Miłosza z podwórza, furtkę za nim zamknęła, sama stanęła, chustkę sobie na głowie poprawiła i łzy jej z rzęsów kapać na zmarszczone policzki poczęły. Obtarła je jednak rękawem prędko i snadź dlatego, ażeby znów z poza powiek

na rzęsy nie wybiegły, krzyczeć na domowników zaczęła:

— Hej, ty tam! czekasz południa, żeby się do roboty wziąć!... A ty, do jedzenia skory, ale jak robić przyjdzie, to się w zatyłek drapiesz!... Hej, ty... nie chodź, jak ćma!...

I tak dalej. Chciała się niejako zagłuszyć, ażeby się jej na płacz nie zbierało więcej.

Miłosz, za wrota przez matkę wypchnięty, znalazł się w położeniu arcydrażliwym wobec postanowienia własnego. Z postanowienia tego wysnuł był gmach wspaniały i gmach ten nie istniał już wcale. Obaliła go matka słowami: »Myślisz może, iżby ci Radiwoj dziewczkę dał?«... Gmach runął; lecz jakąż on wspólność miał z postanowieniem? Nie płynęłoż ono z obowiązku bronienia ojczyzny? Miałże się obowiązek z góry za nagrodą oglądać?

Zapytania te zadawał sobie młody człowiek, idąc powoli do Radiwoja, a idąc tam nie dlatego tylko, żeby rozkazaniu matki zadość uczynić, ale dlatego, że, pomijając wszystko, coby jako powód uważać można, ciągnęła go do Radiwojowej chaty siła potęgi uznanej i dowiedzionej. Serce go tam wiodło. Szedł, przyszedł. Na podwórzu, na którym przez tydzień blisko zabawy wrzały, cisza panowała; grusze w głębi sterczały obstrzelanymi z liści i gałązek konarami; wydeptany krąg znaczył ślad koła, w środku którego grzebały kury; dwa psy warczały nad kością jedną, pokazując sobie

wzajemnie zęby białe. Drzwi wchodowe od domu były otwarte. Miłosz wszedł. Radiwoj siedział przy ognisku, a przy nim kilku poważniejszych gospodarzy Trstnicy. Palili fajki, jak zwyczaj nakazuje.

— A!... — zawołał Radiwoj, gdy młodzieńca zoczył. — Matka cię tu przysłała?...

Miłosz potwierdzająco na zapytanie odpowiedział.

— Zachciało się tobie bitki zakosztować?..

— Idą inni, poszedłbym i ja...

— Ha! jeżeli cię ciągnie, a masz na karku głowę do stracenia, idź... zabaw się...

— Radiwoju!... — odparł Miłosz. — Co to za zabawa, gdzie o obronę ziemi własnej chodzi?...

— O obronę, dla kogo?.. czy dla siebie?.. Ba!.. Będziesz jej bronił od jańczarów dla spajów, od Paswana-Oglu dla hadži-Mustafy, od tych, co się przeciwko sułtanowi buntują, dla sułtana... Spaje, hadži-Mustafa, sułtan turecki są dla Serbii tem samem, co jańczarowie i Paswan-Oglu.

— Lepsi, łagodniejsi, sprawiedliwi... — wtrącił z obecnych jeden.

— Lepsi, łagodniejsi... to prawda... Sprawiedliwi?... to nieprawda, gdyby bowiem sprawiedliwymi byli, toby powiedzieli: »Zagrabiliśmy ziemię waszą, oddajemy ją wam«; nie mówiąc zaś tego, są dobrymi i łagodnymi, jak złodziej, co się w zaufanie twoje wkrada, ażeby cię tem łatwiej okraść mógł



później... Niech sułtan Selim umrze, niech miejsce hadži-Mustafy inny zajmie!... ot, i skończy się wszystko... O! turecka dobroć i turecka łagodność!... — rzekł, rękę jedyną do góry podnosząc i w powietrzu nią trzęsąc. — Wolałbym złość ich i srogość!.. te przynajmniej głowy narodowi nie zawracały i w duszkanie przyjaciela nie ukazywały... A tak, ot, co się dzieje!.. Paswan kraj najechał i Serbowie garną się bronić go dla sułtana!.. Rozumiem ja bardzo dobrze, że Serbia sułtanowi potrzebna, ale sułtan Serbii... o!.. *hycz!*..

Ostatnie dwa wyrazy poparł gestem wyrazistym i wytłómaczył je mimicznie na palcach, składając je w sposób, za pomocą którego oznaczają na Wschodzie najwyższy stopień pojęcia, zawierającego się w wyrażeniu: »ani trochę«.

— Serbia się bez sułtana, bez hadži-Mustafy, bez spajów, żeby tam oni dobrymi byli jak gołąbki, jak baranki, jak aniołki, obejść może... i... — dodał z mocą, gestami odpowiednimi wyrazy akcentując — obejść się powinna... Turcy są Turkami, w skórze takiej lub innej... Biją się pomiędzy sobą?... tem lepiej!.. niech się biją!.. Komu wola, niech się do tej bitki miesza... Nikomu jej nie odradzam, ale nikomu nie przyznam, że idzie Serbii bronić... O!.. — tu oczy i dłoń do góry wzniosł i jakby w natchnieniu mówił: — Nie tak się jej bronić będzie!.. Nad głowami obrońców jej powonie zna-

mię krzyża, czyste, takie, pod jakim pokazał się mi święty Sawa!...

Miłosz po słowach tych wysunął się z izby na palcach, przeszedł przez sień i na progu drzwi wchodowych zatrzymał się. Stał przez chwilę, wahając się, nie wiedząc, co ze sobą robić, nie wiedząc nawet, w którą stronę kroki swoje skierować. Błędem okiem po podwórzu wodził, gdy tuż za sobą chrząknięcie niewieście usłyszał. Obejrzał się. Za nim stała Milica. Odstąpił, czyniąc jej miejsce do przejścia przez próg. Ona jednak chrząkała nie dla otworzenia sobie drogi, ale dlatego, żeby młodzieńcowi w oczy spojrzeć. Czarnymi oczami wlała się mu niejako w duszę. Miłosz zadrżał jak listek osiczyzny. Przemówić coś chciał. Na płacz się mu zebrało — i mało brakło, ażeby on, człowiek w lat młodzieńczych sile, jak dziecko nie beknął, gdyby nie wstyd wobec dziewczyny, która, czekając na próżno przez chwilę na to, żeby się on odezwał do niej, sama go zaczęła.

— Idziesz?.. — cicho rzekła.

Miłosz głęboko westchnął. Innej odpowiedzi nie dał.

— Nie zapominajże o mnie... Ja o... tobie... będę... pamiętała...

Wymówiła wyrazy te tonem modlitewnym prawie i uciekła.

Miłosz ręką gwałtownie machnął i do domu krokiem zdwojonym ruszył.

Na drodze spotykał rówieśników, wesołych, śpiewających, bawiących się na ulicy w *czakszirach* i *czarapach* nowych i odgrążających się głośno na jańczarów, na Paswana-Oglu, na turskie matki i na turskich ojców. Zaczepiali go — ten pytał o coś, ów coś opowiadał. Miłosz pytań i opowiadań nie słyszał. Do domu pospieszał, wpadł i do matki:

— Idę!..

A matka mu plackiem do nóg.

— Matko!.. — zawołał ze łzami w głosie, krok w tył odstupując.

Uklękła i dłonie złożone do niego wyciągnęła.

— Synku mój!... sokole mój!... dziecko ty moje!...

— Ależ ja... Ależ mnie... — bąkał.

— Nie idź na zabawę...

— Kiedyż-bo, matko...

— Po tem, co z ust Radiwoja usłyszał — rozumiał już, co wyraz »zabawa« w ustach Anki znaczy.

— Nie opuszczaj mnie dla zabawy, za którą głową zapłacić możesz...

— Ależ inni...

— Inne matki synów swoich rodziły tylko... a ja, synku mój drogi... ja... ja ciebie... dokończyć nie śmiała.

— Toś mnie, matko — podchwycił Miłosz — wydarła jańczarom dla siebie?...

— Nie!.. — zawołała kobieta, zrywając się z kłę-

czek, brwi marszcząc i ściśniętą w kułak dłoń do góry wznosząc. — Nie dla siebie, ale i nie dla spajów, nie dla Mustafy-paszy i nie dla sułtana!... Chcesz iść?.. idź!.. ale i ja z tobą pójdę... Ty mnie nie odpędzisz od siebie!.. Ja się do nóg twoich przyczepię, u siodła twego za strzemię się powieszę i w bitce każdej ciałem mojem przed tobą stanę!..

— Oj, matko!.. matko!.. — jęknął Miłosz, pokonany i przekonany. — Niech po twojemu będzie..

Anka ramiona otworzyła i syna w nie wzięła. Oblicze jej, groźne przed chwilą, wyrażało miłość i żal. Usiadła, syna obok siebie posadziła i głowę jego do piersi tuliła. Twarz Miłosza łzami była zlane, nie wiadomo jednak, czyje to były łzy: jego, czy Anki. Anka bowiem płakała i nad synem pochylona, tak do niego przemawiała:

— Przyjdzie pora... przyjdzie... a gdy przyjdzie, to ja ciebie nie będę zatrzymywała... Nie!.. Sama ciebie wyprawię... sama ci konia przyprowadzę i strzemię potrzynam.

---

### 13. Nieznajomy.

---

Powszechnem jest i słusznem mniemanie, że dobry uczynek jest zarazem i dobrym uczynkiem i wynagrodzeniem za spełnienie takowego, przynosi bowiem zadowolenie wewnętrzne, które wynagradza lepiej, niż zapłaty wszelkie. Jest to reguła ogólna, nie bez wyjątków jednak. Za wyjątek podać możemy bohatera naszego. Spełnił on dobry uczynek — posłuchał matki i wobec sumienia własnego miał spokój zupełny; lecz zadowolenia nie doznawał. Spełnił dobry uczynek dla siebie niejako. Pozostawali jednak jeszcze ludzie — ludzie, którzy racye patryotyczne Radiwoja uznawali w zasadzie, lecz znajdowali je przesadnemi.

— Tak... — mówili — zapewne... Dobrzeby to było, jak Radiwoj chce, ale... hm... On chciałby za wiele na raz...

Poczytywali oraz za naciągniętą trochę różnicę pomiędzy Serbią sułtańską, a Serbią samą po sobie.

— Jeżeli sułtan jest carem, czegoż więcej chcieć?.. Że wiary innej?.. Ciekawa rzecz, coby Radiwoj na to powiedział, gdyby, jak to gdzieś w księgach

stoi napisano, kralewicz Marko ze snu się ocknął i pomiędzy ludzi zeszedł!.. Wszak kralewicz Marko turskiej jest wiary!..

Gadania te nieznośnem czyniły położenie Miłosza. Już w chwili, kiedy rówiennicy wyruszali, a on zostawał, nie wiedział, co zrobić z osobą swoją. Miłość jego własna cierpiała straszliwie. Szli na niebezpieczeństwa inni; on zostawał — zostawał bez złożenia dowodu odwagi. Co ludzie sobie o nim myśleli, co mówili?.. Miłoszowi zdawało się, jakby słyszał uwagi złośliwe, uszów jego dolatujące. Zbierała go nieraz chętka spytlować kogo na otręby — jak to się u nas powiada — lecz zanadto był szlachetnym, ażeby miał chętnie tej folgę dawać i zły swój humor spędzać na kimś, co jeżeli nawet względem niego zawinił, to nie ze złej woli, ale dlatego, że zbieg okoliczności stawiał go w położeniu fałszywym. Wolał więc spędzić zły humor bądź na samym sobie, bądź też na przedmiotach bezmownych. Samotności szukał, w góry uciekał; dniami całymi błąkał się w okolicy Trstnicy; niekiedy zaś brał strzelbę i polował zawzięcie; nastrożelał sarn bez liku, zabił trzy niedźwiedzie, co szkodę robiły; lisy i wilki w ilości niemałej od ciosów broni jego padały. Inny może na miejscu jego szukałby w śliwowicy lekarstwa na gryzącego robaka. On nie czynił tego. Może miał wrodzony do trunków wstręt; a może dystrykcyą dostateczną znajdował w księgach, których kilka przywiózł ze

sobą z monasteru, gdzie się pisma uczył, jako to: *Raicza, Istorja raznych sławeńskich narodow naipacze Bołgar, Chorwatow i Serbow, iz tmy zabwenja izjataja; Żiwkowicza, Żitje swiatych serbskich proswietitielej, Simeona i Sawy; Obradowicza, Sobranje raznych nrawouczitelnych weszezej; Historya biblijna, Psalterz; Bajki Ezopa; Historya Belizaryusza i Obradowicza, Piesna na wzięcie Belgrada i Piesna o izbawlenju Serbii*. Skromną była i pod względem jakości biblioteka bohatera naszego. Trzeba atoli wiedzieć, że Serbia na początku XIX wieku nie posiadała literatury wcale. Książki, które wymieniliśmy, pisane były w języku słowiano-serbskim, dla ludu niezrozumiałym, w języku, który nigdy życia innego nie posiadał, jeno książkowe, służył zaś głównie duchowieństwu. Chcąc umieć czytać i pisać, trzeba się było języka obcego prawie uczyć, co naukę wielce utrudniało i czytanie nie środkiem, ale celem czyniło. Stąd czytanie samo stanowiło studyum szczególne, służyło do szerzenia i gruntowania pojęć pewnych, lecz nie przyczyniało się bynajmniej do kształcenia ani umysłu, ani mowy. Było to zajęcie mechaniczne.

Zajęciu temu oddawał się bohater nasz dla umorzenia w sobie toczącego go robaka smutku. Oddawał się przytem i zajęciom gospodarskim i przepchał jako tako czas, w którym odbywały się wypadki, w poprzednich powieści niniejszej opisane rozdziałach. Czas jest lekarzem. Lekarz ów



począł był już Miłosza restaurować moralnie, gdy nagle powrót wojowników recydywę spowodził — recydywę silną i gwałtowną. Miłoszowi wydało się, że stokroć dla niego lepiejby było, gdyby był zginął. Wobec Milicy zwłaszcza położenie jego drażliwym się stało. Kobiety serbskie, jak w ogólności kobiety narodu, w takim jak serbski znajdującego się położeniu, miały w sobie coś spartańskiego i wołały synów, braci, kochanków oglądać »na tarczy«, aniżeli w dobrem zdrowiu, ale zdala od teatru zapasów wojennych. W Milicy usposobienie to rozwiniętem być musiało silniej, aniżeli w innych, z powodu ojca, będącego żywym świadectwem cierpień Serbii i żywym wcieleniem patryotyzmu serbskiego. Chodziło o to: czy dziewczę było wernem uczuć ojcowskich odbiciem? czy było ono przez Radiwoja nastrojone, jak harfa, wydająca tony takie, jakie mistrz wydobyć z niej chce?

Milica wzrastała i wzrosła pod nieprzygasajacem ani na chwilę wrażeniem jednej wciąż i tej samej myśli, którą ojciec zaszczeplił w umyśle jej, a przez umysł w sercu. Dzieckiem będąc, nic jeszcze nie rozumiała, a już myśl tę zrozumiała, nic jeszcze nie kochała, a już ją ukochała; a że myśl owa była nie czem innem, jeno ekspresją uczucia patryotycznego, do zrozumienia łatwego i pod względem hartowności silnego, dziewczę przeto, w pierwszym zaraniu życia swego, stworzyło sobie ideał, do którego przylgnęło duszą całą i sercem całym.

Cóż to był za ideał?

Ideał bohatera, zbawcy Serbii.

Posiadałże on kształty ujętne?

Może. Na pytanie to jednak odpowiedzieć trudno. Ona sama nie umiałaby nic we względzie tym orzec i zdaje się, że, jak dotychczas, miała tylko preferencye niejaki: wolałaby, na przykład, ażeby ideał jej wcielił się w tego lub w owego. Miłosz był wybrańcem jej, co samo przez się wypadało. W Trstnicy, ba, w okolicy całej odznaczał się on pomiędzy młodzieżą nie tylko szykownością postawy, pięknością oblicza i fortuną, ale jeszcze i polem tym, który nauka daje, aczkolwiek nauka, jaką on posiadał, pozostawiała do życzenia wiele. Milica jednakże na egzamin młodzieńca nie brała; widziała różnicę, jaka pomiędzy nim a rówienikami jego zachodziła, i widziała skłonność, jaką dla niego Radiwoj okazywał. Były to wszystko podniety silne. Brakło tylko jednej rzeczy: — tego mianowicie, ażeby Miłosz sławą się okrył — sławą rycerza narodowego, — a serce Milicy gotowe było pokochać go całą kochania potęgą, istniejącego w zarodku, w ziarnie, w zaczątku, o którym Milica najmniejszej nie posiadała świadomości.

Miłosz nie mógł tego nie wiedzieć, że Radiwojczanka przekładała go nad innych; nie mógł oraz nie znać preferencyi tej powodów, zapewniających mu w czasie zwyczajnym przewagę stanowczą nad domniemalnymi spółzawodnikami, lecz zarazem

wkładających na niego, w czasach nadzwyczajnych, obowiązek utrzymania się na wysokości pierwotnej. Wkroczenie Paswana-Oglu spowodowało czasy nadzwyczajne. Można było przypuszczać, że Milica podziela opinią ojca co do obrony kraju, która stała się hasłem chwili; zawsze atoli okazywała podawała sposobność odznaczenia się. Ze sposobności tej Miłosz nie korzystał. To go do ziemi niejako przygniatało.

— Co ona sobie o mnie myśli?.. — pytał sam siebie.

Najprościejby było zapytać o to jej samej; lecz Miłosz nie odważał się na to: — unikał nie tylko rozmowy, ale oczów dziewczęcia, z obawy wyczytania w takowych nie nagany, nie wyrzutów, ale zdziwienia — zdziwienia, przedstawiającego się pod postacią znaku zapytania.

Oczy bowiem Milicy dziwnie były mówiące.

Gdyby Miłosz znak zapytania w nich ujrzał, byłby — co? — byłby klątwę na chwilę urodzenia swego cisnął; byłby tą klątwą matkę, którą kochał, ojca, który był w grobie, dotknął.

Okropnem było położenie jego.

Okropność ta atoli znośną jeszcze była w czasie trwania akcji wojennej. Poszli i słuch o nich zaginął. Niektórym wydawać się już zaczynało, że powrócą z niczem; gdy nagle gruchnęła wieść o zwycięstwie — wieść przesadna o zwycięstwie wielkiem, sławnem, takim, jakiego jeszcze nigdy

i nigdzie nie bywało, pomimo że świat w czasie owym rozbrzmiewał wielkimi wojnami i wielkimi zwycięstwami. Wieść ta była dla bohatera naszego ciosem bardzo dotkliwym.

Powrót ochotników nie umniejszył przesadności bynajmniej. Opowiadania nadawały wieściom ton i akcent, które miłość własną Miłosza boleśnie raniły.

— Mnie tam nie było!.. — powtarzał w rozpaczę prawie.

I wystąpił z wymówkami do matki.

— Matko, tyś mi wyrządziła krzywdę wielką...

— Nie powiadaj tego, synku... Serce mi krwawisz, a nic sobie nie pomagasz... Gdyby mnie Bóg na tamtym świecie o tę krzywdę zapytał, to odpowiem mu, że cię nie puściła na wojnę, której korzyścią całą gadania dużo...

— Opowiadają...

— No, tak... — podchwyciła kobieta — opowiadają... gadają i więcej nic... Cóż więcej?..

Miłosza wyrazy te zafrapowały. Rzeczywiście, z wyjątkiem gadaniny, napawającej zadowoleniem narratorów i słuchaczy, nie okazywała się zresztą żadna korzyść dotykalna. W kraju, w stosunkach zmiana nie zaszła najmniejsza. Sława miała charakter ogólnikowy: każdy, opowiadając o sobie, laurami się okrył; pomimo to jednak nie uwydatnił się nikt w sposób taki, ażeby stanął jako bohater, chluba narodu: — czegoś więc sławie tej

brakowało. Czuć się w niej dawał niedostatek jakiś, podobny wielce do tego, jakiego doznaje człęk zgłodniały, któremu by do zaspokojenia głodu nie dano ani chleba, ani mięsa, ani jarzyn posilnych, ale nakarmiono go woniami i potrawami piankowemi.

Zapytanie Anki: »cóż więcej?« odbiło się niebawem w narodzie i sprowadziło reakcją, objawiającą się stopniowo. Nie zadawał wprawdzie zapytania tego nikt, lecz się ono nasuwało samo przez to, że skutki sprowadziły to, co w języku dyplomatycznym nazywa się *status quo ante bellum*, a co znajdowało się w dysharmonii niejkiej z przedstawianiem przesadnem faktu wojennego, tak, że pod wpływem dysharmonii tej sam fakt ów malał i na doniosłości tracił. Gadanina nie ustawała, lecz zabrakło jej treści. W Trstnicy zaś ten zaszedł wypadek, że z ochotników; którzy byli wyruszyli, wszyscy co do jednego powrócili zdrowi i cali. Był to wypadek szczęśliwy; umniejszał jednak sławę głoszoną. Starzy, co z frajkurami chodzili, uśmiechali się dwuznacznie, gdy młodzi opowiadali, i powoli, nieznacznie urobiła się opinia następująca:

— Kto chodził na wyprawę na Paswana-Oglu, dobrze zrobił; kto nie chodził, nie zrobił nic złego...

Opinia ta znacznie wpłynęła na ulżenie naszemu bohaterowi położenia. Coraz to śmieiej i pewniej

ludziom w oczy patrzył; coraz to spokojniej i swobodniej o Milicy myślał.

Nie odważał się jednak jeszcze do Radiwoja pójść. Nie był u niego od czasu bytności owej, która na decyzję jego co do pójścia na wojnę wpływ stanowczy wywarła. Nie odważał się pójść do Radiwoja nie dla Radiwoja, ale dla Milicy. Matka go namawiała nieraz; wymawiał się. Lękał się spotkać z niemem w oczach dziewczyny zapytaniem.

Poszedł jednak nareszcie, pociągnion tam... ciekawością, która w nim nieśmiałość przemogła, a wyrodziła się nagle ze słów kilku, wyrzeczonych przez przybysza jakiegoś, który zwrócił na siebie uwagę Trstniczan. Był to młody człowiek, nikomu nieznany; przyszedł piechotą i meldował się kmetowi, któremu pokazał *teskiere* (paszport), upowadzający go do wędrowania po świecie. *Teskiere* pisany był po turecku. Kmet był człowiekiem niepiśmiennym — *nie rozbirał* po serbsku, a nie dopieroż w języku, którego nie znał wcale: posłał więc po Miłosza.

— Przeczytajno i wyrozum ten papier: co tam napisano stoi?..

Miłosz po turecku nie umiał; po pieczęciach jednak poznał, że dokument formalny.

— Ja *po turski nie rozbiram*... — odrzekł — ale tego czytać niema co... Na tym papierze wszystko jak należy...

— Jakże cię zowią?.. — zapytał kmet przybysza.

— Tak, jak w *teskiere* napisano...

— Ba... Któż to wyczyta!..

Wędrowiec uśmiechnął się.

— Skądże przychodzisz i dokąd idziesz?..

— Przychodzę z poza siebie, a idę przed siebie... — była odpowiedź zapytanego.

Odpowiedź ta wydała się kmetowi bardzo trafną.

— Za handlem?.. za rzemiosłem?.. — indagował dalej.

— Ciekawyś, człowieku... — odparł przybysz. — Żeby więc ciekawość twoją zaspokoić, powiem ci, że mnie prowadzi po świecie ciekawość... Chodzę po drogach i przypatruję się drogom; zatrzymuję się tu i ówdzie i idę dalej, lub pozostaję dłużej, stosownie do tego, jak gdzieś coś ciekawego do oglądania znajduję... Ot, na przykład, w Trstnicy zabawię zapewne dni, a może i tygodni kilka, słyszałem bowiem, że macie tu dwie rzeczy ciekawe: dyabła i dziewczynkę... jednemu i drugiej radbym w oczy zajrzeć...

Miłosz przybysza od stóp do głowy okiem zmierzył. Zafrapowała go postać jego, typowa pod względem piękności męskiej: wzrok orli, rysy oblicza klasyczne, wzrost wyniosły, postawa rycerska, uakcentowana wąsem sumiastym; w ruchach, w sposobie bycia, w mowie nawet dystynkcyja oso-



bliwa, znamionująca stanowisko odmienne od tych, jakie w serbskich sferach społecznych istniały. Dla Serbów sferą społeczną najwyższą było kupiectwo. *Trgovac* znaczył tyle, co arystokrata gdzieindziej; posiadał szacunek, ale zewnętrznie nie różnił się od rzemieślnika tą różnicą, jaką nadaje polor, stanowiący właściwość klas, pędzących żywot w próżnowaniu dostatniem. Owóż polor taki odbijał od powierzchowności wędrowca. Nie wyglądał na *waroszanina*, tem mniej na *sielaka*; nie miał miny ani rolnika, ani pasterza, ani rzemieślnika, ani kupca, ale raczej panicza rodu wysokiego, idącego przez świat spacerem. Niósł *dołamę* na ramieniu; w ręku laska sękata, za pasem pistolety i kindżał; ubiór nie bogaty, ale z sukna cienkiego; na głowie fez obwiązany chustką jedwabną kolorową, która mogłaby za turban uchodzić, gdyby większą była: takimi były znaki zewnętrzne, które nie dawały świadectwa wyznania, do jakiego należy. Mógł to być mużulmanin; mógł to być chrześcijanin; — tylko akcent mowy zdradzał w nim, jeśli nie Czarnogórca, to Bośniaka.

Kmet znalazł dokumenta jego podrózne w porządku, oddał mu teskiere i życzył drogi szczęśliwej.

— Chciałbyś się mnie pozbyć?.. — zapytał podróżny.

Zapytanie to odnosiło się do kwestyi drażliwej: do gościnności, która dziś w Serbii przestrzegana jest skrupulatnie, w czasach zaś onych stanowiła

obowiązek, naznaczony cechą religijną. Serbowie z podań wiedzieli, jacyto goście zaglądają niekiedy pod strzechy pomieszek ludzkich i jakie pod takowe błogosławieństwa wnoszą. Nie obcą im była historia Abrahama, u którego za stołem siedzieli aniołowie, i historia Tobiasza, co z Archaniołem podróż odbywał. Kmeta przeto zapytanie przybysza lekko obraziło.

— Jako żywo!.. — odparł. — Chcesz zostać w *kuti* mojej, zostań, usiądź, zrzuć obuwie, przyniosę ci wody na nogi i będę cię podejmował, jak gościa...

— Dzięki ci, kmecie... — odrzekł podróżny. — Zakołatał ja do wrót Radiwoja, o którym powiadają, że jest Serbem pomiędzy Serbami.

— Wola twoja... Radiwoj, ani żaden z gazdów w Trstnicy gościnności nie odmówi...

Wędrowiec schował *teskiere* w zanadrze, wstał zarzucił dołamę na ramię, wziął laskę w rękę i wyszedł od kmeta. Miłosz pospieszył za nim.

— Radiwoj Raicz?.. — zapytał na ulicy nieznamy Miłosza — wszak tak się on nazywa?..

— Mieszka w Trstnicy człowiek nazwiska tego... — odparł zapytany.

— Może to krewny jaki tego, co napisał historią różnych słowiańskich narodów?..

— Miłosza zapytanie to w ustach wędrowca tak zadziwiło, że nie był w stanie powstrzymać się ażeby nie zawołać:

— To ty o tem wiesz!...

— O czym? o tem, że Raicz tutejszy krewnym jest popa owego, co takie grube popisał księgi?..

— Nie... ale o księgach...

— Jeszczeżby nie wiedzieć o rzeczach takich!.. Na cóżby się księgi pisały, gdyby o nich ludzie wiadomości nie mieli!..

— Tak... to prawda... ale... — bąkał Miłosz, idąc obok nieznajomego i powiedzieć nie chcąc, że w Trstnicy, oprócz niego, piśmiennych niema więcej, z wyjątkiem chyba jeszcze miejscowego księdza, który jednak nie na wszystkich książkach czytać umiał — to prawda... wiedzą... ale nie wszyscy...

— To też i nie potrzeba, żeby wszyscy wiedzieli... — podchwycił młody wędrowiec. — Gdyby świat z uczonych się składał... ha, ha!.. cóżby to było!.. Mniejsza jednak o to!.. Powiedz mi raczej, czy to prawda, że takiej pięknej, jak dziewczyna Radiwoja, drugiej niema na świecie?..

Miłoszowi oryginalnem zapytanie to się wydało. Odpowiedział na nie uśmiechem i ramion ściśnięciem.

— Czy to prawda, że Radiwoj ślubował sobie nie dać jej, jak tylko temu, co do wyswobodzenia Serbii z pod tureckiego panowania ręki przyłoży?..

— Prawda... — odparł młodzieniec.

Nieznajomy w głos się roześmiał, a w śmiechu jego brzmiało szyderstwo.

Miłosza niby dreszcz przejął. Spojrzał na to-

warzyś z ukosa i dostrzegł na obliczu jego wyraz pewności siebie tego rodzaju, co to ma w sobie coś wyzywającego.

— Gdzie Radiwoja *kutia*?..

— Oto ona... — odpowiedział Miłosz.

Weszli obaj. Bohatera naszego pociągnęła ciekawość, z której sam przed sobą sprawy zdać nie umiał. Zdawało mu się, że obecność jego jest potrzebna dla bezpieczeństwa Radiwoja; przypuszczał, że nieznajomy ma, lub mieć może złe zamiary jakies.

Przypuszczenie to jednak płonem się okazało.

Nieznajomy przedstawił się ojcu Milicy, jako wędrowiec ze stron dalekich. Zapytany o imię, odpowiedział, że zostawił je w domu, ażeby mu w drodze nie zawadzało. Uczucie delikatności nie pozwoliło Radiwojowi nalegać na człowieka, któremu podobało się imię swoje ukryć; niemniej przeto odpowiedź uczyniła go zajmującym, albo raczej spotęgowała to zajęcie, jakie wzbudzała osoba jego. Radiwoj do zapytania dodał tylko:

— Tego jednak ukryć nie potrafisz, żeś się urodził nad Bosną, albo nad Narentą...

— Ja bo nic nie ukrywam i nic nie odkrywam... — odrzekł nieznajomy — ja chcę być w podróży, na krótko, człowiekiem; to najwygodniej...

— Toć człowiek każdy jest człowiekiem... — wtrącił Miłosz.

— Takim lub owakim... — podchwycił przybysz — wielkim, albo małym: wielkiemu ludzie inni służą, aż do znudzenia, małym się posługują, aż do pozbawienia go sił... A tak?.. Ot co... Idę, i idę, a kto mnie spyta: ktoś ty?... człowiek... nie wielki i nie mały, nie zły i nie dobry, nie piękny i nie brzydki... człowiek i tyle...

Stryjenki Milicy, stryjeczne jej siostry i ona sama przypatrywały się gościowi i przysłuchiwały z natężoną wielce uwagą. Nie było ich w izbie jednak. Izba wszakże znajdowała się w obleżeniu. Wszystkie szpary i szczeliny obsadzone były oczami, których promienie strzeliste koncentrowały się na osobie przybysza; za promieniami zaś szły słuchy ostre, które każdy wyraz jego w powietrzu łowiły. Kiedy nieznajomy powiedział, że jest »nie piękny i nie brzydki«, słowa te w całym obleżniczym korpusie wzbudziły protestacyą jednogłośną. Nie mógł się bowiem »nie pięknym i nie brzydkim« nazwać człowiek, którego rzeźbiarz każdy wzięłby z ochotą na model posągu Apollina, człowiek młody i dziwnie piękny, wzbudzający spółczucie tem mianowicie, że rysy oblicza jego, cera jasna i kolor płowy włosów zdradzały pochodzenie słowiańskie, że był »swoim«, że każda matka Serbka radaby pochwalić się synem takim, a dziewczynka każda chętnieby go na brata przyjęła. I onto twierdzić śmiał, że nie jest »ani piękny, ani brzydki«! Gdyby zwyczaj nie krępował ust, nachylonych przy szpa-

rach i szczelinach, otaczających izbę gościnną, to na słowa te odpowiedziałoby jednogłośnie:

— Nieprawda!..

Zamiast tego, kobiety spojrzały jedna na drugą z tym w oczach wyrazem, który, przetłómaczony na mowę ludzką, znaczy:

— Filut jakiś...

Przybysz prowadził dalej rozmowę z Radiwojem, który, zamieniwszy z nim frazesów kilka, do Miłosza się zwrócił.

— Cóż ty, Miłoszu?.. — zapytał. — Gdzieś się podziewał?.. Nie widziałem cię tak długo... Myślałem, żeś na kaugę pociągnął...

— Chciałem pociągnąć... — odpowiedział zapytany głosem wzruszenie zdradzającym.

— Matka nie puściła... Boga mi! dobrze zrobiła... Zachowaj się na lepsze czasy; będziesz otaczbinie dług spłacał podwójnie, raz za to, czegoś nie dopełnił, a co się tobie wydawało, żeś dopełnić był powinien, raz drugi za to, co się istotnie od ciebie należy... Nieprawdaż, junacze?..

Wyrazy ostatnie odnosiły się do gościa. Młody nieznajomy odpowiedział na nie gestem, który ani przeczenia, ani twierdzenia nie wyrażał.

— Tyś jednak na Krainę nie chodził?.. — zapytał Radiwoj.

— Nie...

Wyraz »nie«, wyszły z ust nieznajomego, wywarł na Miłosza wpływ nadspodzianie silny; —

stał się dla niego balsamem pociechy, a to nie dlatego, ażeby w wyrazie tym zawierać się miała potęga mistyczna jakowaś, jak w zaklęciach magicznych, ale dlatego, że posłużył mu jako pewien rodzaj absolucyi we względzie winy, której istota czynu we własnem jeno jego poczuwaniu się do takowej tkwiła.

— Nie chodził on... — szepnęło mu sumienie mogłem więc nie chodzić i ja...

Było to uznanie powagi w człowieku, który nie zrobił nic, czemby sobie na zaszczyt podobny zasłużył. Uznania podobne zdarzają się często. Dobra mina popłatną jest, zwłaszcza wśród narodów ciemnych. Sułtan dziś panujący, zanim jeszcze sułtanem został, posiadał popularność dlatego, że ma oczy na wierzchu. Nieznajomy oczów na wierzchu nie miał; lecz za to powierzchowność jego wzbudzała ufność, była bowiem, że się tak wyrazimy, mówiącą i zapowiadała odwagę, siłę i rozum, trzy zalety, służące do podbijania serc nie tylko niewieścich, ale oraz i męskich. Nie dziw więc, że bohater nasz urokowi uległ.

Zdaje się, że i Radiwoj dostał się także pod wpływ tegoż samego uroku, sądząc o tem wedle uprzejmości, jaką dla przybysza okazał. Woda, kawa, fajka, dalej wódka wystąpiły kolejno na przyjęcie jego. Do wody podawano *tatły*, które wniosła Milica. Nieznajomy, ujrzawszy ją, doznał jakby olśnienia, podobnego do tego, jakie sprawia



blask nagły, uderzający o wzrok w ciemnościach. Zmrużył powieki i otworzył je; mrużył i otwierał, aż się w końcu zapatrzył, niby w obraz cudowny, magnetyzując dziewczę, które oczy rzęsami zasłoniło, zarumieniło się, jak wiśnia dojrzała, i doznawało lekkiego w ciele drżenia, od którego dzwoniły na tacy kubki z wodą i czarki z konfiturami; kiedy zaś nieznajomy, wzięwszy konfitury do gęby, wodą takowe popijał, nie była w stanie ust do cmo-knięcia obowiązkowego złożyć.

Miłosz, niemy tej sceny świadek, niemilego chwilowo doznał wrażenia. Coś go niby w serce trąciło. Wrażenie to jednak szybko przeminęło. Milica odeszła i nieznajomy odzyskał swobodę umysłu, którą czarował i gospodarza domu i bohatera naszego.

O wszystkim wiedział i o wszystkim mówić umiał.

W towarzystwie Radiwoja nie sposób było nie dotknąć przedmiotu, którego męczeński kaleka był przedstawicielem żywym i do którego treści dostarczały świeżo zaszłe wypadki. Jak Serbia długa i szeroka, nie mówiono o czem innem.

— A toż to gadają!.. — rzekł Radiwoj, o wypadkach mówiąc.

Nieznajomy ramionami wzruszył i odparł:

— To źle... Gadanina jest to wiatr, ale i z wiatru bywa użytek, dobry albo zły... Wiatr albo okręty pędzi i koła młyńskie obraca, albo łomoce

i druzgoce: obawiać się więc potrzeba, ażeby gadanina serbska nie była tym wiatrem, co zniszczenie niesie...

Ani Radiwoj, ani Miłosz nie pojęli znaczenia przenośni tej.

— Lepiejby było — ciągnął nieznajomy — milczeć... Kto tam wie, co Paswanowi-Oglu w głowie siedzi!.. Czy nie dał się on pobić naumyślnie?..

— Ooo !.. — zaprotestowali razem Radiwoj i Miłosz. — Któż naumyślnie grzbiet nastawia!..

— Nie wiem ja o niczem... Nie byłem ani z Paswanem-Oglu, ani przeciwko Paswanowi-Oglu; ale gdy się widzi, że wojownik taki dał się potłuc... komu?.. rajom i spajom, to mimowolnie rodzi się podejrzenie, że w tem kruczek jakiś być może...

— Być może... — Odparł Radiwoj, nie pojmując znaczenia słów nieznajomego.

— Paswan-Oglu chytry i przebiegły...

— To też — podchwycił Radiwoj — od pierwszego razu byłem zatem, żeby Serbowie nie kłádli palca swego pomiędzy drzwiami... Niechby się Turcy sami pomiędzy sobą tłukli...

— Tak... hm... Niechby każdy pilnował swego...

— Na Serbów przyjdzie pora... — dodał Radiwoj.

Nieznajomy nic na to nie odpowiedział. I ile razy o porze owej, o której kaleka często wspominał, mowa była, zawsze milczał. Wyraźnie miał

w tym względzie opinią jakąś własną, którą w rezerwie trzymał, nie chcąc zapewne stosować się do przysłowia: »wlaźłszy między wrony, krakaj jak i one«; z drugiej znów strony, nie chcąc może stawać w sprzeczności względem gościnnego gospodarza domu. Był jednak punkt jeden, w którym opinia jego i opinia Radiwoja zgadzały się jak najzupełniej, a to: bezużyteczność wmieszania się Serbów w zajście pomiędzy spajami a jańczarami. Gdy Radiwoj o tem mówił, on potakiwał, Miłosz zaś to mówienie i to potakiwanie brał do serca i karbował w sumieniu, jako ulgę, jako absolucyą, jako usprawiedliwienie dla siebie i dla matki. Nieznajomy to sprawił. Wdzięczen mu był przeto niewymownie. Od miesięcy dwóch po raz pierwszy oblicze wypogodził i z uśmiechem na ustach przed Anką stanął.

Anka, okiem tylko na syna rzuciła, wnet poznała, że w duszy jego zmiana jakaś zaszła. Strwożyło ją to zrazu. Nie znając powodu, lękała się, ażeby takowy nie tkwił w perspektywie nowej wojny jakiej. Lękliwość matek z niczem porównać się nieda. Ust otworzyć nie śmiała i z niepokojem czekała na pierwsze syna słowo, które było następujące:

- Matko, dobrze się stało...
- Co, synku?.. — zapytała strwożona.
- To, żeś mnie nie puściła...
- Alboż co?...

— Przekonałem się nareszcie, że nie czyni mi to ujmy żadnej...

— Synku mój drogi!..

— Zdawało się mi, że sam jeden w domu siedział, kiedy inni życie narażali.. Nie byłem jednak sam jeden...

I opowiedział o przybyciu jakiegoś nieznajomego w gości do Radiwoja i o tem, co nieznajomy ten o wojnie trzyma.

W miarę opowiadania Miłosza oblicze Anki rozjaśniało się.

— A widzisz!.. — przerywała synowi co chwila. — A co!..

— Wstyd mi było, matko, i wstydby mi było, gdyby nikt więcej, tylko ja... — bąkał Miłosz w konkluzji. — Gdyby... ale... to... tego...

Czemu nie tłumaczył się jasno? Zagadka ta nie jest do rozwiązania nader trudną. Młody nieznajomy usprawiedliwił bohatera naszego wobec własnego jego sumienia, usprawiedliwił go wobec ludzi, usprawiedliwił go jeszcze wobec Milicy. Miłoszowi więcej może, aniżeli o sumienie własne i o opinię u ludzi, o to, co Milica myśli, chodziło.

Owóż, gdy wyciągał przed matką z opowiadania swego konkluzję, Milica na myśl mu przyszła i dlatego tłumaczenie na jasności straciło. Był jako człowiek pytaniem drażliwym znienacka zaskoczony. Bąkał, jąkał się i skończył na tem, że chrząknął i ręką machnął.

— A widzisz!.. — powtórzyła matka raz jeszcze. Wieszże, kto mi poradził?..

— Radiwoj?..

— Nie... Radiwoj powiedział: »Jeżeli się będzie rwał niech idzie; nie zatrzymuj go, kobieto!..« Ale mi się ja serca mego, serca matczynego radziła i ono mi powiedziało: »Nie puść, chociażby syn miał się przeciwko tobie do najwyższego rozżalić stopnia«!.. I ja serca posłuchała... I cóż?... Nie masz już do matki żalu?...

— Nie, matko...

— Poczekajże jeszcze trochę... Może Bóg miłosierny da, że się to wszystko na dobre obróci...

---

## 14. Zagadki.

---

Nieznajomy, którego przybycie do Trstnicy zaznaczyliśmy w rozdziale poprzednim, nie bawił zbyt długo. Czas pobytu jego jednak nie przeminął bez pozostawienia po sobie, nie powiemy śladów, ale wspomnień, które z czasem jako ślady, a raczej następstwa wystąpiły.

Do pierwszych ze wspomnień tego rodzaju zaliczyć należy przewalenie się przez Trstnicę zastępu dużego jakichś wędrowców, co się zrazu wydało mieszkańcom, jako prosty zbieg okoliczności. Przychodzili i odchodzili, to pojedynczo, to po dwóch, trzech, to po pięciu-sześciu. Zatrzymywali się w mechanie; — jedni bawili tyle tylko, że przenocowali, inni pozostawali po dni kilka. Obserwowanie ludzi tych do żadnych nie doprowadzało wniosków. Zdawało się, że znali się pomiędzy sobą, a o gościu Radiwoja nie wiedzieli wcale. A przecie, gdyby kto na nich bacznią zwracał uwagę, toby dostrzegł, że się porozumiewali za pomocą znaków kabalistycznych, podobnych nieco do tych, jakich używają masoni, w celu poświadczenia o należeniu do bractwa nie nie murujących wolnych mularzy. Mrugali

do siebie oczami, telegrafowali palcami i ramionami, rozmawiali nawet ze sobą, gdy nikt na nich nie patrzył. Mehandzi dostrzegł to, ale nie uważał za rzecz stosowną wiadomości tej Trstniczanom udzielać, opierając się na tem, że to do niego nie należy.

— Mój *posao* — powiadał — *nowce* zbierać...

Przechodnie płacili gotówką, konsumowali dużo kawy i nie jedli mięsa wieprzowego. Okoliczność ta była także tajemnicą mehandżego. Oznaczała ona, że goście należeli do wyznawców proroka, pomimo że narodowość ich była słowiańską. Zapewne byli to Bośniacy lub Hercogowińce. Pomiedzy nimi wszakże zdarzali się i Turcy, którzy się ani z religią, ani z pochodzeniem nie taili, jak na przykład derwisz jakiś w łachmanach. Ten jednak zająć musiał przypadkowo chyba, podczas bowiem kiedy przechodnie inni zachowywali się milcząco i odgrywali rolę zagadkową, on przeciwnie, gadał dużo i gadał rzeczy takie, które w ustach tureckich dziwnemi się wydawały. Gadał niekiedy przypowieściami. Opowiadał, na przykład, o owcach, na które zmówiły się tygrysy i lamparty, ale się pokłóciły między sobą i owcom to na dobre wyszło.

— Tylko — powiadał — to nieszczęście, że owce głupie, biorą stronę jednych przeciwko drugim, wydaje się im bowiem, że jedni lepsi, aniżeli drudzy... Głupie owce!... — wołał — pasą was na rzeź i, chodząc pomiędzy wami, wybierają, które



tłustsze!... Ot, znaczą już was czerwoną farbą na grzbiecie!... Rzeźnicy pomiędzy wami!...

Gadał bez składu ni ładu. To też nikt na gadaninę jego nie zważał. Derwisze tak przez Turków, jako też przez chrześcijan, uważani byli jako ludzie, nie posiadający zmysłów zdrowych, a tylko własności pewne lecznicze, jak zioła niektóre. Jeden ból zębów usuwał, drugi krew zamawiał, inny dziokie mięso niszczył, wielu zaś — ot, włóczyli się po świecie bez racyi żadnej, pędząc żywot bez troski, bez jutra i bez znaczenia. Do rodzaju tych ostatnich, zdawało się, należał ten, co do Trstnicy, w czasie pobytu nieznajomego, zajrzał. Przyszedł, zabawił czas jakiś, nagadał rzeczy różnych i odszedł.

Nieznajomy, goszczony i podejmowany przez Radiwoja, nie przesiadywał jednak w *kuti* jego czas cały. Zawierał znajomości i z innymi gospodarzami, odwiedzał to tego, to owego i chodził około miasteczka, rozpatrując się w położeniu onego, jak to czynić zwykli podróżni, wielbiciele piękności natury. W wycieczkach tego rodzaju oddawał się zwykle pod opiekę bohatera naszego, którego nieznacznie a ostrożnie o rozmaite rozpytywał szczegóły, nie wzbudzające podejrzania najmniejszego, a to dla tej przyczyny, że nie tyczyły się tajemnic żadnych. Trstnica nie była przecie twierdzą, nie posiadała min, ani galeryi podziemnych,

których położenie ukrywaćby należało. Weźmy na przykład, rozmowę następującą:

— W górach Cerskich musi być zwierzyny немало?...

— A jest tego dosyć...

— Sarny, jelenie, dziki, niedźwiedzie?...

— Znajdują się i sarny i jelenie i dziki i niedźwiedzie...

— Polować na nie jednak trudno?...

— Jak komu... Trudno temu, co przechodów zwierza nie zna...

— Tak... — odparł nieznajomy, rozglądając się po splątanych ścieżkach i wskazując palcem ku południowi. — W tej stronie Jadar?...

Miłosz odpowiedział głowy skinieniem.

— Tylko na brzeg Jadaru z Trstnicy dostać się nie można?...

— Można...

I opowiedział Miłosz drogę, prowadzącą łożyskiem potoku, dodając ten szczegół, że drogą tą wymknęli się jańczary czasu onego.

Nieznajomy z zajęciem słuchał opowiadania tego i od niechcienia zaproponował Miłoszowi przejść się tą drogą.

Poszli.

W ciągu przechadzki bohater nasz, którego temperament nie należał bynajmniej do rodzaju tych, co to śmiać się gotowe z lada czego, kilkakrotnie homerycznym wybuchał śmiechem na widok nie-

zgrabnego chodzenia nieznajomego po miejscach urwistych. To stawał na czworaku, to siadał, staczał się i wywracał, — niekiedy jednak sarnim susem przeskakiwał z kamienia na kamień, dodając:

— A!... to mi się udało niechcący...

Innym razem, także od niechcienia, zwabił bohatera naszego w góry i pod jego przewodnictwem zwiedził wertepy i dostał się na szczyt, z którego widać było z jednej strony wstęgę srebrzystą Jadaru, wijącą się po dolinie, z drugiej połamaną w garby pochyłość, idącą ku Sawie.

— Tędy ludzie nie chodzą?... — zapytał.

— To zależy... — odrzekł Miłosz. — Nie chodzą, jeżeli ich nic do tego nie zmusza... Ale...

— Co ale?...

— Ale... jeżeli muszą...

— Cóż zmuszać może ludzi wspinać się, jak kozy dzikie, po urwiskach takich?...

— Dziś nic... Były jednak czasy, w których Serbowie chodzili po ścieżkach tych...

— Hajducy chyba?...

— Ej, nie sami hajducy tylko... Całe bywało rodziny szukały tu schronienia: starce, kobiety, dzieci... W górach widać jeszcze ślady pobytu ich... Było to za czasów dachijszczyny, które już nie wróca, Bogu dzięki... — rzekł Miłosz z naciskiem.

— Kto wie... — odparł nieznajomy.

Wyrazy te jednak wyrwały się mu snadź niechęcący, albowiem natychmiast zagadał je.

— Powiadasz, że są ślady: jakież to?...

— Spopielale ogniska w miejscach takich, do których, zdaje się, ptakiem być potrzeba, ażeby się móżdż dostać...

— Ciekaw-bym był widzieć choć jedno miejsce podobne...

— Tam, na przykład... widzisz?... — odparł Miłosz, palcem ukazując w stronę urwiska, nad którym wznosiła się ściana skał gładkich. — Tu znikąd przystępu nie widać, a jednak tędy ludzie przechodzili, dostawali się na drugą stronę ściany i znajdowali tam schronienie bezpieczne i wygodne w pieczarze, tak dobrze zakrytej, iżby jej sam dyabeł, a nie to jańczar, nie znalazł... Tam — dodał — ukrywała się matka moja ze mną, kiedy mnie śmierci z rąk wydarła...

— I dostać się tam trudno?...

— Trudno... Przechodzić potrzeba ścieżkami urwistymi, na których krok jeden chybiony i człęk w przepaść wpada, a do tego są do przebycia trzy nory, w których czołgać się potrzeba na brzuchu...

Nieznajomy głową kręcił i cmokał z oznakami zdziwienia, przypatrując się pilnie miejscowości, jakby notował sobie w pamięci szczegóły każdy.

— I dużo jest miejsc takich w Trstnicy?...

— Kilka, jak ludzie powiadają...

— Ty ich nie znasz?...

— Znam i nie znam...

— To znaczy, żeś ich nie zwiedzał...

— Nie zwiedzałem... Tam zaś chodzę niekiedy Panu Bogu dziękować, albo też, gdy mi w serce smutek zapadnie i zachce mi się od ludzi odosobnić...

— Bywa ci smutno niekiedy?.. — zapytał nieznajomy z akcentem współczucia.

— Komuż smutno nie bywa?...

— Tak... zapewne; ale jednemu dla racyi rzeczywistej, drugiemu dla urojonej... Smutek twój nie może mieć racyi rzeczywistej...

Miłosz ramionami ścisnął.

— Młody, bogaty, szczęśliwy... — ciągnął nieznajomy — życie twoje powinno być weselem ustawicznym...

— Hm... — wtrącił Miłosz.

— Jeżeli się więc smucisz... — dodał nieznajomy tonem półżartu — to chyba kochanka cię zdradziła...

— Co to, to nie...

— Albo... może... — mówił, patrząc Miłoszowi pilnie w oczy — ty ją kochasz, a ona ciebie nie... Albo kochasz ty ją i ona ciebie, ale pomiędzy tobą a nią stoi przeszkoda, której usunąć z drogi nie sposób...

Miłosz westchnął.

Nieznajomy nie posuwał indagacyi dalej. Przez czas pobytu jego w Trstnicy spostrzegawczy jego

umysł wtajemniczył go w stosunki, jakie zachodziły pomiędzy osobistościami, odgrywającemi w opowiadaniu naszym role ważniejsze. Zresztą, nie potrzeba było być spostrzegaczem nader byстрыm, ażeby widzieć, jak rzeczy stoją. Miłosz ukrywać się nie umiał. Co się zaś Milicy tyczy, ta także się nie ukrywała; tylko otwartość jej w odmienny wyrażała się sposób: — w sposób taki, że zdawało się, jakby uczucie jej znajdowało się w stanie uśpienia. Była najlepiej i najbliżej z Miłoszem; lecz zachodziło pytanie, dla niej samej zagadkowe: czy uczucie, jakie ją do niego zbliżało, nazywa się przyjaźnią, czy też miłością? czy uważała go, jak *posiestrima* uważa *pobratyma*, czy też jako takiego, któremu serce na własność oddała? Było to dla niej, jak powiadamy, zagadką, nad rozwiązywaniem której głowy sobie nie łamała wcale. Z tego powodu wydawało się, że się zupełnie spuściła na ojca, że jemu los swój powierzyła i zresztą o nic się nie troszczyła. Byłoby to złudzeniem, czy rzeczywistością? Zdaje się, sama ona nie wiedziała, a tem mniej wiedzieć mogli ci, co ją otaczali, widząc, jak przyjmowała wrażenia, silny zazwyczaj na umysły dziewicze wywierające wpływ.

Pobył młodziana nieznajomego posłużył niejako za miarę uczuć Milicy.

Nieznajomego otaczały uroki wszystkie, posiadające potęgę nieprzepartą, a jednym z nienajpośledniejszych było to właśnie, że był nieznajomym,

że zasłaniał go obłok tajemniczości i podnosił niejako — i wytwarzał dla niego perspektywę, w której ukazywał się jako królewicz Marko. I cóż? Dla Milicy było to rzeczą nadzwyczajnie ciekawą. Przypatrywała się młodzieńcowi z uwagą natężoną; przysłuchiwała się wszystkiemu, co się o nim w gronach niewieścich mówiło; sama w rozmowach udział brała i... na tem koniec. Pragnienia zaspokożenia ciekawości nie posuwała tak daleko, ażeby aż serce w zastaw dawać miała. Nie! Nieznajomy młodzian nie zamącił jej spokoju, nie zburzył tej równowagi, jaka w życiu jej istniała, a która za punkt podpory miała wolę ojcowską. Zdawało się, że gdyby Radiwojowi na myśl przyszło powiedzieć jej:

— Pokochaj tego młodzieńca, o którym nie wiemy, skąd przychodzi i dokąd idzie...

Pokochałaby.

Zdawało się tak; powiadamy wyraźnie, zastrzegając sobie ostatnie w tym względzie słowo na później.

Powiedziano, że serce niewieście jest to głębia niezbadana.

Co się serca Milicy dotyczy, dodać należy, że było ono jeszcze bardzo młode. Okoliczność ta tłumaczy bohaterkę naszą po części. W życiu niewiast w ogólności (o wyjątkach nie mówimy) jest moment taki, w którym one widzą, słyszą, myślą i czują cudzemi oczami, cudzemi uszami, cudzym rozumem i cudzem sercem.



— Kochasz mnie?... — zapytana w momencie owym dziewczyna odpowiada naiwnie:

— Nie wiem...

— Któż wie?...

— Mama...

Być bardzo może, że Milica nasza znajdowała się właśnie w momencie tym, wiedząc o jednej tylko rzeczy: o ślubie ojcowskim, zrobionym we względzie osoby jej. Rzeczą ta niemałą była wagi. Wzrosła w jednej myśli; była dzieckiem Radiwoja nie tylko wedle ciała, ale i wedle ducha: można więc przypuszczać, że uważała się z góry za zaręczoną temu nieznajomemu, co do serca jej zakłócać jako rycerz ojczyzny wyzwolonej. Nieznajomy przeto, co jako wędrowiec przyszedł i, posiadając zalety i przymioty wszystkie, nie mógł jednak przyznawać się do rycerstwa serbskiego, był dla niej ciekawością tylko, więcej niczem. W sposób ten stało wobec niej nieznajomych dwóch: ten, co był wytworem ślubów ojcowskich, i ten, co pod ojcowską gościł strzechą. Pytanie zatem, odnoszące się do serca Milicy, da się w następujący wyrazić sposób: czy pragnęła ona, ażeby ten drugi wystąpił pod postacią pierwszego? Gdyby na pytanie to twierdzącą dać można odpowiedź, toby znaczyło, że bohaterka nasza już kocha, że zabiegi nieznajomego pomyślny uwieńczył skutek.

O! bo nieznajomy czynił zabiegi, w celu pozyskania serca dziewczyny, która od pierwszego wej-

rzenia zachwyciła go, a przy bliższem poznaniu natchnęła... bodaj czy nie miłością. Wyrażamy się we względzie tym ostrożnie, z powodu, że miłość rozmaitego bywa rodzaju: bywa czysta, jak Miłoszowa, i mniej czysta, chociaż nie mniej silna, jak ta, na przykład, z przyczyny której Grecy Troję czasu onego zburzyli, albo jak ta, którą Mefistofeles w Fauście rozbudził. Nieznajomy przeto mógł Milicę kochać, jak Helenę Menelausową kochał syn Pryama i Hekuby, jak Małgorzatę miłował odmłodzony starzec, to znaczy: mógł ją kochać miłością podejrzaną, zdolną pół świata w perzynę obrócić, nie zdolną duszy jednej uzacnić.

Zabiegi jego obracały się wszystkie około punktu jednego: około zwrócenia na osobę swoją uwagi dziewczyny. Tego dopiła. Uwaga jej przez cały czas pobytu młodzieńca pod dachem jej ojca ześrodkowaną była na nim. To samo jednak działałoby się, gdyby na miejscu jego znajdował się dziwny jaki wytwór natury, jaki zwierz czworonożny z dwiema głowami, lub ptak, ubrany w pióra barwiste. Milica się zapatrywała i zapominała; nie zapominała się wszelako tak dalece, ażeby dać się miała w sidła wziąć. Broniła ją niewinność dziewczica. Nieznajomy używał na nią sposobu jednego pospolitego i dla pospolitości swojej niezawodnego, bo wypróbowanego. Opowiadał o bogactwach wielkich, o klejnotach, o materyach jedwabnych, o wygodach, o sługmństwie, o pałacach wspaniałych, dając do pozna-

nia, że to wszystko posiada na własność, którą gotów jest podzielić się z kimś. Milica słuchała opowiadań tych, jak się bajek słucha, i ani przez myśl jej nie przechodziło, ażeby owym »kimś« miała być ona, pomimo że jej myśl tę nasuwano i to ze strony niepodejrzanej. Myśl tę nasuwały jej stryjenki.

— Słyszałaś, co gość ten prawi?..

— Słyszałam...

— Oj, majko moja!.. cóż to za cuda!.. Musi to być bogacz jakiś!.. O, toż szczęśliwą byłaby ta, coby małżonką jego została!..

— Mnie się zdaje... — wtrącała w sposobie żartobliwej insynuacyi ze stryjenek jedna — że gdyby Milica zechciała ino...

— Ba!.. — odpowiadała druga — gdyby zechciała...

Insynuacye te, których żartobliwość miała doniosłość i znaczenie igrania z ogniem, nie zapalały w sercu Milicy płomieni, ani pragnień żadnych. Jak zwyczajnie, jak zawsze, uprzejmą była dla gościa i jednakową dla Miłosa, tak, że ten ostatni nie znajdował powodu najmniejszego do powzięcia podejrzeń, któreby w nim zazdrość rozbudzały.

Dodać należy, że co się podejrzeń tyczy, to takowe neutralizowało roztargnienie, jakie sprawiał przechód przez Trstnicę ludzi obcych, o których wspomnieliśmy na początku rozdziału niniejszego. Przechód ten, sam przez się, do przypuszczeń za-

dnych powodu nie dawał. Cóż? Ludzie podróżują przecie! Zabronić im tego nie można. Z tem atoli schodziła się okoliczność jedna, zasługująca na to, ażeby ją osobnym zaznaczyć karbem.

Wspominaliśmy o konaku opuszczonym i o dyable, postawionym na straży przy zakopanym przez jańczarów skarbie, jakoteż i o tem, że strażnik ów nieraz oznajmiał obecność swoją hałasem, jaki sprawiał. Nie było to rzeczą dziwną, wiadomo bowiem, że dyabli cicho siedzieć nie umieją. Siedzieli jednak cicho, gdy cisza w powietrzu panowała; gdy się zaś odzywali, to nigdy głosem ludzkim, tak, że nie sposób było rozpoznać, czy to wiatr gra, dmąc w dziury i szczeliny budynku pustego, czyli też sejmikuje warta piekielna. Niedowiarek wiatromby hałasy te przypisał. W Trstnicy wszakże niedowiarków nie było na szczęście; nie było więc nikogo, co by wątpił i sztuki dyabelskie na wiatry składał. Beczeli głosem kozim, napełniali powietrze rykiem i piskiem; lecz — i to się właśnie do osobliwości zaliczało — nie wytłukali pokrzyw i burzanów, obrastających budynek dokoła, nie pozostawiali po sobie śladów najmniejszych obecności swojej, nie wydeptywali ścieżek żadnych. Pokrzywy i chwasty, nie ruszane i nie dotykane, wyrastały swobodnie na gruncie, krwią męczenników napojonym. Zwierzęta nawet domowe omijały miejsce, na którem, zdawało się kłatwa ciążyła.

Owóż, podczas gdy goście zagadkowi Trstnicę

odwiedzać poczęli, ktoś z Trstniczan, przypóźniwszy się w mehanie, usłyszał, powracając mimo konaku do domu, głosy ludzkie, odzywające się wśród burzanów. Noc była pogodna i cicha. Rozmowa toczyła się półgłosem i dochodziła do ucha słuchającego ułamkami wyrazów, że rozpoznać nawet nie było można, w jakim prowadzono ją języku. Zresztą, nie była to rozmowa, ale raczej frazesy, rzucane tonem rozmaitym, jakby pochodziły z ust ludzi kilku. Ten rzekł słów kilka, inny słowo, inny znów wykrzyknik wydał. Trstniczanin, co to słyszał, odpowiedział nazajutrz; lecz — jak się zresztą spodziewać należało — nie znalazł wiary w prawdziwość podania swego.

— Powracałeś z mehany... — powiadano mu.  
Temu przeczyć nie można było.

— Byłeś zapewne pijany...

Zaklinał się na duszę i ciało, że posiadał przytomność umysłu zupełną; lecz wiary pozyskać nie mógł. Wszelako pogłoska w obieg poszła i uwagę na konak zwróciła. Poczęto się nim interesować. Na drugą noc nie jeden już, ale trzech słyszało głosy ludzkie; po dniu zaś dostrzeżono ślady przedeptań wśród pokrzyw.

I zagadano w Trstnicy o wypadku nadzwyczajnym, czyniąc wnioski, przypuszczenia i domysły jak najrozmaitsze. Rolę jednak najważniejszą odgrywały dwa mianowicie zapytania — dwa problemata do rozwiązania:

Czy dyabeł przemawia głosem człowieczym?...

Czy dyabeł pozostawia po sobie ślady chodu ludzkiego?...

Co do pierwszego, odpowiedź znalazła się wnet i była niewątpliwą, przez wzgląd na świadectwa niezbite. Jakimże głosem, jeżeli nie człowieczym, rozmawia dyabeł z ludźmi, wchodząc z nimi w układy? Jakim głosem rozmawia ze świętymi pańskimi, targując się z nimi o dusze? Jakim wreszcie głosem rozmawiał ze Zbawicielem, gdy Go zaniósł na górę wysoką i kusił?... To ostatnie szczególnie usunęło wątpliwość wszelką.

Kwestya jednak druga trudniejsza do rozwiązania była. Dyabli, jak wiadomo, zapachem jeno ślady po sobie zostawiają, do chodzenia zaś posiadają nie stopy, ale racice. Skądże przy konaku wziąć się mogły wyraźne znaki stóp ludzkich, na ziemi miękkiej wyciśniętych? Znaki te zamęt wielki w pojęcia Trstniczan wprowadzały. Gadano, zastanawiano się, roztrząsano kwestyę z punktów rozmaitych, wszystko nadaremnie. Piśmienni nawet nie wiedzieli więcej jak niepiśmienni. Pop powiadał, że rzecz ta nie stoi napisaną w tych księgach, w których on *rozbira*. Miłosz ramionami ścisnął, przyznając się otwarcie, że materya ta nie wchodziła do zakresu nauk, jakie w klasztorze pobierał. Nieznajomy, zagadnięty w tej kwestyi, okazał pomieszanie niejakie, które głośnym pokrył śmiechem, i dał odpowiedź wymijającą, jakby się do nieświadomości

przyznać nie chciał. Słowem, problemat pozostawał nierozwiązanym, zajmował mocno umysły Trstniczan i sprawiał bohaterowi naszemu roztargnienie, które neutralizowało podejrzenia, jakieby w nim zrodzić mogła obecność człowieka, posiadającego kwalifikacye wszelkie do wystąpienia wobec Milicy w charakterze współzawodnika o serce dziewczęce.

Roztargnienie to tem większe jeszcze przybrało rozmiary, gdy rozbudzona uwaga doprowadzała do odkrycia pewnego, wysnutego z rzuconych od niechcenia przez derwisza wyrazów. Temu ostatniemu wpadła w ucho kwestya, nad którą sobie Trstniczanie głowy łamali. Wyrazy: konak, dyabeł, głosy człowiecze, ślady stóp ludzkich, zafrapowały go. Wybuchnął śmiechem głośnym, kiwnął głową i zaczął od tego, że nazywał Trstniczan: *budałami*, *głupakami* i *tupogławicami*. Nikogo to nie obrażało, derwiszom bowiem wszystko wolno. Prawił następnie, siedząc na pieńku przed mehaną, o tem, jako dyabłów na świecie niema i nigdy nie bywało.

— Kto ich widywał?... — wykrzykiwał — taki chyba, co mu się w głowie zamroczyło!... Chcesz dyabła zobaczyć, przez tydzień cały nie jedz, raki się opij, lub haszyszu zażyj!...

Nie zważano na to. Derwisz plótł wyraźnie od rzeczy. Zwrócono jednak uwagę na następujące słowa:

— O ślady wam idzie?... To ślady ludzkie!... ludzkie prawdziwe!... Wy, *budały*, chodzić się tam



boicie, a toć przecie na świecie nie sami tylko Trstniczanie!... Świat wielki, ludzi na nim dużo, nie wszyscy do was podobni!... Przypatrzciano się jeno tym, co w goście do was przychodzą, i weźcie miarę ze stóp ich, może i rozwiążecie zagadkę!...

Otóż słowa te, wyrzeczone przez człowieka, uchodzącego za waryata, stały się powodem zajęcia ogólnego. Nie brano ich w znaczeniu literalnem dlatego, że wiązały się w jedno z fałszem wyraźnym: z twierdzeniem o nieobecności dyabłów na świecie; upatrywano w nich atoli klucz, mogący do rozwiązania zagadki posłużyć.

— Kto wie!.. — powiadano. — Nieprawdą jest, co ten *połudzony* derwisz o dyabłach prawi... tak, ale coś tam może w tem i jest... Że dyabeł w konaku mieszka, to o tem i dzieci wiedzą... Żeby jednak do dyabła tego ludzie w goście chodzić nie mieli, to... któż zaręczy!...

Stąd wyrosła się pewność prawie, że ślady stóp ludzkich są śladami stóp rzeczywiście ludzkich; z pewności zaś tej wyrosło się zapytanie, problemat nowy:

Ktoby to mógł być?...

Trstniczanie znali się pomiędzy sobą na wylot; jeden za drugiego ręczyłby mógł; pewni więc byli, że żaden z ludzi miejscowych w odwiedziny do konaku nie chodził. Podejrzenie przeto samo przez się padało na obcych; poczęto się im przypatrywać pilniej; poczęto się już nawet odgrażać, i kto wie,

na czymby się to wszystko skończyło, gdyby nie zaszło zdarzenie, które uwagę od konaku, dyabłów i obcych całkowicie odwróciło.

Zdarzenie to wyraziło się w ten sposób, że zawitał do Trstnicy orszak jeźdźców, wyglądający na eskortę podróżną bogacza jakiegoś. Saisy prowadzili konie wierzchowe, kapami okryte; poczet zbrojnych pełnił służbę straży przybocznej; niewolnicy nieśli lektykę z baldachimem jedwabnym, we frendzle, kutasy i firanki ubranym; muły w długim szeregu dźwigały juki, przy których roilo się od służby wszelakiego rodzaju, złożonej z niewolników czarnych i białych, a mającej w gronie swoim laurów, muzykantów, błaznów i w dziwnym stroju, na wysokim siedzącego wielbłądzie, małego karła; grono łowczych postępowało z psami i sokolami; wieziono osobno namioty i drzewca do takowych złożone; słowem, nie brakowało niczego, co do wygody i rozrywki służyć mogło i przepych stanowiło. Orszak wszedł krokiem powolnym do Trstnicy — było to nad wieczorem; wielbłąd z karłem pogrążony w rozmowę, zatrzymał się na placu pomiędzy mehaną a dugianą; muły juczne uszykowały się około niego; jeźdźce z koni posiadali i w chwili jednej założono obóz, dokoła którego straż zbrojna stanęła.

Na Trstniczan zjawisko to niespodzianie spadło i wielkim ich podziwem przejęło. Wysypali się z domów gromadnie, otoczyli obozujący orszak i gubili

się w domysłach: coby to być mogło? Osobliwość jedna w oczy im wpadła i podziw spotęgowała. Orszak był bez pana. Właściciel tych koni, mułów, namiotów, lektyk i niewolników nie znajdował się pomiędzy podróżnymi; pomimo to panował pomiędzy nimi porządek taki, że zdawało się, jakoby pozostawali pod okiem władcy, surowego i potężnego. Przyszli, rozłożyli się, ogniska pozakładali i... żeby słówko jedno który przemówił.

— Czy niemi?... — myśleli sobie Trstniczanie.

Ten i ów, zdobywszy się na odwagę, zaczynał pytaniami to saisów, to innych momków. Przemawiać jednak do nich było to samo, co przemawiać do słupów. Na zapytania nie odpowiadali, jakby takowych nie słyszeli.

Dziwowisku temu chodzili przypatrywać się wszyscy tak dalece, że i sam Radiwoj, który z powodu kalectwa nie był ruchliwym, wyszedł oglądać konie, muły, wielbłąda i ludzi milczących — i wieczorem, przy kominie, toczyła się u niego rozmowa o osobliwości tej niesłychanej. Nieznajomy w rozmowie tej udziału nie brał. Zamyślony był i zafra-sowany; często ożogiem ogień na kominie poprawiał i kilka razy do mówienia się zabierał, lecz nic nie mówił. Nazajutrz dopiero, o świcie, znalazłszy się z Radiwojem sam na sam, zaczął go słowem następującem:

— No, czas mi już podziękować za gościnność...

— Odchodzisz ?...

— Czyż nie pora!... Wracać potrzeba do domu; przed powrotem jednak chcę pomówić z tobą, Radiwoju...

— Mów... Ja nie odbiegam od mówienia...

— Masz córę na wydaniu...

— Mam...

— Nieprzyrzeczoną nikomu...

— Przyrzeczoną temu, co do wyswobodzenia Serbii z pod tureckiego panowania rękę przyłoży... Ślubowałem to przed Bogiem i przed świętym Sawą...

— Radiwoju, tyś człowiek rozumny, nie możesz więc nie wiedzieć, że jest to rzecz niemożliwa....

— Hm... — bąknął ojciec Milicy.

— Pytaj zresztą, kogo chcesz...

— Na cobym miał pytać, kiedy wszyscy to mówią...

— Widzisz więc... Wszyscy racją mieć przeciwko jednemu muszą; nikt jednak wiedzieć nie może tego, co ci powiem... Słuchaj... Nad Serbią wielka zbiera się burza, od strony Widdynia i od strony Sarajewa... Wezyr bośniacki i pasza widdyński porozumiewają się i zmawiają... Wkroczenie Paswana-Oglu miało to jedynie na celu, ażeby wyzwąć raję do wystąpienia zbrojno i przez to usposobić dla niej źle padyszacha... To się stało... Raja poszła, jak émy na światło... Padyszach serce dla

niej stracił... Wezyr bośniacki i pasza widdyński przygotowują się napaść na Serbią razem, zgnieść ją i dachije napowrót do niej wprowadzić...

Na wyraz »dachije« Radiwoj zmierzył młodzieńca wzrokiem od stóp do głowy.

— Byłoby to nieszczęście...

Radiwoj westchnął.

— Ty możesz nieszczęście to od krainy twojej odwrócić...

Radiwoj wzrokiem pytającym młodemu nieznanemu w oczy się wpatrzył.

— Ja mogę bośniackiego wezyra powstrzymać... Mogę nie dopuścić, ażeby spadł miecz, nad Serbią zawieszony...

— Któż ty jesteś?... — zapytał Radiwo nagle.

— Kto ja jestem?... Powiem; daj mi dziewczynę swoją w zamian za złota tyle, co ona waży... Będzie to dodatek do zbawienia Serbii...

— Dodatek do zbawienia Serbii... — rzekł Radiwoj półgłosem sam do siebie. — Zbawienia Serbii?... Słuchajże ty teraz mnie... Jeżeliś w rzeczy samej taki potężny, jak powiadasz, to spraw tak: niech miecz bośniacki zabłyśnie obok serbskiego i niech się stanie zarazem zbawienie Bośni i zbawienie Serbii... a wówczas dam ci dziewczynę moją, dam ci ją bez dodatków z twojej strony, owszem, dam ci ją z dodatkami od siebie... O! o zbawienie Serbii nie będę się ja targował; oddam i ją i wszystko, co posiadam... i tę jedną nogę, co mi Turcy zo-

stawili, i tę jedną rękę i głowę... wszystko, ale za zbawienie prawdziwe, nie za takie, o jakim powiadasz ty, nie za powstrzymanie bośniackiego wezyra, ale za wyrzucenie go z Bośni...

— Człowiecze!... tyś oszalał... — wtrącił nieznamy.

Radiwoj uśmiechnął się i ramionami ścisnął.

— Ja tego zrobić nie mogę...

— To taką rzeczą ty nie możesz nic...

— Mogę od ojczyzny twojej klęskę niechybną odwrócić.

— Na dziś... A jutro?... Przyjdzie do Sarajewa wezyr inny i potęgę twoją zniweczy... Nie, człowiecze, takie zbawienie zbawieniem nie jest i dla takiego zbawcy córy ja nie mam... — Niech ona czeka...

— I niech się doczeka siwej kosy w dziewiczym stanie?...

— Chociażby...

Młodzieniec zamilkł na chwilę. Na twarzy jego odbijała się walka wewnętrzna. Widać było, że mu w duszy kipiało. Migotał oczami, wstrząsał głową, rzucał ramionami, odsapnął przez rozwarte szeroko nozdrza i rzekł z naciskiem:

— Starcze, tyś dziecka własnego wrogiem; samochcąc los mu zawiązujesz!... Czy wiesz ty, że gdybym się o dziewczynkę padyszacha zgłosił, toby mi padyszach nie odmówił?...

Zatrzymał się, czekając snadź na wrażenie słów

ostatnich. Lecz Radiwoj milczał. Ciągnął więc dalej, mówiąc, jakby do siebie:

— Ha! niech się więc dzieje, co dziać się ma... Gdzie dobre słowo nie skutkuje, tam przemocy potrzeba... Starcze szalony... dziękuję ci za gościnność...

— Niech cię Bóg prowadzi... — odrzekł Radiwoj.

— Niechże pożegnam braci twoich i rozdám upominki niewiastom i dzieciom z rodziny twojej...

To, o co się nieznajomy upomniał, należy do zwyczajów, na wschodzie praktykowanych. Gościnność udziela się daremnie; gość jednak obowiązany jest odwzajemnić się za nią upominkami, dawanymi kobietom i dzieciom. Zdaje się, że zwyczaj ten i u nas niegdyś istniał i ślad onego pozostał w języku, w wyrazie: »gościniec«. Kobiety i dzieci żegnają odjeżdżającego lub odchodzącego ostatnie, u proga stojąc i w rękę go całując po kolei; on zaś każdej i każdemu wsuwa w dłoń sztukę monety. Wysokość datku nie ma oznaczenia i nie stosuje się bynajmniej ani do rodzaju traktamentu, ani do długości pobytu — i najmniejszy przyjmuje się z wdzięcznością taką samą, jak największy. Zwyczaj ten wychodzi obecnie z użycia; w epoce jednak powieści naszej przestrzegany był w Serbii, tak jak dziś zachowują go jeszcze w Bośni, Bułgarii, Macedonii. Radiwoj przeto nie mógł żądaniu gościa odmówić. Zawołał przez drzwi otwarte na braci i bratowę i odbył się po formie całej cere-



moniał pożegnania. Mężczyźni życzyli nieznajomemu *sretnog puta*; kobiety i dzieci przy drzwiach się uszykowały i w rękę go całowały; on niewieście każdej dał po dużej sztuce monety złotej, każdej dziewczynie po sztuce o połowę mniejszej, każdemu dziecku po dukacie holenderskim, Milicy zaś wręczył złoty, misternego wyrobu naszyjnik, wysadzany dyamentami, przetykany perłami i obsypany turkusami.

— Bądźcie zdrowi... — było ostatnie jego słowo.

— Z Bogiem... — odrzekł Radiwoj.

Nieznajomy przekroczył próg gościnny; z za bramy obejrzał się, jakby mu się wydawało, że usłyszał wołanie za sobą; z drogi obejrzał się jeszcze, westchnął, brwi zmarszczył, ręką niecierpliwie machnął i udał się wprost do orszaku, który w zupełnem do dalszej podróży pogotowiu stał na placu przed mehaną, otoczony, jak z wieczora, tłumem Trstniczan ciekawych. Jak tylko się pokazał, natychmiast jeden z saisów z koniem wierzchowym do niego pośpieszył, zdejmując pospiesznie z konia kapę i odkrywając aksamitem obite siodło. Służba poskoczyła, niewolnicy się zbiegli, muzykanci w kotły i w surmy uderzyli, błazny wykrzywiać się, laufry wykrzykiwać poczęli, karzeł stanął na wielbłądzie i sztandar pozłocisty rozwinął.

Na widok ten Trstniczanie gęby pootwierali, nie wyjmując bohatera naszego.

Nieznajomy wsiał na koń, surowem, złowrogich

jakichś błyskawic pełnem okiem po gromadzie trstniczańskiej potoczył, zatrzymał na chwilę wzrok na Miłoszu i, słówka jednego nie rzekłszy, ruszył stępem powolnym, z głową w dół zwieszoną. — Orszak uszykował się i pociągnął za nim.

Chwila — i znikło wszystko, niby sen.

Trstniczanie i Trstniczanki w niemem zdumieniu spoglądali po sobie, jakby olśnieniem rażeni. Spadła na nich zagadka nowa, trudniejsza od poprzednich do rozwiązania.

Dodać należy, że po odjeździe nieznajomego zaprzestali nagle do Trstnicy przybywać ludzie obcy, a z tem razem ustały i praktyki dyabelskie w konaku. Wszystko powróciło do stanu dawnego, z dodatkiem zagadki, która posłużyła za treść niewyczerpaną do rozmów, do wniosków, przypuszczeń i domysłów, w nieskończoność idących. Dodatek ten na dobre się obrócił, urozmaicając monotonność pomyślności, będącej osnową żywota mieszkańców osady bogatej. W pomyślności różnorodność potrzebną jest koniecznie. Bez niej życie bogacza największego byłoby niczem innem, jeno nudów ciągiem jednym, prowadzącym prostą drogą do obrzydzenia życia. Dzięki nieznajomemu, następstwo to Trstniczanom nie zagrażało. Mieli rozrywkę umysłową na długo starczącą, mieli o czem myśleć i gadać do woli.

Koniec tomu pierwszego.

## Spis rzeczy.

---

Część I.	Str.
1. Spaja . . . . .	5
2. W podróży . . . . .	28
3. Postrach i nauka . . . . .	50
4. Sława . . . . .	73
5. Wiadomość niespodziana . . . . .	95
6. Hadži-Mustafa . . . . .	116
7. Ojciec i syn . . . . .	138
8. Paswan-Oglu . . . . .	159
9. Narady wojenne . . . . .	182
10. Sprzymierzenie niepożądani . . . . .	204
11. Słówko jedno . . . . .	227
12. Punkt jasny i punkt szary . . . . .	250
13. Nieznajomy . . . . .	272
14. Zagadki . . . . .	294

---











